

Andrzej bielanin

Miecz Bez miecza

Część I

Lord Osiernica

.../ powiedział On: „ To moje jest, i to też jest moje!" I królowie płacili mu daninę, i wasale ich, i poddani wasalów. Dwunastu rycerzy sprzeciwiło się jego władzy i dwunastu zginęło, a On się śmiał. I chciał zawładnąć Mieczem Bez Imienia, ale nie znalazł go. I rozgniewał się, i zniewolił córkę króla Lockheimu - Latającego Miasta. I wszyscy posłuszni byli władzy jego, a nie było kresu jego rozpuście. I wtedy zjawił się bohater. Przybył z Południa, był trzynastym, a w jego dłoni lśnił Miecz Bez Imienia...

Kroniki Lockheimu

Tak, Osiernica to ja. Mówię to tylko gwoli wyjaśnienia. Takie przezwisko. W stronach, w których bywałem, imię Andriej brzmiało nie za dobrze... W Zjednoczonym Królestwie i Księstwach Przyległych nazwano mnie dźwięcznie: lord Osiernica, obrońca i Orędownik, Wchodzący w Mrok, trzynasty landgraf Miecza Bez Imienia. Robi wrażenie, co? Moim zdaniem, całkiem spore. A najważniejsze, że wszystkie tytuły są absolutnie zasłużone. Ale od początku.

Wszystko zaczęło się podczas wycieczki do jednego z nadbałtyckich miast.

Pojechaliśmy tam na jakiś festyn (festyny były wtedy bardzo modne) i muszę przyznać, że nieźle się bawiliśmy. Byłem tam z żoną, była z nami siostra z mężem i jeszcze jedna para - towarzystwo dobrane i wesołe. Do dziś nie mogę sobie przypomnieć, po co właściwie pojechaliśmy do tego zamku - widocznie był to jeden z punktów programu.

Naszą szóstkę wsadzono do żółto-zielonej furgonetki. Drogę do zamku urozmaicało nam przyglądanie się świętującym tłumom: wszędzie balony, chorągiewki, wstęgi, muzyka i zwarta ciżba ludzi w najróżniejszych strojach. Nie wiem jak wy, aleja uwielbiam podobne widowiska.

Średniowieczny zamek stał na wzgórzu, właściwie już na peryferiach. Podobno niegdyś miasta rozrastały się w taki właśnie sposób - domy budowano wokół zamku, potem coraz dalej, póki nie zajęły całej okolicy. A zamek pozostawał ośrodkiem władzy.

To właściwie wszystko, co mogę powiedzieć o tym zabytku.

Wprawdzie przewodniczka coś opowiadała, ale nie słuchałem.

Patrzyłem na wysokie mury, na okrągłe wieże z okienkami strzel-

niczymi, na masywne bramy, szare kamienie, drzwi i przejścia... Jestem malarzem, nic więc dziwnego, że ten widok wydał mi się pasjonujący. Później nieraz dziękowałem losowi, że zdołałem zdobyć wykształcenie i że uczono mnie malować w stylu realistycznym, bez żadnych tam awangardowych wymysłów. Są takie miejsca, gdzie kubizm mógłby zostać uznany za wymysł szatana, a autora posłano by na stos...

Kierowca podwiózł nas do murów zamku, gdzie kręcił się tłum ludzi w średniowiecznych kostiumach strażników i mieszczan.

Obok wznosił się szafot, widocznie kaźń była jednym z elementów widowiska. Samochód się zatrzymał i jakoś tak wyszło, że wysiadałem pierwszy. Położyłem ręce na skrzyni furgonetki i...

I wtedy właśnie wszystko się zaczęło. Może nie należało niczego ruszać i w ogóle się tam nie pchać? Teraz nie ma to już żadnego znaczenia. Nie przypuszczałem, że jeden wyglup może zmienić całe moje życie. Ale tak wyszło...

Przy zejściu ze skrzyni leżał miecz. Skąd się tam wziął - nie mam pojęcia. Wyglądał jak atrapa z aluminiowym ostrzem i drewnianą rękojeścią.

Byłem absolutnie trzeźwy i nie wiem, co za licho mnie podkusiło, żeby chwycić ten miecz i z groźnym okrzykiem przyłączyć się do przebierańców. Miałem na sobie cienki podkoszulek, ciepłą koszulę firmy Mustang w czerwono-zieloną kratę, jasne dżinsy i adidas - ot, normalny ubiór młodego turysty, więc z tym idiotycznym mieczem w raku wyglądałem dość głupio, ale strasznie chciałem popisać się przed żoną. Przyznają, że czasem z próżności dają się podpuścić na tanie teatralne efekty. Gdy strażnik na szafocie skinął na mnie mieczem, od razu przyjąłem pozycję bojową i zaatakowałem. Trzeba to było widzieć! Robin Hood, Ryszard Lwie Serce i krasnolud Thorin w jednej osobie. Strażnik był gruby, potężny i w dodatku stał wysoko na pomoście; zręcznie uchylając się przed jego niezdarnymi ciosami, zdołałem dwa razy dotknąć aluminiowym mieczem jego potężnego brzucha. Moja żona, stojąc na furgonetce, żartobliwie pogroziła mi palcem, reszta towarzystwa zaśmiewała się, zachęcając nas do dalszej walki. Odwróciłem się do mojej publiczności i skłoniłem szarmancko... Idiota! Gdy się obejrzałem, było już za późno: miecz strażnika dosięgnął mnie, rozciął koszulę i zostawił długą, głęboką ryś na ramieniu. Po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że jego broń, zrobiona z porządnej stali, została starannie wyważona i naostrzona.

- Zwariował pan, czy co? Przecież to boli!

Ale paskudny typ tylko się roześmiał i demonstrując zepsute zęby, zaatakował znowu. Nigdy nie byłem mistrzem fechtunku, a powiedzmy sobie otwarcie, że w ogóle nie umiem walczyć mieczem, ale on był jeszcze gorszy. Zdołałem wybić mu oręż z ręki i podrzucić w gó-

rę, ale przy okazji wypuściłem własną broń, i dwa nasze miecze zaczęły koziołkować w powietrzu. A na ziemię spadł już tylko jeden... A raczej nie spadł do końca. Leciał ostrzem w dół, oślepiając złocistym blaskiem. I nie był to już ani mój miecz, ani miecz strażnika... Co to była za klinga! Nigdy przedtem i nigdy potem nie widziałem podobnej broni. Wąskie ostrze z białego metalu o błękitnym połysku, długa rękojeść, równie wygodna dla jednej, jak i dla dwóch rąk i zupełny brak ozdób - zresztą miecz ich nie potrzebował. Każdy element był tak doskonały, że zamarłem w niemym zachwycie.

Spadający znikąd miecz zastygł przed moimi oczami, jakby wybierając właśnie mnie spośród licznych mieszkańców tego grzesznego świata. Powoli wyciągnąłem rękę, a on wsunął się do mojej dłoni. Co za upajające uczucie! Tylko ten, kto miał okazję trzymać najgroźniejszą, najpiękniejszą i najlżejszą na świecie broń, może mnie zrozumieć. Zrobiłem kilka próbnych wymachów - miecz zdawał się przedłużeniem mojej ręki. Z jego ręką eści płynęła niezwykła moc i wypełniała całe moje ciało. Moc czysta, dźwięczna i lekka, niczym pieniący się szampan.

Ludzie wokół mnie wydawali okrzyki zachwytu i radości. Czyżby myśleli, że to udana realizacja zamysłu scenarzystów festynu? Nieoczekiwanie z tłumu wybiegło sześciu mężczyzn w kostiumach średniowiecznych strażników, uzbrojonych w krótkie miecze i halabardy. Mój gruby przeciwnik podbiegł do nich, wrzeszcząc coś i pokazując mi palcem, i chwilę później sześć halabard ruszyło do ataku, a ja kompletnie przestałem rozumieć, co się tu właściwie dzieje. Ludzie podskakiwali i bili brawo, moja żona spoglądała na mnie z dumą, w pobliżu zaś już kręcili się filmowcy i błyskały flesze. Widać wszyscy uważali to za świetne przedstawienie. Przyznaję, że przez jakiś czas faktycznie grałem. Cudowna broń w moich dłoniach, zdumiewająca lekkość ruchów, realny przeciwnik na wyciągnięcie miecza, kochająca małżonka na horyzoncie - czego więcej trzeba? Że dla niektórych to wcale nie była gra, przekonałem się dopiero po pierwszych ciosach. Sześciu mężczyzn o twarzach kryminalistów najwyraźniej planowało posiekać mnie na plasterki. Strażnicy byli znacznie silniejsi i dużo lepiej uzbrojeni, aż w końcu zacząłem się zastanawiać, czemu się tak ze mną patyczkują? Wreszcie zrozumiałem: miecz. Miecz żył własnym życiem. Parował ciosy, bronił przed wrogami, tworząc wokół mnie lśniącą, nieprzeniknioną zasłonę, a ja jedynie trzymałem rękojeść. Na atak nie było czasu, strażnicy ciągle napierali. Cofałem się w stronę murów, dopóki lewą ręką nie wymacałem za sobą drzwi. Strażnicy dosłownie wepchnęli mnie przez niski otwór i było już po wszystkim.

Znalazłem się w wąskim, omszałym korytarzu, oświetlonym

kopącymi żółtymi pochodniami, a sześciu strażników tłoczyło się za mną. I wtedy mój miecz zaczął zabijać. Zaczął właśnie on, ja włączyłem się znacznie później. Nigdy przedtem nie próbowałem sobie nawet wyobrazić, że mógłbym zabić człowieka. Nie wiem, co mnie napadło... Zresztą nie będę się usprawiedliwiał. Stało się i koniec.

Wąskie korytarze, nieoczekiwane zakręty i strome schodki dały mi sporą przewagę. Strażnicy przeszkadzali sobie nawzajem, bez sensu wymachując halabardami, więc po kolei zakłułem czterech z nich. Pozostała dwójka uciekła.

W ten oto sposób, sam o tym nie wiedząc, trafiłem do zamku Riesenkampf. Wyjątkowo nieprzyjemne miejsce.

o

Włóczyłem się podziemnymi korytarzami chyba z godzinę, próbując znaleźć wyjście. Nic z tego. W końcu zacząłem krzyczeć: - Hop, hop! Jest tam kto? Wyprowadźcie mnie stąd! Poddaję się! Figa z makiem! Mimo moich rozpaczliwych okrzyków, nikt się nie pojawił. Dobrze chociaż, że paliły się pochodnie i nie musiałem błądzić w ciemnościach. W pewnym momencie potknąłem się o jakiś próg i odłupałem niewielki kamyczek, który bez zastanowienia rzuciłem za siebie. Rozległ się ogłuszający huk, a gdy się odwróciłem, ujrzałem, że za moimi plecami pojawiła się góra kamieni. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że korytarze tego zamku naszpikowane są różnymi pułapkami i przejść przez podziemia może jedynie człowiek wtajemniczony... lub nieświadomy niczego idiota.

Taki jak ja.

W końcu korytarze doprowadziły do drewnianych drzwi, które wpuściły mnie na królewskie komnaty.

Przez jakiś czas stałem nieruchomo, oszołomiony tym, co zobaczyłem.

Miałem przed sobą nowoczesne apartamenty. Wysokie sufity, szklane stoliki z książkami i czasopismami, modne fotele z powyginyanych rurek, obite imitacją skóry, telefony, komputery, ksero - jak w eleganckim biurze. Poszedłem dalej i znalazłem się w pokoju wyłożonym różnymi gatunkami drewna. Włoskie meble, miękkie fotele, biblioteczka, wielki telewizor. Co najbardziej rzucało się w oczy - w pokojach nie było okien. Oglądałem to wszystko z uwagą, nie wypuszczając miecza z rąk. Połączenie mroków głębokiego średniowiecza i fantazji europejskich dekoratorów naprawdę robiło wrażenie. Co to za organizacja, jaka firma mogła urządzić sobie biuro w starym zamku? Moje rozmyślania przerwało lekkie skrzypnięcie drzwi - i oto z drugiego końca pokoju patrzyła na mnie zdumiona młoda kobieta, dwudziesto-, najwyżej dwudziestopięcioletnia. Niewysoka, lekko zaokrąglona, ale proporcjonalnie zbudowana, miała krótkie ciemne włosy, na sobie zaś - klasyczny kostium w sza-

roniebieskim kolorze. Była ładna, nawet bardzo ładna. Opuściłem miecz i spróbowałem się serdecznie uśmiechnąć.

- Dobry wieczór - zagadnąłem. - Wszedłem przypadkiem do tego zamku i zablądziłem. Już dawno powinienem stąd wyjść, bo na festynie... - nie zdążyłem dokończyć, gdy kobieta podbiegła i szlochając zawisła mi na szyi, co było wprawdzie zaskakujące, ale bardzo przyjemne.

- Milordzie, wróciłeś!

- Słucham? - kompletnie nic nie rozumiałem. Czyżby wzięła mnie za kogoś innego? Do licha, a już myślałem, że po prostu jej się spodobałem...

- Wróciłeś, wróciłeś...

Przez dłuższą chwilę nie dało się z dziewczyny nic sensownego wyciągnąć. Próbowałem ją uspokoić, w końcu dałem za wygraną i postanowiłem nie zaprzeczać.

- Owszem, wróciłem. Ale nie na długo, mam do załatwienia pewne sprawy na festynie.

- Ależ milordzie! - Podniosła na mnie zapłakane oczy. - A Riesenkampf?!

- Nie rozumiem - wyznałem szczerze.

- Riesenkampf zdobył tron i faktycznie rządzi całym Zjednoczonym Królestwem! Mój ojciec zginął, lud jęczy pod butem tyra-
na, plugastwo znów podniosło głowę! Za tym wszystkim stoi zło-
wieszczy cię Riesenkampf! Nie możesz dopuścić, żeby pozostał bezkarny!

- Oczywiście, że nie. Ukarzę go niezwłocznie i przykładnie! -
Gdzieś czytałem, że z wariatami lepiej się nie spierać. - A tak przy
okazji, nie macie tu w pobliżu jakiegoś lekarza... na przykład
psychiatry?

- Lekarza? A tak, przecież jesteś ranny! Masz krew na ramie-
niu. Zdejmij koszulę, landgrafie.

- Głupstwo. To tylko draśnięcie.

- Żadnych protestów! Trzeba koniecznie zdezynfekować ranę.
Zaraz przyniosę jodynę i bandaże. - Skierowała się do niewielkiej
szafki.

Po chwili zastanowienia zacząłem rozpinać guziki koszuli. Co
racja, to racja, w tych zatechłych korytarzach mogło się do mnie
pryczepić jakieś paskudztwo. Poczułem lekkie pieczenie i już po
chwili miałem ramię zgrabnie przewiązane bandażem.

- Kim pani jest? - spytałem ponieważ.

- Królową zamku Lockheim - odparła zupełnie naturalnie.

- A ten... Riesenkampf... sam nie wiem, jak to się wymawia...
to pani mąż?

- Jest królem... - Jej głos zdrzął zdradziecko, a na rzęsach
znowu pojawiły się łzy.

- Dobrze, dobrze... - Zrozumiałem, że lepiej zmienić temat. -
Wasze problemy rodzinne to nie moja sprawa. Dziękuję za pomoc, na mnie już czas.

- Jak to? Milordzie, w twoich rękach jest Miecz Bez Imienia!
Naprawdę nam nie pomożesz?

- A co trzeba zrobić? - Skłoniłem się dworsko.

- Zabić Riesenkampfa!

Popatrzyłem w milczeniu na kobietę. Wreszcie, przypominając sobie o chorobie nieszczęśnicy, zawołałem:

- Zabić? Tylko tyle? Godzinę temu posłałem do piekła kilku strażników. Zabić? Nie ma sprawy. Już się robi. Biegnę się tym zająć. Już ja go oduczę podnosić rękę na cudze trony! Gdzie tu jest wyjście?

- O, dziękuję, dziękuję, milordzie... - Kobieta zajaśniała ze szczęścia.

- Ale wyjście, gdzie jest wyjście? - nalegałem.

- Z tego zamku nie ma wyjścia.

Kobieta, lekko zdziwiona, uśmiechnęła się czarująco. Chyba nie mieściło jej się w głowie, że mógłbym nie wiedzieć o tak podstawowych sprawach. Co tam, jakieś wyjście być musi. Co do tego nie miałem wątpliwości. Skoro można wejść, można też wyjść. Chociaż... wyglądało na to, że królowa wie, co mówi. Cóż, jeśli ona twierdzi, że wyjścia nie ma, spróbujemy znaleźć tego uzurpatora. Rzecz jasna, nie miałem zamiaru nikogo zabijać. Nie jestem płatnym mordercą. Po prostu chciałem się dowiedzieć, jak wrócić na festyn i czy nikt nie pociągnie mnie do odpowiedzialności za śmierć tych psychopatów, którzy na mnie napadli. Przyznacie, że to dość skromne pragnienie, a jednak do zrealizowania go było jeszcze bardzo daleko. Tymczasem młoda kobieta chwyciła mnie za rękaw.

- Idą tu! Musisz uciekać, landgrafie! - wyszeptała przerażona.

Jej lęk wyglądał na autentyczny.

- Kto idzie? Proszę się nie denerwować, umiem się zachować w towarzystwie. Pani mąż to niewątpliwie inteligentny człowiek i zrozumie, że...

- To nie mąż, to jego syn! On cię zabije!

Drzwi omal nie wyleciały z zawiasów - osobiście nie pochwalam otwierania drzwi nogą - a stojący na progu chłopak o płowych włosach i twarzy narkomana wyglądał jak żywcem wyjęty z filmu o Wojnie Dwóch Róż. Miał na sobie błękitną kamizelę wyszywaną złotem, wąskie aksamitne spodnie, zakurzone buty i całe mnóstwo przeróżnych łańcuszków, pierścionków i bransolet; na złotym pasie wisiał długi, wąski sztylet. Nietrudno było zauważyć, że szczegóły jego ubrania kompletnie do siebie nie pasowały. Najwyraźniej młodzieniec nie grzeszył dobrym gustem.

- Książę Rajumsdal... - szepnęła królowa i przyłgnęła do mnie

jeszcze mocniej.

Chłopak wlepił we mnie wyblakłe oczy.

- Co, dranie, nie spodziewaliście się mnie? - odezwał się w końcu dziwnie piskliwym i przenikliwym głosem. - Znowu coś knujesz przeciwko mojemu ojcu, ty zdziro?

Nie wiem jak wy, ale ja nigdy nie wiem, jak się zachować wobec takiego otwartego chamstwa. Po prostu nie znajduję słów. Najwyżej mogę strzelić w mordę.

- Lordzie, proszę uciekać! On na ciebie doniesie!

- Zamknij się, łajdaczko!

I chwycił za rękojeść sztyletu.

- Ej, kolego! - odezwałem się, czując, że ogarnia mnie wściekłość. - Bądź tak dobry rozmawiać nieco grzeczniej z własną matką!

- Matką? - Smarkacz zaśmiał się urywanym, szczekliwym śmiechem. - To nie jest moja matka! To tylko żona mojego ojca, poślubiona przez niego z litości i głupoty. Widzę, że nie tylko knuje intrygi przeciwko niemu, ale w dodatku zdradza go z jakimś żebrakiem!

Tego było już za wiele. To prawda, nie ubieram się u Armaniego, ale porządne dzinsy i koszula Mustang to w końcu nie łachmany. W każdym razie w swoim środowisku nie wyglądałem na żebraka.

- Uciekaj, landgrafie! - Królowa dramatycznie załamała ręce. - Jeszcze zdążysz! Bramy są otwarte do zachodu słońca.

- Do stu tysięcy diabłów! Nigdzie nie uciekniesz, łajdaku! Twoją głowę powieszają na bramie zamku!

Stuknięty książkę rzucił się na mnie, wyciągając sztylet z pochwy. Odskoczyłem, podstawilem mu nogę i ten wieszak na biżuterię z brzękiem runął na podłogę. Odruchowo przyłożyłem mu rękojeścią miecza w kark i książkę ucichł.

- Może należałoby go zabić? - zastanowiła się królowa. - Musisz uciekać, lordzie. Miniesz dwa pokoje, potem pójdziesz na prawo, a dalej, za szafą, będą drzwi prowadzące do Środkowego Królestwa.

- Rozumiem, rozumiem - przerwałem jej. - A w tym królestwie zbiorę armię oczajduszów, posadzę ich na ziejące ogniem smoki i zapewniając sobie wsparcie wpływowych magów, zaatakuję zamek. Hura, hura! Riesenkampf bierze nogi za pas, zwycięstwo! Absolutny i powszechny happy end\

- Tak... - powiedziała królowa niepewnie. Chyba mój nieszczerzy zapal zasiał w jej duszy ziarno wątpliwości. - Tak właśnie powinno być. Ale... ty, milordzie, wydajesz mi się dziwny. Jak brzmi twoje imię?

- Andriej.

- Andriej! - powiedziała łagodnie królowa, przeciągając syla-

by. - Andriej, Andriej... Andrzej, Andreas, Andre... Dziwne imię. Zbyt krótkie dla landgrafa Miecza Bez Imienia. Skąd właściwie masz ten miecz?

- Chyba już pójdę. - Nie miałem najmniejszej ochoty na przesłuchanie. - Już czas, już czas, bo jeszcze zamkną bramy. Jaka pogoda?

- Wiatr...

- Nie zmarznę?

- Nie.

Królowa podeszła do jednej z szaf i wyjęła długi fioletowy płaszcz ze szlachetnego materiału. Narzuciła mi go na plecy i, stając na palcach, zapięła pod szyją okrągłą broszą. Brosza wyglądała na srebrną.

- Idź, lordzie Andrieju. Niech cię Bóg chroni i prowadzi. Będę go o to prosić nieustannie.

Poczułem się nieswojo. Nie mogłem przecież dłużej oszukiwać tej biednej, chorej kobiety. Co ten Riesenkampf sobie myśli? Nie wiem, co tam się dzieje w ich rodzinie, ale biedaczka tak bardzo potrzebuje dobrego specjalisty, że niedostrzeganie tego to po prostu skandal.

- Jak pani na imię?

- Jestem królowa Tanitriel - odpowiedziała cicho, ale dumnie.

- Tanitriel...-powtórzyłem.

W końcu królowa zdecydowała się odprowadzić mnie do bramy. Wróciliśmy do ekskluzywnego biura, przez inne drzwi przeszliśmy do salonu pełnego ultranowoczesnych mebli w stylu amerykańskiej awangardy, i wtedy zostaliśmy odkryci. Każdy z tych pokoi miał co najmniej dwoje drzwi. Przez jedne weszliśmy my, a w drugich pojawił się elegancko ubrany, chyba czterdziestoletni mężczyzna. Szary garnitur, modna fryzura, drogie buty, wzdrgliwe spojrzenie i masywny pierścień na lewej dłoni - udana krzyżówka dobrze prosperującego biznesmena i zblazowanego mafioso. Domyśliłem się, że to właśnie Riesenkampf- syn był uderzająco podobny do ojca.

Przeszedł przez pokój, jakby nas nie zauważając, i opadł na fotel. Powiało chłodem i zrozumiałem, że ucieczka nie ma sensu.

- Jeszcze ci się nie znudziło, Tanitriel? - zapytał nonszalancko.

Królowa wyprostowała się z godnością, ale nic nie powiedziała.

- Nowy landgraf Miecza Bez Imienia? To upiorne żelastwo ciągle znajduje nowych pretendenców. Młody człowieku, poinformowano pana, że jest pan trzynasty z kolei?

Pytanie najwyraźniej skierowane było do mnie. Wszystko w tym gładkim typie budziło moją nieufność. Na wszelki wypadek ścisnąłem rękojeść miecza.

- Nie, nie poinformowano. Jestem tu od niedawna. Spacerowałem w pobliżu i... tak jakoś wyszło. Dlaczego trzynasty?

- Dlatego, że dwunastu bohaterów różnych epok i narodowości chwyciło za tę broń w daremnej próbie zlikwidowania mnie. Wszyscy zginęli.

Zrobiło mi się nieswojo. Zerknąłem na królową spode łba, Tanitriell spuściła wzrok.

- Naprawdę wszyscy?

- Wszyscy - potwierdził ze smutkiem mężczyzna.

- Nie uprzedziła mnie pani... To musi być jakaś pomyłka. Nie jestem bohaterem, nikomu nie zagrażam, a ten miecz spadł mi na głowę zupełnie bez uprzedzenia.

- Tak, tak... On zawsze tak postępuje - Riesenkampf pokiwał ze współczuciem głową. - A moja piękna żona wmówiła sobie, że jestem tyranem i uzurpatorem. Uparcie snuje intrygi przeciwko mnie. To przez nią zginęło już dwunastu niegłupich facetów. Proszę mi powiedzieć, czy ja wyglądam na tyrana?

- Ależ skąd - skłamałem na wszelki wypadek.

- No właśnie. A ona nie chce wierzyć. I co, pana też namówiła do zabicia mnie?

- Łajdaku! - Tanitriell nie wytrzymała, zalała się nagle łzami i wybiegła z pokoju.

Zostaliśmy sami.

- Takie są kobiety! - Riesenkampf rozłożył ręce. Z każdą chwilą coraz bardziej mi się nie podobał. - Niech pan siada, porozmawiamy.

- Z najwyższą przyjemnością ale bardzo się spieszę. Zostawiłem żonę na festynie, będzie się niepokoić. Wybacz pan, ale na mnie już czas.

- Czyżby królowa nie powiedziała panu, że stąd nie ma wyjścia?

- Jak to nie ma? Przecież wszedłem!

- Wejście jest, wyjścia nie ma. Przecież nie mogę dopuścić, by do waszego świata przeniknęły jakieś pogłoski.

- Jakie pogłoski? O niczym nie mam pojęcia i niczego nie zrozumiałem.

- I bardzo dobrze. Chyba nie zaczekamy, aż pan zrozumie... Jego głos był nadal spokojny i obojętny, ale mnie aż trzęsło. Byłem wściekły.

- Niech się pan nie denerwuje, nie jestem sadystą, umrze pan szybko i bezboleśnie - rzucił facet.

- Ale dlaczego?!

- Przepowiednia, mój drogi - mruknął, wstając z fotela. - Ojciec zawsze powtarzał, że nie można darować życia landgrafowi Miecza Bez Imienia!

Na te słowa miecz w mojej ręce jakby ożył. Klinga ze świstem spadła na głowę Riesenkampfa. Ale wspaniała stal odbiła się jak od niewidocznej bariery. Uderzyłem jeszcze dwa razy. Bez zmian. Mój

miecz raz po raz odskakiwał od złocistego lśnienia, które otaczało postać Riesenkampfa. W końcu mafioso klasnął w dłonie i do pokoju wpadły dwa posepne draby z ogromnymi pistoletami w dłoniach. Kształt broni wydał mi się dość niezwykły... Gdy promień lasera uderzył w ścianę nad moją głową rzuciłem się do ucieczki. Na szczęście strzelcy z nich byli kiepscy. Korzystając z okazji, skończyłem do najbliższych drzwi, przewróciłem kogoś po drodze i puściłem się pędem. Ze współczesnych pokoi wypadłem prosto na średniowieczne korytarze. Hałas w oddali nie milknął, ścigali mnie jak zająca. W końcu jednak udało mi się zmylić pogonię i po godzinie błąkania się natrafiłem na mały pokoik. Toporny stół, taboret, stara szafa - oto całe umeblowanie. Już miałem biec dalej, gdy za zakrętem rozległy się kroki. Szybko wskoczyłem do pokoju i wcisnąłem się do szafy, pomiędzy wiszące tam ubrania. Krok, jeszcze jeden... Szafa okazała się dość przestronna. Przy trzecim kroku w oczy uderzyło mnie ostre światło i zrozumiałem, że spadam w niebyt. Świeci piękne słońce. Wieje lekki wietrzyk. Koło ucha gra mi pasikonik. Pierwsze wrażenia, pierwsze myśli. Stop! Myślę, więc chyba jednak jestem! Spróbujmy otworzyć oczy. Udało się! Powoli obmacując całe ciało, doszedłem do wniosku, że chyba jestem cały. Staranniejsze oględziny potwierdziły tę wstępną diagnozę. Sam, nie wiadomo gdzie, ale cały i zdrowy, a to już dużo! Na tym etapie nawet tak małe zwycięstwo dodawało sił.

Rozejrzałem się. Wyrzuciło mnie na wysokie wzgórze, prosto na ukwieconą łąkę. Nieopodal zielenił się las, pod wzgórzem płynęła wąska rzeczka, a na horyzoncie rysowały się wieże miasta, sądząc z sylwetek domów, średniowiecznego. Wokół mury z bramami. A więc nadal tkwiłem w dzikim średniowieczu! Radość z powodu ocalenia umknęła bezpowrotnie. Przyznaję, w dzieciństwie marzyłem o romantycznej przygodzie z pięknymi damami, rycerzami i czarownicami... no to teraz, proszę bardzo, dostałem, co chciałem. Tylko dlaczego nie skaczę ze szczęścia? Do licha, co za idiotyczna sytuacja! Gdzieś w innym świecie czeka na mnie żona, a ja nie mam pojęcia, kiedy się stąd wydostanę... i czy w ogóle. Nagle z szumem skrzydeł przeleciał nade mną złocisty smok... O mamó! Ratunku! Ja chcę do domu! Mam po dziurki w nosie tych atrakcji! Siedziałem tak i rozpaczałem blisko godzinę. Wreszcie spojrzałem na słońce - zbliżało się południe - wziąłem miecz pod pachę i zdecydowanym krokiem ruszyłem w stronę miasta. Nie miałem wyjścia, musiałem spróbować tu jakoś żyć... oczywiście do czasu. Poza tym zrobiłem się głodny. Zszedłem ze wzgórza i przechodząc przez rzeczkę po kamieniach, odkryłem ścieżkę prowadzącą do lasu. Wszedłem na nią w nadziei, że w końcu zaprowadzi mnie do ludzi. W lesie było chłodno, przejrzyste powietrze pachniało zielenią, ptaszki śpie-

wały, ktoś gdzieś krzyczał... Jednym słowem, sielanka. Zaraz, zaraz: skoro krzyczy, to pewnie nie bez powodu! Wkrótce wszystko się wyjaśniło. Na małej polanie dwóch potężnych drabów o twarzach debilów zdierało kurtkę z chudego, jasnowłosego szesnastolatka. To właśnie chłopak, wijąc się i podskakując, wrzeszczał: „Ratunku! Pomocy!” Szczerze mówiąc, nie lubię strugać bohatera i wkładać palca między drzwi, więc postanowiłem ominąć całe towarzystwo. Gdy przechodziłem obok, krzyki biedaka świdrowały mi w uszach. Właśnie ich mijałem, gdy jeden z łotrów zaśmiał się nieprzyjemnie i warknął:

- Nie drzyj się tak! Myślisz, że on cię obroni?

Niepotrzebnie się odzywał. Jakaś siła szarpnęła mnie za ramiona, odwróciła i nogi same zanosły mnie z powrotem.

- Puśćcie to dziecko! - Nie poznałem swojego głosu, przepelnionego mocą i wściekłością.

- Dziecko? - Dwóch drabów popatrzyło na siebie. - Idź spokojnie w swoją stronę, wędrowcze, i nie przeszkadzaj dobrym ludziom trochę się rozerwać.

- To rycerski obowiązek stawać w obronie słabych i uciśnionych! - Chyba gdzieś czytałem, że rycerze budzili postrach, a te typki wyraźnie należały do półświatka.

- O, rycerz! - Zachichotali. - A gdzie masz konia? A zbroję?

Albo chociaż tarczę z herbem? Zgubiłeś czy sprzedałeś? A w ogóle to zjeżdżaj stąd. Nie boimy się twojego miecza!

- I nawet jesteśmy gotowi kupić go po przystępnej cenie... -

Mrugnął do mnie pierwszy.

- Powiedzcie chociaż, po co wam to niewinne dziecko?

- No właśnie. - Drugi obleśnie się uśmiechnął. - Niewinne!

Słuchaj, a może też byś chciał, co? Mógłbyś się zabawić. Zaraz po nas... - Zaczął powoli rozpinąć pasek chłopca.

Wtedy nie wytrzymałem. Mnie uznali za pedała! Ośmielili się zaproponować coś takiego! Ująłem miecz jak pałkę i zdążyłem uderzyć trzy razy. Jeden się zwałił, gdy dostał rękojeścią w nos. Drugi oberwał płazem w twarz, więc poprawiłem ciosem w skroń. Walka trwała całe ćwierć minuty. Chłopiec stał cichutko i patrzył na mnie okrągłymi błękitnymi oczami.

- No cóż, mały, chodźmy stąd, zanim tych dwóch odzyska przytomność. Znasz drogę do miasta?

Skinął głową. Włożyłem miecz pod pachę i ruszyłem. Ocalony chłopak trzymał mnie za rękaw i nie przestawał mi się przyglądać z lękiem w oczach. Dopiero pół godziny później uspokoił się na tyle, że mogliśmy porozmawiać.

- Jak masz na imię, mały?

Zamiast odpowiedzieć, chłopak padł mi do nóg.

- Wybaczcie mi, panie rycerzu!

Westchnąłem. W młodości przeczytałem sporo historycznych książek, więc trudno byłoby mnie zaskoczyć.

- Dobra, dobra, wstawaj. Przestań się zgrywać.

- Wybaczcie mi!

- Już ci wybaczyłem! Wstawaj, ale już. Co przeskrobałeś?

Okradłeś kogoś, zabiłeś, robiłeś przekręty finansowe?

- Ależ, panie! - Chłopak znowu się przeraził. - Jak mogliście coś takiego pomyśleć przysięgam na Pana naszego, Jezusa Chrystusa...

- Wierzę ci, wierzę. No więc co się stało?

Popatrzył na mnie jakoś dziwnie, a potem zdecydował się nagle i wypalił:

- Uciekłem z domu!

- Tylko tyle? Też mi przestępstwo... - prychnąłem. - Rodzice robili problemy?

- Nie... Rodzice umarli. Ale mój wujek... - Głos mu zadrżał. - Chciał mnie wydać... to znaczy, ożenić!

- Ho, ho! A więc uciekłeś sprzed ołtarza?

- Tak, panie.

- Dobrze, chłopcze. Mam na imię Andriej, a ty?

- Lij.

- Lij? Dziwne imię.

- Wasze również, panie rycerzu. A skąd pochodzicie? Z jakiego rodu? Macie przydomek? A tytuł, a herb?

Krótko mówiąc, zasypał mnie gradem pytań. Zebrałem myśli i postanowiłem starannie odpowiedzieć na wszystkie.

- Przybywam z daleka. Co do tytułu... jestem... landgrafem Miecza Bez Imienia, właśnie tego tu. Herb? - Zerknąłem na broszę przytrzymującą płaszcz. Było na niej coś w rodzaju eksplozji, a może drzewo korzeniami do góry... albo ośmiornica. Chyba się nada.- Oto mój herb: Ośmiornica! A przydomek... Nie wiem, jeszcze nie mam.

Twarz dzieciaka bladła coraz bardziej i jakby się wydłużała, szczeka opadła, a oczy zrobiły się niemal kwadratowe. Wydał cichy okrzyk i znowu padł mi do nóg.

- O, nie! Tylko nie to, wstawaj natychmiast!

- Błagam o wybaczenie, milordzie!

- Za co? - ryknąłem.

- Byłem niewybaczalnie śmiały wobec was. Wobec samego landgrafa! Czy to naprawdę Miecz Bez Imienia?

- Myślę, że tak. Wstawaj, smarkaczu... W każdym razie dwoje moich znajomych tak nazwało to żelastwo.

- A można im wierzyć? - Chłopak wstał, ale nadal zachowywał się nieufnie.

- Czy ja wiem? Tak powiedziała królowa Tanitriel, a niejaki

Riesenkampf to potwierdził.

- Kto?

Ledwie zdążyłem go podtrzymać, Lij stracił przytomność. Położyłem go na trawie i w posępnej zadumie usiadłem obok, miecz kładąc na kolanach. Zbyt wiele zagadek i niewiadomych. Co prawda tytułu sam sobie nie nadałem, to oni... A chłopiec najwyraźniej nadwrażliwy. Co go tak zdenerwowało? Muszę go chyba ocucić. Jak to się właściwie robi? Chyba klepie się po twarzy i wlewa koniak do ust. Koniaku nie mam... Poprzestaniemy na klepaniu.

- Milordzie... -jęknął żałośnie chłopiec.

- Wszystko w porządku, młody? - zapytałem. - Nie byłeś czasem w dzieciństwie pod stałą opieką lekarza?

- Naprawdę ją pan widział?

- Kogo?

- Królową Tanitriel...

- Tak jak ciebie teraz. Ucieliśmy sobie pogawędkę.

- Aten...

- Riesenkampf?

- Milordzie, tego imienia nie wolno wymawiać na głos. To potężny czarownik! Sam król się go boi.

- Hm... Nieciekawie to wygląda. Chyba niepotrzebnie nadeptałem mu na odcisk.

- Co?!

Przestraszyłem się, że znowu straci przytomność.

- Nie, nie! Nie bierz tego tak dosłownie! Miałem na myśli...

W oddali pokazały się wieże miasta.

Mury wyglądały bardzo przekonująco, żadna tam teatralna scenografia. Podeszliśmy do bramy, ale okazało się, że jest zamknięta na amen. Lij, jako bardziej doświadczony w tych sprawach, zaczął wrzeszczeć: „Otwierać, durnie!” Za jego przykładem ja też kilka razy wałęnałem w bramę rękojeścią miecza. W wąskim oknie pojawiła się nieogolona fizjonomia.

- Kogo diabli niosą?

- Otwieraj, draniu!

Pertraktacje prowadził Lij, nawet dość pewnym tonem. Ja bym tak nie potrafił.

- Po cholere tak się wydzieracie, pytam?

- Otwieraj bramę, mówię! Mój szlachetny pan nie przywykł czekać!

- Jaki znowu pan? - burknął strażnik niezadowolony.

- Landgraf Miecza Bez Imienia, szlachetnie urodzony lord Osiernica!

Co takiego? Nie od razu zrozumiałem, że chodzi mu o mnie.

Strażnik zniknął.

- Posłuchaj, przyjacielu, dlaczego nazywasz mnie Osiernica?

- Jak to? - zdumiał się Lij. - Przecież sami powiedzieliście! -
I wskazał palcem moją zapinkę.

- Przecież to... to przecież ośmiornica, a nie jakaś osiernica!
Pojawił się strażnik:

- Szlachetny lordzie Osiernica! Nasz król rad by ujrzeć twoje
waleczne czyny pod murami naszego miasta. Dokonaj jakiegoś
bohaterskiego czynu, a wrota sławy i chwały otworzą się przed
tobą. Oto słowo króla!

- Co on chciał przez to powiedzieć? - zapytałem oszołomiony,
gdy strażnik zniknął.

- Poczekamy... - Lij filozoficznie wzruszył ramionami.

- Na co mamy czekać?

- Może nadjedzie jakiś rycerz, a wy go pokonacie? Albo podej-
dą wrogowie i ich przepędzicie? Albo nadleci smok i go zabije-
cie, albo...

- Dosyć! - Zerwałem się. - Jasne, od dziecka marzyłem o ta-
kich rozrywkach! Komedianci! Niech sobie poszukają innych gla-
diatorów... Co ci strzeliło do głowy, żeby nazywać mnie swoim
panem?

- Lordzie Osiernico... - Lij zamrugał żałością. - Chyba mnie
nie przegonicie? Będę wiernym sługą! Bardzo, bardzo wiernym!

- Aleja nie potrzebuję sługi! Jestem tutaj przypadkiem, nie mam
pieniędzy ani pozycji, ani wpływowych przyjaciół...

- Nie przepędzajcie mnie, lordzie... - Z oczu dzieciaka trysnę-
ły łzy. - Dokąd ja biedny pójdę? Każdy może mnie skrzywdzić...
Umrę u waszych stóp. Nie przeganajcie mnie, panie!

Nie potrafię znieść łez. Mały najwyraźniej mnie rozgryzł i teraz
w najlepsze to wykorzystuje. Co ja na to poradzę, że mam mięk-
kie serce?

- Nie rycz! Dobrze, uznajmy, że zostałeś przyjęty. Ale uprze-
dzam: charakter mam trudny, perspektyw żadnych, a pensję wstrzy-
muję ci na czas nieokreślony!

- Dobrze, milordzie! Oczywiście, milordzie! - Lij nie nadązał
kiwać głową. Łzy od razu przestały płynąć, a na jego twarzy poja-
wił się taki błogi wyraz, aż zrobiło mi się głupio. Ideały wolności,
równości i braterstwa najwyraźniej nie cieszyły się popularnością
w tych stronach.

Nieoczekiwanie zza załomu murów wynurzył się jeździec. Na
nasz widok radośnie podskoczył w siodle i podjechał bliżej. Nie
wiem jak wy, aleja po raz pierwszy miałem okazję zobaczyć z bli-
ska prawdziwego rycerza w kompletnym stroju. Kupa żelastwa,
mnóstwo rzemieni, szmatek, piór i najróżniejszej broni, a na tar-
czy widniała czarna ropucha tuląca do piersi białą różą. Potężny
gniady koń dźwigał cały ten ciężar. Mimo woli poczułem głęboki
szacunek do tego zwierzęcia. Tymczasem rycerz zadudnił coś

przez otwory w przyłbicy.

- Pyta, kim jesteście - domyślił się Lij i od razu podał wszystkie informacje: - Szlachetny lord Osiemica, landgraf Miecza Bez Imienia, rad będzie skrzyżować oręż z godnym przeciwnikiem. Rycerz zachichotał głośno. Ten śmiech jak z puszkii okropnie mnie drażnił.

- No i czego rżysz? Co takiego śmiesznego powiedział mój sługa?

- Nikczemniku! - odparł rycerz, podnosząc przyłbicę. - Nie masz konia, zbroi, tarczy ani nawet ostróg! Jak śmiesz nazywać się lordem? Wstydzę się kalać o ciebie broń. Uciekaj stąd, błaznie jarmarczny, bo kopyta mojego konia zatańczą na twoim grzbiecie! Mówił ostro, ale jego głos nie brzmiał zbyt pewnie... I właśnie ta słabość mnie ośmieliła.

- Sam się wynoś, ostrzygo nieszczęsna! Gdybym miał nóż do konserw, inaczej byś śpiewał! A co do mojego konia i zbroi... sam wiesz, bogacze mają swoje dziwactwa! Nie boją się ciebie, więc przestań mnie straszyć. W walce mój miecz okaże się więcej wart niż całe twoje żelastwo! - wypaliłem. Chyba poskutkowało. Rycerz opuścił przyłbicę i zawrócił konia. Lij patrzył na mnie z zachwytem.

- Pokaże mu pan, gdzie raki zimują, milordzie?

- Co takiego? - nie zrozumiałem.

- Przecież właśnie przed chwilą śmiertelnie go pan obraził i wyzwiał na pojedynek. Teraz on zaatakuje.

.. Masz ci los! Ten napakowany kretynek faktycznie zaczął rozpędzać swojego rumaka i mocniej ujął kopię. Rzeczywiście miał zamiar walczyć! Muszę przyznać, że w pierwszej chwili chciałem wziąć nogi za pas. Cóż, każdy człowiek, jeśli tylko nie jest wariatem czy samobójcą, postąpiłby tak samo. Był jednak pewien problem... Dokąd miałem uciec? W pole nie pobiegnę, bo mnie dogoni. Do miasta mnie nie wpuszczą...

Odwróciłem się i ujrzałem tłum ludzi na murach. Wykrzykiwali coś, wyraźnie podekscytowani spodziewanym widowiskiem. Lij skakał wokół mnie jak szalony królik, przez cały czas wrzeszcząc jak opętany: „Pokażecie mu, milordzie?“, a rycerz już brał rozbieg. Co mogłem zrobić? Całe doświadczenie człowieka XX wieku, z całą jego nauką, techniką i furą wiadomości, od których mój przeciwnik dostałby kręcka, było tutaj bezsilne! Właściciel ropuchy i róży miał zamiar przyszpilić mnie do bramy miasta. Dźwięcznie zastukały kopyta, mój miecz zadrżał, rękojeść zaś wyraźnie spotniała. I wtedy nieoczekiwanie spłynął na mnie zdumiewający spokój. Uniosłem miecz nad głowę i ruszyłem w stronę brzęczącego żelastwem wroga. Jeśli chcecie doświadczyć czegoś podobnego, spróbujcie zaatakować czołg golarką Gillette... To, co się teraz działo, praktycznie nie zależało ode mnie. Gdy broń blasza-

nego rycerza znalazła się metr od mojej piersi, uskoczyłem w bok, a Miecz Bez Imienia sięgnął do drzewca kopii i miękko skierował je w dół, ku ziemi... Ach, co to był za efekt! Coś na kształt skoku o tycze z galopującego konia. Rycerz przeleciał trzy metry i na tej samej wysokości rąbnął w mur.

Zsuwał się powoli i z gracją. To, co minutę temu było dumnym rycerzem, teraz przypominało stertę złomu. Lij piszczał tak przeźliwie, że zagłuszał nawet ryk tłumu na murach. W okienku znowu pojawił się strażnik i uśmiechając się szeroko oznajmił:

- Szlachetny lordzie Osiernico, landgrafie Miecza Bez Imienia, wszyscy widzieliśmy wasz czyn. Bramy miasta zostaną otwarte. Nasz król czeka na was z uczcą, a teraz służby zaprowadzą was do wyznaczonych komnat.

Brama otworzyła się powoli. Lij pobiegł pierwszy, a ja postanowiłem się na chwilę zatrzymać. Nie uwierzycie, ale zrobiło mi się żal tego biednego rycerza. Strażnik zdumiał się.

- Po co on wam, milordzie?

- Przecież nie mogę zostawić go tu samego, nieprzytomnego i rannego! Chcę go zabrać ze sobą. No, mój drogi, pomóż mi, tylko żywo!

- Aha! - olśniło czujnego wojaka. - Pewnie chcecie zabrać jego zbroję, broń i konia! Pewnie, pewnie, tak ma być po sprawiedliwości. Wszystkie trofea należą do zwycięzcy. Pomogę wam zdjąć z niego zbroję.

Bez jego doświadczenia spędziłbym tu pewnie cały dzień. Nie do wiary, z ilu kawałków składa się taki rycerz - samo żelazo! Zapakowaliśmy zbroję do worka, zdobytego gdzieś przez rączego Lija, złapaliśmy konia i przerzucając nieprzytomnego rycerza przez siodło, wkroczyliśmy do miasta. Strażnik mrugnął do mnie porozumiewawczo.

- Już pojmuję! Chcecie wziąć za niego okup! Tylko żebyście nie żądali za mało, chłopak pochodzi z bogatej rodziny...

Zatrzymaliśmy się w królewskim zamku. Przygotowano dla nas pokoje różnej wielkości, ale wszystkie wysprzątane i wspaniale umeblowane: duży salon z kominkiem (ogromny stół, ławy i broń porozwieszana na ścianach), sypialnia (wprawdzie z jednym łóżkiem, ale za to ogromnym i zasłanym dobrze wyprawionymi niedźwiedzimi skórąmi) i najmniejszy pokój, w którym stała ogromna drewniana balia, a obok niej kilka wiader z wodą. Toaleta w podwórzu, kompletny brak okien. Przyszli służby, pokłonili się w pas, rozpalili ogień w kominku, postawili na stole wino i owoce i zaczęli napełniać balię gorącą wodą. A Lij przez cały ten czas próbował zrozumieć, po co właściwie wzięliśmy ze sobą pokonanego rycerza.

- Zrozum wreszcie, tępaku! - tłumaczyłem mu po raz piąty. - Po pierwsze, chodzi o elementarne zasady humanitaryzmu. To przecież człowiek, tak jak ja, też nie mógł wejść do miasta bez dokonania bohaterskiego czynu. Po drugie, można na nim zarobić. Strażnik przy bramie zapewniał, że za tego typka powinni dać niezłą sumkę.

- A! To zupełnie inna sprawa, milordzie. Wziąć za niego dobry okup, to rozumiem! A na razie będziemy go trzymać na łańcuchu o chlebie i wodzie.

- Odbiło ci? - Osłupiałem. - Skąd u szesnastoletniego pętaka takie sadystyczne skłonności?

- Wszyscy tak robią - odparł cicho Lij, który nie zrozumiał ani słowa, ale wyczuł moje niezadowolenie.

Przyjrzałem się uważnie rycerzowi, który nadal nie odzyskiwał przytomności. Wysoki, dobrze zbudowany młodzik. Kasztanoworude włosy, ostrzyżone na pазia, regularne rysy twarzy, na czole zaś wielki guz. Widocznie nawet hełm z przyłbicą nie zawsze zapewnia pełną ochronę.

- Ładnie go pan załatwił - powiedział zachwycony Lij, patrząc na mnie niewinnymi błękitnymi oczami.

- Przestań, lizusie - mruknąłem, choć w głębi ducha byłem zadowolony. - Kiedyś nauczę cię kilku chwytów i będziesz mógł wystartować nawet na sześciu. Trzask, prask i po zawodach. Nawet taki buldożer nie da ci rady.

- O... - Lij zajaśniał. - A co to takiego buldożer?

Rycerz jąknął i otworzył oczy. Podbiegliśmy do niego. Patrzył na przemian na mnie i na młodego Lija. W końcu nie wytrzymałem:

- No, powiedzże coś! Nie jesteś ranny? Kości masz całe? Głowa nie boli?

- Nie-e...-wyjąkał.

- To co się wylegujesz? Wstawaj! - zażądał groźnie Lij.

- Nie bijcie mnie... - Przestraszony rycerz zasłonił się ręką.

Jego pięść była zaledwie trochę mniejsza od mojej głowy... Albo smarkacz miał kompleksy, albo po prostu był tchórzem.

- Uspokój się, nikt nie ma zamiaru cię krzywdzić. Chyba już się nauczyłeś, że nie należy atakować pieszego przeciwnika, w dodatku mając przewagę uzbrojenia. Ja nazywam się Osiernica, on ma na imię Lij, a ty?

- Jean Baptiste Claude Chardin le Bouille de Guerre! - wymówił bardzo starannie.

- Słowo daję, Buldożer! - Lij patrzył na mnie osłupiały. - To wy go znacie?

Do drzwi ktoś zastukał. Wszedł sługa i oznajmił, że ucza znacznie się za dwie godziny, król zaś prosi, abym przyjął od niego ten uroczysty strój w dowód wdzięczności za wspaniałe widowie-

sko. To mi pochlebiło...

Umyłem się pierwszy, a Lij i Jean oglądali prezenty. Trzeba przyznać, że najładniejsze ciuchy dostały się Lijowi, nieco skromniejsze mnie, a dla biednego Boule de Guerre'a zostały wyłącznie rzemyki, sprzączki i wstążeczki.

- Młody przyjacielu! - zacząłem uroczyście. - Zasuważ do wanny, a my poradzimy tu sobie bez ciebie. I nie terroryzuj Buldożera, chłopak i tak jest strasznie nieśmiały. - Odwróciłem się do rycerza: - A ty? Wierzyć się nie chce: chłop jak dąb, a pozwala się obrażać byle dzieciuchowi.

- A co? - Lij się nadał. - Przecież ja się o was troszczę. Myślicie, że mi to wszystko potrzebne? To i tak nie mój rozmiar, a fason to w ogóle... Można by uszyć na miarę, pewnie, ale...

- Ja ci zaraz uszyję! Biegiem do mycia! Król na nas czeka.

Gdy drzwi do pokoju z balią się zamknęły, poprosiłem Jeana o pomoc w wyborze stroju. Co ja poradzę, że nie pamiętam, jak w tamtych czasach rycerze ubierali się na szczególnie uroczyste spotkania! Jean skinął głową, szybko wyciągnął ze stosu ubrań cienką koszulę z koronkami - coś fantastycznego, ręczna robota, marzenie! Potem jakieś obcisłe spodnie, chyba z łosiowej skóry, przymierzyłem i odłożyłem na bok, lepiej pójdą w dzinsach. Ale kurteczki mieli bardzo przyjemne; wybraliśmy jedną, ciemnozieloną, do tego srebrzysty wisior. Butów w moim rozmiarze nie było i musiałem zostać w adidasach. Wyobrażacie sobie coś takiego? Od pasa w górę - średniowieczny rycerz, od pasa w dół... Powiadam wam, niezapomniany widok.

- Ty też musisz się umyć, Jean. Mam nadzieję, że Lij zaraz wyjdzie. Coś długo się pucuje ten nasz nieznośny chłopak.

- Lordzie Osiernico, dlaczego mówi pan o nim chłopak? - Jean uśmiechnął się nieśmiało.

- Pójdę go trochę pogonić - zdecydowałem, nie zwracając uwagi na jego słowa.

- Może lepiej nie?

- Dlaczego? - spytałem, odwracając się do niego. Jean od razu stracił rezon i spuścił wzrok na szmatki.

- Posłuchaj, przyjacielu - westchnąłem. - Porozmawiajmy otwarcie. Zapomnij o dzisiejszej przegranej. To nie ja cię pokonałem, tylko Miecz Bez Imienia. Widzisz, ta klinga to takie dziwo, że robi tylko to, na co ma ochotę. Nie miej do mnie żalu. Nie zamierzam żądać za ciebie okupu, możesz wrócić do domu choćby dziś. Konia i zbroję też zabierz...

Jak widzicie, ze wszystkich sił próbowałem być wielkoduszny. Wyobrażcie więc sobie moje rozczarowanie, gdy Buldożer padł mi do nóg i ryknął jak przedtem Lij:

- Nie wyganiajcie mnie, szlachetny lordzie! Mój ojciec tego nie

przeżyje. Już sześć razy oddawano mnie za okup, dwa razy za darmo. Ojciec powiedział, że pozbawi mnie spadku, jeśli nie wsławię się jakimiś czynami. Jak mam to zrobić? Nie potrafię i nie chcę się bić! Ręce mi drżą, a oczy same się zamykają... Nie wyganajcie mnie!... Ojciec mnie wyklnie, a potem umrze ze wstydu. Jestem jego jedynym synem i... i tchórzem. Jestem tchórzem, mi lordzie! Ja...

- Chwileczkę! - Zatkalem mu usta dłonią. - Wszystko rozumiem. Jesteś tchórzem, pięknoduchem i nie masz ochoty okładać innych dyszlem, ponieważ to nieetyczne. Rozumiem cię. Ojciec, tyran i despota, chciał wychować dziecko na wielorybnika w zbroi, ale nie wyszło, a teraz kipi gniewem i rozgląda się za czymś ciężkim do udzielenia rodzicielskiego błogosławieństwa. Tak?

- Tak - skinał głową Jean.

- Ale co ja z tobą zrobię? Gdzie cię podzieję? Sługę już mam chociaż, przysięgam, pojęcia nie mam, po co mi sługa!

- Będę waszym giermkim, lordzie Osiernico! - ożywił się Jean. - Przecież pochodzicie ze szlchetnego rodu, nie wstyd mi będzie wam służyć. Wielu rycerzy tak zaczynało. Pozwolicie, że zapytam, kim są wasi szlchetni rodzice?

- Hm... ojciec jest hydraulikiem, a mama laborantką w stacji epidemiologicznej - powiedziałem w zadumie.

- Zapewne wasz ród jest jeszcze bardziej znamienity niż przypuszczałem. W naszym królestwie nikt nigdy nie słyszał o takich tytułach i rangach.

- Mam jeszcze brata zaopatrzeniowca... - pochwaliłem się słabo i usłyszałem w odpowiedzi pełne szacunku: „Ooo!” - Słuchaj, Buldożer... to znaczy Jean. Żałuję, ale chwilowo nie mam pieniędzy i nie stać mnie na giermka.

- Ja mam pieniądze! - wykrzyknął rycerz, pogrzebał w bagażach i wyjął pękatą sakiewkę. Patrząc w oddane oczy tego biednego chłopca, zrozumiałem, że po prostu nie zdołam mu odmówić.

- Co on tam robi, do licha? Postanowił się utopić, czy co? Bul... Jean, czy mogę cię nazywać Buldożer? To dumny, dźwięczny przydomek, godny giermka takiego szlchetnego lorda jak ja.

- Dziękuję, wasza miłość! - Jean zajaśniał, jakby pobłogosławił go sam papież.

- No więc zapukaj do drzwi i popędź trochę dzieciaka. A najlepiej od razu wskocz do balii, umyj się szybko i migiem wracajcie. Czy to jasne? Rozbieraj się i naprzód marsz!

Chyba chciał coś powiedzieć, ale się rozmyślił. Rozebrał się do koszuli i klapiąc bosymi piętami nacisnął klamkę z miną skazańca. Gdy drzwi się uchyliły, plusk wody i śmiech Lija na chwilę umilkły, a potem rozległ się dziki pisk. Myślałem, że mi bębenki w uszach popękają. Z łazienki wypadł nieszczęsny Buldożer, cały

w pianie i z miednicą na głowie. Rozłożył się na podłodze jak długi, popatrzył na mnie jednym okiem i jęknął żałośnie:

- Nie wchodźcie tam, milordzie... - Zamknął oko i zaczął udawać nieboszczyka. Wszedłem z zamiarem zrobienia awantury, ale gdy znalazłem się w środku, kompletnie zapomniałem o jakichkolwiek pretensjach. W wysokiej balii, po pas w wodzie, stała zgrabna, ładna dziewczyna z krótkimi jasnymi włosami i błękitnymi oczami, zupełnie takimi jak oczy Lija... Ale to nie był on... chyba. Piersi... Piersi były małe, ale kształtne i białe jak mleko. Zaraz, o czym to ja...

- Ach, to wy, milordzie. Proszę wejść! Ten wielki dureń już tu więcej nie przyjdzie?

- N-nie... - Starłem się patrzeć w sufit. - Ty... to znaczy pani... nieźle go pani zdzieliła tym szaflikiem po głowie. Leży teraz i odpoczywa...

- Jestem taka wstydliva... on się tu wdarł...

- A ja... to znaczy, mnie się nie wstydzisz?

- Nie! - Uśmiechnęła się radośnie. - Przecież jesteście moim lordem. Wam wolno. Wy wszystko możecie. Przepraszam...

- Ale czemu od razu nie powiedziałaś? A ja, ślepy idiota...

- Przepraszam... Uratowaliście mnie, a potem... potem bałam się, że mnie odeślecie do domu. Tak wyszło, naprawdę nie chciałam was oszukać! Nie wyganiajcie mnie, mój...

- Stop! - Już wiedziałem, co będzie dalej. - Stop. Żadnych łez. Zastanów się, w jakiej mnie to stawia sytuacji! Jak się dowiedzą, że jesteś dziewczyną, oskarżą mnie o porwanie!

- Wcale nie. Wszyscy tak robią - oznajmiła z przekonaniem. - Nikt pana nie oskarży.

- A co z deprawowaniem nieletnich? Przecież będziemy musieli mieszkać w jednym pokoju. Co sobie ludzie pomyślą?

- Pomyślą, że jestem waszą kochanką... - wyszeptwała, spuszczać wzrok. - Ale, wy... wy jesteście moim lordem, wam wszystko wolno... Powiedzcie tylko słowo i...

- Wiesz przynajmniej, jak się to robi? - spytałem krótko.

- Nie... - Szept cichł coraz bardziej i wyraźnie było w nim słychać łzy. - Tylko słyszałam... dziewczęta we wsi mówiły, jak... Będę się bardzo starać...

- Głupia! - Przepelniający mnie gniew i współczucie znalazły wreszcie ujście. - Ty kompletna idiotko! Jeśli jeszcze raz usłyszę od ciebie coś takiego, od razu cię zwolnię! A przedtem spuszczenie lanie! - Odwróciłem się do drzwi.

- Ale... lordzie Osieraica...

- Wytrzymaj się i zwolnij balię Buldożerowi. Przyjąłem go na giermka. Król na nas czeka! Daję ci trzy minuty.

- Nie wyrzucicie mnie? - pisnęła radośnie. - Nie wyrzucicie,

naprawdę?

- Jak masz na imię? - burknąłem.

- Lija, milordzie.

Jego wysokość król nosił dźwięczne imię Plimutrok Pierwszy, które, muszę przyznać, bardzo do niego pasowało. Malutki, tłuściutki, zasadniczy, szalenie uczuciowy, wypełniał uroczystą kolację radosną paplaniną. Przy stole panowała niezwykle swobodna atmosfera, o żadnym skrepowaniu nie było mowy. Goście - ze trzydzieści osób - jedli, pili, ryczeli pieśni, śmiali się, gadali, przechwalali i plotkowali, niektórzy nawet się bili. Wokół stołów kręciły się wielkie psy, rzucano im kości albo je kopano, jeśli stawały się zbyt natrętne. Wyszkoleni słudzy z gracją przepływali między stołami, roznosząc dania i napoje; muzykanci ze znudzonymi minami grali jakąś smętną melodię. Posłuchałem jej dłuższą chwilę i wreszcie zrozumiałem, czemu nie przepadam za muzykąklasyczną. Nasza trójka siedziała obok króla na honorowych miejscach.

- Lordzie Osiernico! Wypijmy! Ale pięknie zrzuciliście z konia tego młodego Boulle de Guerre'a! To był widok! Istna komedia! On na was konno... cha, cha, cha... a wy... a wy... Raz, dwa i... o ścianę! - Jego wysokość omal się nie zakrztusił szczęśliwym, dziecięcym śmiechem.

- Eee... tak, tak, dziękuję... - Byłem głodny i bardziej interesowało mnie jedzenie niż rozmowa. Stwierdziłem, że w tych czasach całkiem nieźle gotowali, i to wyłącznie z naturalnych produktów.

- Często obrywasz, prawda? - zagadnął król. Czerwony ze wstydu Buldożer skinął głową. - I co, naprawdę chcecie wziąć go na giermka? Po co on wam? Przecież to straszny tchórz!

- Ależ, wasza wysokość... - Zrobiło mi się nagle żal biednego Jeana. - Uważam, że nie jest to przypadek beznadziejny i należy dać mu szansę. Moim zdaniem u podstaw wszystkich problemów współczesnej młodzieży leżą bardzo konkretne przyczyny. Zapracowani rodzice poświęcają dziecku zbyt mało czasu, dodajmy do tego negatywny wpływ ulicy, no i jeszcze nowomodne wpływy zagranicy...

- O, lordzie Osiernico, jak ja to rozumiem. - Król wyraźnie się ożywił. - Przecież sam jestem ojcem! A moja jedyna córka rośnie niczym chwast, zupełnie bez nadzoru. Ważne sprawy, królewskie problemy... Obiady, wojny, intrygi... to wszystko zabiera masę czasu. Liona zupełnie mnie nie słucha, co chce, to robi. Robi co chce, i tyle!

Nagle wszyscy ucichli, nawet król-gaduła. Zrozumiałem, że zaszło coś ważnego.

- Księżniczka! - szepnął Jean w odpowiedzi na moje pytające spojrzenie.

Przez salę dumnie kroczyła... dzwonnica. No dobrze, niech będzie drabina. Albo tyczka, wszystko jedno. Buldożer był o głowę wyższy ode mnie, a ona o głowę wyższa od Buldożera. Wzrost królowy Liony dodatkowo akcentowała długa suknia zamiatająca podłogę i wysokie, spiczaste nakrycie głowy z woalem na czubku. Błada cera, małe oczka, wąskie usta od ucha do ucha, za to podbródek masywny i kwadratowy, jak u kanadyjskich hokeistów. Do tego wszystkiego królowa była płaska jak deska. Liona obrzuciła zebranych posepnym spojrzeniem i utkwiała wzrok we mnie. Nagle jej oczy rozbłysły, usta rozciągnęły się jeszcze bardziej w uśmiechu i dzwonnica podeszła marszowym krokiem do naszego stołu. „O mamó...” - jęknąłem w duchu.

- Co za mężczyzyna... - zamruczała rozmarzona królowa, nie dbałym ruchem kościstego biodra odsuwając siedzącego obok mnie Buldożera. Głośno klapnęła na wywalczonym miejscu i zwróciła się do mnie: - Pierwszy raz w naszym mieście, prawda?

- Tak, mademoiselle... madame... to znaczy pani... Dzień dobry, wasza wysokość.

- Ho, ho, jaki grzeczny. I pewnie wykształcony?

Wyczułem w tym pytaniu ukrytą drwinę i trochę się zdenerwowałem:

- A bo co? Jeśli chce pani wiedzieć, ukończyłem o czasie akademię sztuk pięknych, nie mówiąc już o szkole ośmioletniej.

- Osiem lat uczyłeś się czytać? - Była wyraźnie wstrząśnięta.

- Nie tylko! Do tego dochodzi fizyka, chemia, matematyka, biologia, geometria, geografia, literatura, historia...

W trakcie mojej wyliczanki twarze obecnych wyciągały się stopniowo ze zdziwienia.

- W młodości uczyłem się w klasztorze... - odezwał się jakiś rycerz, gdy w końcu umilkłem. - Ale o takiej ilości niepotrzebnej i szkodliwej wiedzy jeszcze nie słyszałem!

- Nic dziwnego, to przecież nie instytut dla dobrze urodzonych pańien. - Chyba zaczynałem pleść bzdury. Przy stole podawali jedynie wino, żadnych soków czy drinków, i widocznie nie doceniłem mocy trunku. Trzeba mniej pić.

- Daj całusa! - zdecydował niespodziewanie królowa. Wszyscy się odwrócili, ja w porę szarpnąłem głową i mokre „cmok” trafiło nie w usta, lecz w szczękę.

- Skromność ozdobą rycerza... - Liona do mnie mrugnęła.

- Wypijmy!

Buldożer podsunął mi kubek z czerwonym winem. Osuszyłem go, powtarzając sobie w myślach: „Nie ma brzydkich księżniczek, tylko czasami wina jest za mało. Pij”. Mój giermek ledwie nadażał z dolewaniem, a rozjaśniona Liona, przy całkowitej aprobachie ojca, usiłowała posadzić mnie sobie na kolanach.

- Co wy robicie, wasza wysokość?

Wszyscy się odwrócili. W drzwiach sali stał szczupły staruszek w czerwonym stroju, z krzyżem na piersi i książką w rękach. Miał szczerzą twarz i odpowiednią do niej minę.

- Kardynał Cali - skomentował usłużnie Jean.

Starzec żwawym krokiem przeciął salę i stanął obok nas, groźny jak niszczyciel. Kościsty palec wycelował w moją pierś.

- Wasza wysokość nie może oddać swego serca temu nikczemnemu szlachetce. Nie pochodzi z królewskiego rodu.

- Jego ojciec był hydraulikiem... - wstawił się za mną Buldożer, a Lija spojrzała na kardynała tak, że omal nie przepaliła czerwonego kapelusza.

- Kim? - nie zrozumiał szczer.

- Osobą duchowną! - palnąłem beczelnie.

- Wszystko jedno, mężem królowy i tak zostać nie może. Wasza wysokość, trzeba go powiesić!

- Tak od razu? O, nie! - zaprotestował król Plimutrok. - Jeszcze się nie nagadaliśmy!

- Nie powiesicie go! - ocknęła się wreszcie królowa. - Podobna mi się i zasługuje na inną śmierć! Nie denerwuj się, kotku, po prostu zetną ci głowę.

Wreszcie do mnie dotarło, że oni rozmawiają o mojej śmierci całkiem serio! Chlapnąłem sobie wina dla kuraju i zwróciłem się do króla:

- Wasza wysokość, proszę mnie dobrze zrozumieć, ja nie pretenduję do ręki pańskiej córki... mam już żonę! A jeśli w czymś wam uchybiłem, to nieumyślnie, nie ze złej woli. Sami widzicie, że jestem pełen pokory...

Myślę, że król by mi wybaczył, ale wtedy rozdarła się ta idiotka Liona.

- Tatuniu! - wrzeszczała, plując śliną na wszystkie strony. - Tatuniu! Każ go stracić! Nie chce się ze mną ożenić!

- Skoro nie może... - zaprotestował nieśmiało Plimutrok.

- I tak trzeba go stracić! Kusił mnie spojrzeniami i uśmiechami, a teraz mówi, że jest żonaty. A co z moim złamanym sercem?

- Otóż to. - Podły kardynał pokiwał głową. - Przecież mówiłem: trzeba go stracić profilaktycznie, aby uniknąć intryg i plotek oraz w celu zapewnienia stabilności sytuacji politycznej.

- Nie ważcie się! - krzyknęła niespodziewanie cienkim głosem Lija. - Lord Osiernica to szlachetny rycerz, dokonał walecznego czynu i jest waszym gościem!

- Brać go! - Kardynał Cali skinął dłonią. Kilku co bardziej pijanych rycerzy wytoczyło się zza stołów i ruszyło w moją stronę.

- Stać! Rozmyśliłam się- opamiętała się królowa Liona.-

Najpierw niech mnie pocałuje.

Z dwojga złego wolałbym ścięcie!

Zza stołów wyszli następni pijani rycerze i próbowali powstrzymać tych pierwszych. Wtedy dopiero zaczęła się zabawa... Widzieliście kiedyś na filmie bójkę w karczmie? No właśnie. Tutaj działo się coś podobnego - pod tym względem filmy nie kłamały. Po kilku minutach sala przypominała bitwę pod Borodino. Stoły przewracano, ławami okładano się po głowach, w powietrzu latały naczynia, krzyki, piski, przekleństwa -jednym słowem, niezwykła zabawa! Coś w rodzaju średniowiecznego wieczorku zapoznawczego. Na szczęście Lija wciągnęła mnie i Buldożera pod przewrócony stół i bitwa toczyła się spokojnie bez naszego udziału. Wkrótce dołączył do nas oblany sosem król. Siedliśmy obok siebie i jego wysokość, zachwycony, że wreszcie może porozmawiać ze mną bez zbędnych ceregieli, poprosił, żeby mu zaśpiewać. Nie mogę powiedzieć, że jestem wybitnym śpiewakiem; nie fałszuję zbyt mocno, ale też na estradę się nie pcham - ani głosu, ani słuchu. Ponieważ jednak Plimutrok tak bardzo prosił, odchrząknąłem i zaśpiewałem:

Ach, nie lataj, czarny kruku

Ach, nad moją głoową...

Z drugiego rzędu podtrzymały mnie głosy Lii i Buldożera:

Nie doczekasz się zdobyycy

Czarny kruku, jam nie twóóój...

Jak nam to pięknie wychodziło! Śpiewaliśmy cicho, przejmująco, nie zakłócając przebiegu bitwy i wkładając w tę starą kozacką pieśń całe serce. Król Plimutrok płakał ze wzruszenia.

Obudziłem się pierwszy, reszta jeszcze spała. Reszta, to znaczy Jean, Lija i król. Zgodnie z miejscowym zwyczajem, spaliśmy we czwórkę na ogromnym łożu w naszym pokoju, przykryci miękkimi, niedźwiedzimi skórami. Lija wyprowadziła nas z sali, gdy bijatyka nieco przycichła (to znaczy większość bojowników nie mogła dłużej utrzymać się na nogach), a ponieważ Plimutrok przyczepił się do nas, musieliśmy położyć spać również jego. Rano rozległo się pukanie do drzwi - to zaniepokojeni strażnicy pytali, czy nie widzieliśmy gdzieś króla. Jego zaspana wysokość z posępną miną poszedł do siebie. Wszyscy wstali, Lija wydała polecenia co do śniadania, i już przy nakrytym stole zaczęliśmy omawiać wczorajsze wydarzenia i dalsze perspektywy.

- Z tego, co zrozumiałem, królowna ma niejaki problemy z zamążpójściem, jak przypuszczam z powodu rzadkiej urody i anielskiego wprost charakteru. Ale czemu kardynał tak na mnie naskoczył?

- Podobno jest spowiednikiem Liony i ma nadzieję poprzez królowną kierować królem. Jego wysokość spełnia każdą zachciankę córki - poinformował mnie Buldożer.

Mimo że tchórz, był z niego całkiem łebski chłopak. Dobrze zrobiłem, że wziąłem go na giermka.

- Lordzie Osiernico - odezwała się skromnie Lija - jak wam się spodobała królowna?

- Cóż... Widywałem już gorsze poczwary, ale nie aż tak... ekspresyjne. Chociaż gdybym miał wybierać między nią wojną nuklearną...

- Nie o tym mówię! - Lija potrząsnęła energicznie głową, jakby cokolwiek rozumiała. - Nie chcielibyście zostać zięciem króla? Kardynał mógłby dać wam rozwód, a zdaje się, że wpadliście księżniczce w oko...

- Lija! - podniosłem głos. - Nie mów głupstw! Liona mogłaby mnie nosić zamiast breloczka, a w ogóle... skąd ci przyszło do głowy, że jej się podobam?

- Jesteście piękni, lordzie...

- Nieznośna dziewczyno! - Uderzyłem pięścią w stół. - Jeśli nie przestaniesz drażnić mnie swoimi złośliwościami, szybko zostaniesz bez pracy!

- Przepraszam - Lija się nadeła. - Już nie będę. Macie rację, takiej maskary jak wy ze świecą szukać.

Rzuciłem w nią ogryzioną kością kurczaka, ale nie trafiłem i Lija uciekła za drzwi. Mniej więcej w południe przybył posłaniec od króla (nie pamiętam, jak się to u nich nazywało, chyba majordomus), skłonił się z godnością i oznajmił uroczyście:

- Jego wysokość król Zjednoczonego Królestwa Plimutrok Pierwszy pilnie wzywa czcigodnego lorda Osiernicę, landgrafa Miecza Bez Imienia. Wasz sługa i giermek mogą poczekać tutaj. Miecz wziąłem ze sobą, towarzyszący mi strażnicy nie wyrażali sprzeciwu. Król czekał w małej wieży z widokiem na pola i błękitną dal. Powitał mnie jak starego znajomego, oddalił wszystkich skinieniem dłoni i zamknął drzwi na zasuwę.

- To będzie poważna rozmowa, lordzie. Powiedz prawdę, faktycznie jesteś żonaty?

- Jestem, wasza wysokość.

- A gdyby tak rozwód?...

- Co za pomysł! Nie mam zamiaru się rozwodzić!

- No to może jakaś trucizna...

- Wasza wysokość, jak wam nie wstyd!

- A co? Ja przecież nic, to tylko Liona... Po prostu nie wiem, co mam z tobą zrobić. Kardynał Cali żąda, żeby cię stracić.

- Dlaczego? - mruknąłem.

- Ktoś mu rozkwaślił nos na wczorajszej kolacji. - Król zachichotał.

Popatrzyliśmy na siebie i jednocześnie parsknęliśmy śmiechem.

Ta wzajemna sympatia krzepła z każdą minutą. Wtedy jeszcze nie

wiedziałem, że ten hałaśliwy, gadatliwy i radosny człowieczek zostanie moim wiernym przyjacielem i obrońcą. Życie to zabawna rzecz... Postanowiłem mu wszystko opowiedzieć. Jak znalazłem Miecz Bez Imienia, jak spotkałem Tanitriel, wpadłem na Riesenkampfa i w efekcie trafiłem tutaj. Król słuchał mnie uważnie, przerywając z rzadka okrzykami zdumienia lub przestachu.

- Trzeba koniecznie opowiedzieć to wszystko Matwieiczowi - oznajmił w końcu.

- Kto to taki? - Dziwne imię wzbudziło moją czujność.

- Matwieicz? O, to znany mag, czarnoksiężnik i jasnowidz. Pojawił się w naszym kraju dwadzieścia lat temu, gdy dopiero co wstąpiłem na tron. Podobno mieszka w portowym miasteczku Wesnachause, podróżuje rzadko, a po radę zjeżdżają się do niego ludzie z całego królestwa. Pomaga każdemu, ale nie za darmo...

- To może wiedziałby, gdzie znajduje się wyjście do mojego świata?

- Posłuchaj, lordzie, nie mać mi w głowie tymi naukowymi bredniami. Kościół uczy nas, że żadnych innych światów poza naszym nie ma, a wszyscy podróżnicy w czasie i teorie o innych przestrzeniach to wyłącznie niebezpieczne herezje i podszepty diabła!

- Ho, ho, a gdzie się wasza wysokość nauczył takich słów? - zdumiałem się.

- A był tu taki jeden... wizjoner. - Król się skrzywił. - Ciągle krzyczał, że potędze Riesenkampfa można szybko położyć kres, wystarczy zamknąć wejście do naszego świata. I jeszcze coś o kwantowych problemach czasu... Ale go spalili jako groźnego czarnoksiężnika i burzyciela. Kardynał bardzo nalegał.

- Więc to takie buty... No cóż, w takim razie może wyruszę na poszukiwanie tego Matwieicza...

- Masz moje błogosławieństwo! Bierz konia, pieniądze i wynoś się stąd czym prędzej. Bo jak moja córeńka i szanowny Cali się uprą, to znajdziesz się albo na szafocie, albo przed ołtarzem. Nie pamiętam, kto wymyślił to zabójcze określenie „pies ogrodnika”, ale to było właśnie o mnie. Wyruszyliśmy z miasta - które, tak przy okazji, nazywało się Ristail - mniej więcej po obiedzie. Szliśmy, prowadząc konie za cugle, ponieważ osobiście się przy tym uparłem. Jazda konna, też pomysł... Jednak godzinę później, na oczach zdumionych Jeana i Lii, jednak wsiadłem na konia. Oni cały czas się dziwili, po co kurzyć buty, skoro są konie, a ja... ja przecież nie umiałem jeździć konno! Już wkrótce strasznie rozboleły mnie plecy, zdrętwiały nogi, a tyłek stał się jednym wielkim odciskiem. Na dodatek podła chabeta nic sobie nie robiła z moich poleceń. To galopowała, to klusowała, to szła stępa, a najczęściej w ogóle nie reagowała na żadne komendy... Na ogół lubię konie, nawet bardzo, ale tego byłem gotów udusić własnymi rękami! Po

setce prób okiełznania mojego rumaka po prostu zarzuciłem lejce na łęk siodła Jeana. Teraz nasze konie szły obok siebie, a ja miałem możliwość nawiązania rozmowy.

- Powiedz no mi, mój wierny giermku, daleko jeszcze do tego Wesnachause?

- Daleko, milordzie. Dwa tygodnie drogi.

- Ile?! Mamy się trząść w tych siodłach jeszcze dwa tygodnie?

- Dokładnie tak... - Skinął strapiony głową. - Musimy przeciąć dwie rzeki, minąć kilka wsi i miasteczek, a następnie, gdy już dotrzemy do morza, jechać wzdłuż wybrzeża i...

- To bardzo daleka droga, milordzie - włączyła się do rozmowy Lija, która, w przeciwieństwie do mnie, trzymała się w siodle jak amazonka. - Ale nie ma innego wyjścia. Dobry król Plimutrok dał nam dużo pieniędzy, więc jeśli skończy nam się jedzenie, zawsze będziemy mogli kupić.

- Tak naprawdę jest jeszcze inna droga... - powiedział w zadumie Buldożer.

- Nie ma żadnej innej drugiej drogi! - krzyknęła Lija i rycerz od razu się wycofał.

- No, eee... oczywiście, że nie ma. Chociaż, gdyby... ale mimo wszystko... czyja coś mówię? Jedziemy to jedziemy... tylko tak byłoby szybciej, więc pomyślałem sobie...

- Jean, przestań kręcić! Co tam mamrociesz o innej drodze?

- Nie ma innej drogi, on kłamie!

- Milcz, kobieto, kiedy rycerze rozmawiają! - Uniosłem się groźnie w strzemionach i niezbyt elegancko klapnąłem na siodło. - A ty mów do rzeczy: co, jak i dlaczego.

Jean zerknął lęklivo na posępną Liję i powiedział szybko:

- Mój ojciec mówił, że do morza można dotrzeć przez Opuszczone Ziemie, co trzykrotnie skraca drogę. Dojechalibyśmy tam w ciągu kilku dni. Ale... ale okolica jest bagienna i nie sposób ominąć Cichej Przystani.

- Cicha Przystań? Bajdy! Nie ma żadnej Cichej Przystani!

- Lija!

Dziewczyna prychnęła dumnie, smagnęła konia i ruszyła przodem.

- Lordzie Osiernico, mówię szczerą prawdę. Ojciec opowiadał, że Cicha Przystań istnieje i widział nawet jednego rycerza, który się stamtąd wyrwał. Był obłąkany, włosy miał białe jak mleko, a oczy przezroczyście. Przez cały czas się uśmiechał i nawet umarł z uśmiechem, szczerząc białe zęby. Umarł z niechęci do życia... a nie miał nawet trzydziestki.

- Daj spokój, Jean, nie strasz. Aż mi uszy zziębły ze zgrozy.

Lija! Wracaj do nas. Zapalałem przemożnym pragnieniem obejrzenia okolicznych atrakcji. A zaczniemy, jak sądzę, właśnie od Cichej Przystani...

Muszę przyznać, że moi towarzysze zbyt nie protestowali. Może wynikało to ze średniowiecznego fatalizmu: skoro lord tak postanowił, znaczy - nie ma wyjścia. A może chodziło o coś innego? Chyba Buldożer nabrał przekonania, że uwolnię go od tchórzostwa, i teraz ślepo mi wierzył. Lija wprawdzie burczała przez pół godziny i nawet kilka razy uderzyła piąstką w masywne plecy Jeana - gdy myślała, że tego nie widzę - ale jak każdą kobietę, paliła ją ciekawość. Czy ta Cicha Przystań naprawdę istnieje? I co tam jest? I dlaczego wszyscy się jej boją? To na pewno szalenie interesujące!

Mój giermek całkiem nieźle się orientował w geografii własnego kraju - już pod wieczór wjechaliśmy w podmokłe okolice. Postanowiliśmy zatrzymać się na nocleg. Po krótkiej kolacji, złożonej z chleba, wina i wędzonego mięsa, ja i Lija położyliśmy się spać, zawinięci w płaszcze, kładąc na ziemi potniki. Jean miał pilnować, żeby ognisko nie zgasło, i stać na warcie do północy, a potem obudzić mnie. Lija miała mnóstwo innych zadań, więc nocne warty jej nie zagrażały - wystarczy, że przygotowywała jedzenie, szykowała posłania, oporządzała konie. Zasnąłem niemal od razu i wydawało mi się, że obudziłem się minutę później, choć w rzeczywistości minęło pewnie z pięć godzin. Zresztą nie miało to większego znaczenia. Obudziło mnie szarpanie za kołnierz i... stalowe ostrze przy gardle. Ognisko już prawie dogasło, ale nie potrzebowałem dodatkowego oświetlenia - księżyc był w pełni. Otaczało nas ośmiu mężczyzn, wszyscy w łachmanach i z gębami łotrów. Każdy trzymał szeroki nóż, a radosne uśmiechy odsłaniały zepsute, połamane zęby. Dwóch drabów trzymało biedną Liję, dwóch mnie, przy czym ten, który miał nóż, nie spieszył się z odsunięciem go od mojej szyi. Zdaje się, że właśnie nas okradano - trzech łajdaków już przetrząsało nasze sakwy, a jeden, najwidoczniej przywódca, uważnie oglądał mój miecz... Mój miecz! Miecz Bez Imienia!

- Odlóż to na miejsce, draniu! - ryknąłem nie swoim głosem.

- Odciąć mu głowę, atamanie? - Ostrze noża oparło się o moją krtań.

- Nie ma pośpiechu, Rzeźnik... Chcę się nacieszyć ich strachem. -

Przywódca mrocznie się uśmiechnął. - Będą umierać powoli...

- Słuchajcie, nie wiem, coście za jedni, ale przysięgam, że cała ta komedia źle się skończy. Znajdujemy się na terytorium króla Plimutroka Pierwszego i nie sądzicie chyba, że napad na jego przyjaciół ujdzie wam płazem!

- Rycerzu... - Przywódca patrzył na mnie z niejakim współczuciem. - Wszystko nam jedno, kim jesteście. Wróg króla czy jego przyjaciel, bogaty czy biedny... dla nas to bez różnicy. Choćbyś był osobą duchowną, arcybiskupem na przykład, czeka cię jeden koniec. Dla nas jesteś po prostu kawałkiem mięsa! - Wyciągnął do mnie prawą rękę, a ja odsunąłem się odruchowo. Zamiast

dłoni mężczyzna miał protezę - z ręcznie wykutą zwierzęcą łapę.

- Wilczy Pazur! - wykrztusiła Lija.

- Przyjemnie mieć świadomość, że człowiek zyskał pewną sławę...

- Ładne rzeczy! - mruknąłem i ugryzłem się w język. Jean!

Przecież stał na straży! Czyżby go zabili? Przywódca łotrów chyba umiał czytać w myślach.

- Wasz wartownik? Jest tutaj. Znamienity Jean le Bouille de Guerre, słynny ze swego tchórzostwa... Biedak nawet nie śmiał pisnąć, widząc błysk naszej stali. Dajcie go!

Oberwańcy przywlekli drżącego Buldożera, a Lija, szamocząc się dziko, wybuchnęła:

- Ty tchórze! Zdradziłeś nas! Parszywy łajdak i tchórz!

- Lordzie Osiernico, ja... ja nie chciałem... ja... - Nieszczęsnego chłopaka dusiły łzy. Tymczasem dwaj rozbójnicy trzymający dziewczynę zawołali radośnie:

- Atamanie! To nie sługa! To dziewczka!

- Cóż, tym lepiej dla nas. Czeka nas rozrywka przed kolacją.

W tym momencie mnie poniosło. Czy oni myślą, że dwóch świrów uzbrojonych w scyzoryki może utrzymać byłego żołnierza wojsk ochrony pogranicza? A co, nie wspominałem, że służyłem na granicy? A potem trzy lata trenowałem karate? Wprawdzie żadnego pasa się nie dosłużyłem, ale umiem walczyć w sytuacjach ekstremalnych, i to całkiem nieźle.

- W tej chwili puśćcie dziewczynę! - zażądałem. Delikatnie przeniosłem ciężar ciała na lewą nogę, leciutko odsuwając się od noża, i próbowałem maksymalnie rozluźnić rękę.

- Milordzie! Błagam o wybaczenie! To szajka Wilczego Pazura... - zawył giermek jeszcze głośniej i padł na kolana. - Oni... oni jedzą ludzkie mięso!

- Nie płacz, chłopcze. - Wilczy Pazur uśmiechnął się wrednie. - Ciebie zabijemy na końcu. A zaczniemy, jak sądzę, od nieposłusznej dziewczynki. Pod tą koszulką na pewno kryją się jakieś cacuszka... - Bandyty zarechotali i nawet ci, którzy grzebali w sakwach, przysunęli się bliżej. Ich oczy płonęły szaleństwem i żądzą, z ust ciekła ślina... W życiu nie widziałem nic paskudniejszego! Biedna Lija dosłownie zaniemówiła i teraz patrzyła na mnie rozszerzonymi rozpaczą oczami. Cóż, nawet lepiej, że wszyscy patrzą tylko na nią. Zrobiłem krok do tyłu i wyrywając z uchwytu zbira prawą rękę, złapałem za nadgarstek łajdaka, który trzymał nóż. Drugi bandyta nie zdołał utrzymać równowagi i zachwiał się, pochylając jednocześnie do przodu. Był ciężki i nieruchawy, więc siłą rozpędu nadział się brzuchem na ostrze towarzysza - prawie nie musiałem mu w tym pomagać. Pamiętam, że roztrąciłem dwóch następnych i skoczyłem do Lii. Zaskoczony wódz wysunął w moją stronę pazurzastą protezę. Nie szkodzi. Stara szkoła wojowników Okinawy... Podskaku-

jesz do góry i w locie walisz stopą w podbródek przeciwnika. To niezły cios, można nim przewrócić nawet szafę. Nie patrzyłem, gdzie odrzuciło Wilczego Pazura, zauważyłem tylko migające w powietrzu pięty. A potem świat wybuchł dzikim bólem: ktoś grzmotnął mnie w kark i wylądowałem twarzą na ziemi.

Czym oni mi przyłożyli? Głowa mi pęka... Pewnie zamiast mózgu mam jeden wielki siniak... Co za bydlaki! Żeby atakować od tyłu... zresztą czego można się spodziewać po takich draniach?

Głos atamana pomógł mi wrócić do rzeczywistości.

- Zanim umrzesz, chcę wiedzieć, jak ci się to udało.

- Niby co? - warknąłem.

- Zabiłeś Wielkiego Dodo, skrzyłeś rękę Rzeźnikowi i omal nie złamałeś mi szczęki! Jak ty to robisz? Służyłem niegdyś w straży miejskiej, widziałem wielu słynnych rycerzy, najwięksi wojownicy kraju demonstrowali swoją sztukę na arenach naszego miasta. Znam mnóstwo chwytów walki wręcz, ale to, co ty zrobiłeś... Przez ten czas, kiedy gadał, udało mi się dojść do siebie i rozejrzeć. Rozkład sił niewiele się zmienił -jeden bandyta leżał skulony na ziemi, mnie trzymało trzech, zamiast dwóch, a ich noże niedwuznacznie wbijały się między moje żebra. Buldożer przestał szlochać i siedział skulony, wciskając twarz w kolana. Lija nadal była w łapach tych drani, ale teraz wszyscy patrzyli na mnie. Bardzo mi miło...

- Będziesz mówił?

- Czemu nie? Ale żądam, żebyście wypuścili moich ludzi.

- Nic z tego! - uciał Wilczy Pazur. - Możesz najwyżej odroczyć ich śmierć i uczynić ją bezbolesną.

- Dobra, dobra. Tych chwytów i tak nie nauczysz się od razu.

- Cóż, będziesz żył dopóty, dopóki będziesz mnie uczył.

- A oni?

- Oni umrą. - Twarz wodza wyrażała zdecydowanie. - Jesteśmy głodni. Poza tym, uroda twojej kochanki nas urzekła.

- To nie jest moja kochanka! - ryknąłem.

- To po co ją ze sobą ciągniesz?

- Jeśli ich nie puścisz, nie będę nikogo uczył! - wrzasnąłem.

Mój upór nie wynikał z odwagi, raczej z rozpacz.

Wilczy Pazur westchnął, odwrócił się do mnie plecami i rzucił:

- Zabijcie go. Serce rycerza dla mnie.

- Stój! - Podskoczyłem. - Jeśli rzeczywiście służyłeś w straży, powinieneś wiedzieć, że mam prawo do ostatniego życzenia.

Bandyci wybuchnęli śmiechem. Nie wiem, co ich tak rozbawiło, ale rzeli ze trzy minuty, aż w końcu zmęczony śmiechem Wilczy Pazur machnął ręką.

- Mów, czego chcesz?

- Puść ją.

- Nie. Proś dla siebie.

- Dobrze. - Zrozumiałem, że nie mam innego wyjścia i muszę sięgnąć po asa w rękawie. - Chcę zwymyślać mojego giermka. Mocno i od serca, na pożegnanie...

Podprowadzono mnie do Buldożera, a wszyscy bandyci skupili się obok, przygotowani na niespodziewaną rozrywkę. Odetchnąłem głęboko i groźnie krzyknąłem na Jeana:

- Łajdaku!

Śmiech.

- Podły tchórze!

Jeszcze głośniejszy śmiech. Wszystko idzie zgodnie z planem...

- Wstań i popatrz mi w oczy! Mogę zrozumieć, że jesteś tchórzem, tak jest, tchórzem! Ale nie wiedziałem, że w dodatku jesteś leniem niezdolnym do wypełnienia najprostszych obowiązków! Idioto! Bęcwale! Oszuście!

Ależ ich to bawiło! Dranie turlali się po ziemi, trzymali za brzuchy i rozmazywali łzy po twarzach...

Biedny Jean patrzył na mnie zdumiony.

- Jesteś moim giermkiem i masz obowiązek nosić moją broń, prawda?

- Tak... - Skinął głową.

- W takim razie podaj mi miecz, durniu!

Ci bandyci, którzy jeszcze trzymali się na nogach, po tych słowach padli na ziemię, tracąc oddech w ataku śmiechu.

- Milordzie, ale... - wymruczał oszołomiony Buldożer.

- Co „ale”? Nie ma żadnego „ale"! Dawaj mój miecz, żywo!

- Ale... przecież oni go mają!

- Zaraz ci wszystkie kości porachuję, półgłówku! Co to znaczy, że oni go mają? Co mnie to obchodzi?! Idź i go odbierz, giermku! Zadziałało! Mimo wszystko poczucie honoru przewyciężyło strach. Jean Boule de Guerre powoli wstał i odwrócił się twarzą do rechoczących bandytów.

- Z życiem, bydłaku! - Dla zachęty kopnąłem rycerza w tyłek.

Jean drgnął, ale zaczął iść pewniejszym krokiem. Już po chwili chwycił dwóch najbliższych bandytów i stuknął ich głowami. Co za dźwięk! Śmiech urwał się jak nożem uciął. Buldożer złapał atamana za kołnierz i rzucił nim w tych, którzy otaczali Liję. Teraz się dopiero zaczęło! Z kłębowiska bandytów wydostała się, piszcząc przeraźliwie, nasza dziewczeczka i mrużąc oczy, dźgała na wszystkie strony czymś nożem. Na tchórzliwego rycerza rzuciło się trzech zbójów z mieczami, ale nim zdolali się zorientować, Jean zawiązał wszystkie trzy miecze w jeden węzeł. Czegoś takiego nie widziałem nawet na filmach.

- Miecz! Mój miecz! Gdzie moja klinga, niech diabli wezmą tego giermka!

Trzymające mnie ręce puściły. Buldożer kręcił się jak wiatrak

i pod ciosami jego ramion bandyci latali jak piłeczki tenisowe. Przeskoczyłem przez czyjeś ciało i zobaczyłem w trawie Miecz Bez Imienia. Przysiągłbym, że magiczna klinga aż jęknęła z zadowolenia, gdy uniosłem ją nad głową.

Banda Wilczego Pazura przestała istnieć.

Musieliśmy zabić ich wszystkich. Zresztą żaden bandyta nie prosił o litość. To już właściwie nie byli ludzie, więc nawet nie czułem wyrzutów sumienia. Byli gorsi nawet od zwierząt - sam widziałem, jak pili krew swoich towarzyszy, którzy padali pod naszymi ciosami... Nawet nie chcę tego wspominać. Miecz Bez Imienia położył kres ich podłej vegetacji, pomścił wszystkie ich ofiary i uratował życie ewentualnym następnym. Gdy wyruszyliśmy, było jeszcze ciemno, świt zastał nas w drodze. Jean włożył kolczugę i z kopią w rękę jechał przodem, kreując się na czujnego wartownika (lepiej późno niż wcale), a Lija nie wypuszczała z rąk rozbójniczego noża z szerokim ostrzem. Owinąłem się szczelnie fioletowym płaszczem, podarowanym przez królową Tanitriel, i oglądałem okolicę, chociaż nie było tu nic specjalnego. Ot, zwykły krajobraz średniowiecznej Anglii...

- Tam będzie niewielka wioska. - Mój giermek zatrzymał konia. - A zaraz za nią jest ścieżka prowadząca do Cichej Przystani.

- Jedziemy. Nie będziemy się zatrzymywać we wsi, nie ma na to czasu. Chcę jak najszybciej odnaleźć tego Matwieicza.

- Milordzie - poskarżyła się żałośnie Lija - musimy kupić chleb! Buldożer zjadł wczoraj cały bochenek.

- Dobrze. - Już chciałem smagnąć konia lejcami, ale Jean mnie powstrzymał.

- Lordzie Osiernico, ja... ja chciałem tylko... chciałem powiedzieć, że jestem wam bezmiernie wdzięczny...

- Nie pleć głupstw! To ja powinienem być wdzięczny tobie.

Świetnie się z nimi rozprawiłeś, bez ciebie byłoby z nami krucho.

- Naprawdę? - Chłopak pojaśniał z radości. - Dziękuję, milordzie! Chciałem tylko powiedzieć, że jestem gotów oddać za was życie... Nim zdążyłem odpowiedzieć, na mojej dłoni spoczęły smukłe dziewczęce palce.

- Milordzie... tamtej nocy... Jean miał rację, ale wy i tak wiecie, że moje życie należy do was i tylko do was...

Wioska była mała, najwyżej kilkanaście chat. Przekrzywiony kościółek, psy, rzadkie płoty i tłum podekscytowanych mieszkańców. Zdaje się, że odpoczynek nam tu nie groził... Szkoda.

- Giermku! Ruszaj dowiedzieć się, czemu tak hałasują.

- Będą palić czarownicę! - zaraportował Jean kilka minut później - Ksiądz serdecznie zaprasza do wzięcia udziału w tym chrześcijańskim święcie.

- Hm... Interesujące! - Nie miałem dotąd do czynienia ze zbyt

wieloma czarownicami (jeśli nie liczyć ekspedientek, nauczycielek i sekretarek), a już na pewno żadnej nie paliłem. - Ale czy na pewno jest prawdziwa? Nie chciałbym tracić czasu na jarmarczne widowiska.

- Najprawdziwsza! - zapewnił mnie Buldożer. - Podobno wysuszyła dwóch chłopaków, rozbiła trzy rodziny i doprowadziła do samobójstwa jedną dziewczynę!

- To rzeczywiście wredna starucha! - Dorobek tutejszej czarownicy robił wrażenie. Podjechaliśmy w stronę tłumu. Chłopi kłaniali się z szacunkiem, przepuszczając nas. Duchowny już ku nam szedł i witał znakiem krzyża.

- Pokój tobie, synu mój!

- Amen! - powiedziałem w nadziei, że to właściwa odpowiedź. - Doniesiono mi, że macie tu pewne problemy z czarownicami.

- Już nie, milordzie! - Duchowny uśmiechnął się szeroko. - Poradziliśmy sobie o własnych siłach, nie uciekając się do pomocy wyższych instancji. Długo znosiliśmy tę sytuację, przekonywaliśmy, wzywaliśmy do skruchy i poprawy, ale cierpliwość ma swoje granice! Wzburzony lud powstał, kościół go podtrzymał na duchu i dzisiaj potraktujemy tę grzeszną duszę oczyszczającym płomieniem stosu! Z bożą pomocą, oczywiście.

Brzmiało to przekonująco i uroczyście. Podjechaliśmy bliżej i w tym momencie dwóch drabów w sutannach wyprowadziło czarownicę. Święci pańscy! To miała być czarownica?! Prowadzono związane dziecko, dziewczynę młodszą nawet od Lii. Bardzo zgrabna, bosa, miała burzę czarnych włosów i ogromne zielone oczy. Szczególnie spodobał mi się jej nos. Po prostu zakochałem się w nim od pierwszego wejrzenia! Nie za duży, ładnie uformowany, cienki, o falujących nozdrzach i cudownym kształcie. Rzadko w całej kobiecie bywa tyle uroku, ile było w tym nosie. Przepraszam, trochę mnie poniosło, ale cóż, jako artysta mam własne pojęcie piękna. Lija gdzieś znikła, a Jean gapił się na chmury, aż musiałem stuknąć go pięścią w ramię.

- Słuchaj no Buldożer. Ta biedna dziewczynka miałaby być czarownicą? Co to jest, opowieści z krypty?

- Lordzie Osiemico, zło przybiera czasem tak niewinną postać...

- Spójrz na jej twarz, tępaku! - ciągnąłem dramatycznym szeptem. - Czy ona mogłaby zrobić komuś krzywdę? Zdaje się, że tutejsi inkwizytorzy są po prostu nadgorliwi. Założę się, że skazano ją na podstawie fałszywych oskarżeń i nie przeprowadzono nawet porządnego śledztwa.

Buldożer popatrzył na mnie z wyraźnym zdumieniem i nachylił się do duchownego.

- Powiedzcie mi, czy sąd już wydał wyrok na tę nieszczęsną?

- Tak, mój synu. Ja, starosta, kupiec Fenig i dwaj jego słudzy wysłuchaliśmy śmiesznych usprawiedliwień tej zbłąkanej duszy. Ale kto, jeśli nie ona, miałby odpowiedzieć za te przejawy zła, które pojawiły się w naszej wsi? Jej matka umarła sześć lat temu, kim j est ojciec, nikt nie wie, gospodarstwa żadnego nie mieli... Ma wprowadzić porządną krowę, ale sąd był sprawiedliwy! Długo namawialiśmy ją, aby przyznała się do winy, ona jednak uparcie wszystkiemu zaprzeczała. Wreszcie kupiec Fenig kazał się dziewczynie rozebrać, żeby poszukać na jej ciele znaków szatana. A wtedy ona rozbiła garnek z mlekiem na jego głowie, no i nasza cierpliwość się wyczerpała. Miałem ochotę śmiać się, kłać i płakać jednocześnie. Lija wyłoniła się skądś z bochenkiem chleba pod każdą pachą, Buldożer coś jej szepnął i nagle oboje, biorąc mojego konia za uzdę, zaczęli odciągać mnie od stosu.

- Jean, daj spokój! Rozumiesz coś z tego? I oni nazywają to sądem! Widowisko masowe, a w rolach głównych banda idiotów! Co za bzdury!

- Tak, tak milordzie... - przytakiwali ochoczo moi towarzysze.

- Skazali niewinną dziewczynę i teraz ją spalą. Sprawiedliwości stało się zadość! Już ja im pokażę, jeśli tylko przedtem nie umrę ze śmiechu...

- Ależ, milordzie, po co... - powiedziała swoim anielskim głosem Lija i wtedy zacząłem coś podejrzewać. Niebezpiecznie oddalaliśmy się od miejsca kaźni.

- Cała wstecz! Dokąd mnie ciągniecie, hultaje?

Jean stanął jak wryty, tęsknie wpatrując się w chmury, a mała spryciara wzięła mnie pod rękę i jęknęła żałośnie z nieszczęśliwą miną:

- Tak się boję... Zabierzcie mnie stąd, milordzie. Nie zniosę swądu spalenizny...

- Buldożer! - ryknąłem. - Co to wszystko ma znaczyć?

- No... ja... my... a w ogóle... co za różnica?

- Nie bełkocz, tylko mów szybko, coście umyślili!

- Lordzie Osiernico - powiedziała stanowczo Lija - przecież my was znamy. Tylko patrzeć, jak znowu wpakujecie się w jakąś kabałę. Jean mówił, że chcecie ratować przed stosem tę czarownicę...

- Czarowniczkę. Jest za ładna na czarownicę... - poprawiłem.

- Wszystko jedno. Ale czy zdajecie sobie sprawę, czym to grozi?

- Kilkoma siniakami - odparłem, ale gdzieś w głębi duszy pojawiły się niedobre przeczucia.

- Święta Heleno! Żeby tylko siniakami! Mogą was wykląć!

- Myślisz? A mnie się wydaje, że przedtem chłopcy rozerwą go na strzępy... przy błogosławieństwie duchownego, oczywiście - powiedział z wahaniem Jean.

Cóż, moi towarzysze mieli rację. W średniowieczu walka z kościołem miała niewielkie szanse powodzenia. Nawet gdyby Lija

i Buldożer stanęli u mojego boku, walczyliby z przekonaniem, że gubią swoje nieśmiertelne dusze. Należy szanować przekonania religijne swoich towarzyszy. Jestem wierzący, owszem, ale nie do tego stopnia, żeby pochylać wyczyny inkwizycji! Hm... Ale jeśli tę dziewczynę faktycznie spalą, nie będę mógł spokojnie spać!

- Zastanówmy się. Wychodzi na to, że i tak źle, i tak niedobrze. .. Co wobec tego powinniśmy zrobić?

- Najlepiej odjechać - westchnęła praktyczna Lija. - Też mi jej szkoda, ale teraz nawet sam diabeł nie pomoże...

- Diabeł pewnie by nie pomógł. Zresztą skąd go wziąć?...

Jean! - Mój głos nabrał mocy. - Co to za domek, ten, gdzie z kominą płynie dym? Wygląda mi na kuźnię.

- Bo to kuźnia, milordzie.

- Lija, co robią podpalacze?

- Przywiązują czarownicę do słupa.

- Buldożer, za mną!

Zniknęliśmy w drzwiach kuźni. Mój plan był właściwie banalny.

Gdy dwie minuty później wyszedłem z kuźni i wskoczyłem na siodło, Lija omal nie spadła z konia. Trzeba przyznać, że mój widok robił wrażenie. Umazany sadzą od stóp do głów, brudna szmata omotana wokół biodra, na szyi łańcuchy, mokre włosy zawinięte w dwa rogi, nastroszone wąsy, Miecz Bez Imienia też wysmarowany na czarno... Jak sobie przypomnę, to aż mnie dreszcz przechodzi.

- Buldożer, wszystko zrozumiałeś?

- Tak, milordzie.

- Jak tylko zniknę za zakrętem, wpadasz w tłum chłopów...

- Lordzie Osiernico, niech was święty Dunstan ma w swojej opiece!

Smagnałem konia lejcami. Mój czarny rumak, jakby świadom powagi chwili, przestał kapryścić i zaprezentował się w całej krasie. Gdy do tłumu chłopów zostało dwadzieścia metrów, machnąłem mieczem, a mój okrzyk bojowy utonął w ryku przerażonego tłumu. Pierwsze szeregi zmiotło do tyłu, reszta przyskała spod końskich kopyt niczym stadko spłoszonych kur, dzielny duchowny zaś chlusnął mi w twarz wodą święconą, za co oberwał piętą po głowie. Dwa ciosy Miecza Bez Imienia i krępujące dziewczynę łańcuchy rozpadły się na kawałki. Biedna czarownica bała się chyba najbardziej. Chwyciłem ją w pełnym biegu i przerzuciłem przez siodło. Na koniec coś uderzyło mnie w plecy i już za zakrętem usłyszałem wściekły ryk duchownego:

- Gońcie ich!

- Czy to pomocnik diabła? - spytał specjalnie głośno Jean.

- Jaki tam pomocnik! Zwykły strach na wróble! Sługa diabła rozpadłby się w proch od jednej kropli wody święconej, a ten nawet się nie skrzywił! Ale zdążyłem mu przyłożyć krzyżem pod łopatkę...

O, poczekaj, łobuzie! Zapamiętam to sobie...

Ukryłem się z czarownicą w zagajniku, a dziesięć minut później dołączyli do nas moi wierni towarzysze.

Jean szorował mnie w niewielkim strumyku.

- Nie urządzą pogoni, nie ma obawy. Wprawdzie ksiądz wykrzykiwał coś o karze, ale chłopów przeraził pan na śmierć! Są przekonani, że widzieli najprawdziwszego czarta.

- Prawdę mówiąc, jak na diabła, to za słabe przebranie. A jak się czuje uratowana dziewczyna?

- Jak by to powiedzieć, milordzie... Nic nie mówi, nie płacze, tylko siedzi z twarzą opartą o kolana. Chyba się nas boi.

- Dziwne - mruknąłem. - Wprawdzie nie spodziewałem się, że ze szczęścia zatańczy dla nas lezginkę, ale mogłaby chociaż podziękować... Zresztą nieważne. Zjemy coś i ruszamy w drogę. Gdzie ta Cicha Przystań?

!*

Buldożer machnął ręką w lewo. Daleko, na horyzoncie, ciągnął się rzadki las, otulony szarą mgiełką.

- Ta mgła nie rozwiewa się nigdy - wyjaśnił tchórzliwy rycerz.

Obiad upłynął w żalobnym milczeniu. Uratowana dziewczyna nieśmiało wzięła kawałek chleba, ale nie tknęła niczego więcej.

Lija nie miała najmniejszego zamiaru występować w roli serdecznej gospodyni, bawiącej gości wesołą rozmową. Jean szybko uporał się ze swoją porcją i teraz czyścił nóż o kępkę trawy. Tutaj, w zagajniku, byliśmy bezpiecznie ukryci przed pościgiem inkwizycji, ale coś wisiało w powietrzu. Chyba mój pomysł mógł ściągnąć na nas poważne kłopoty... Ale nie lubię martwić się na zapas, zwłaszcza problemami, które jeszcze się nie pojawiły.

Zazwyczaj w zupełności wystarczają mi problemy już istniejące.

- Dobrze! Na koń, czas na nas - zarządziłem.

Kilka minut później byliśmy już w siodłach. I dopiero w tym momencie biedna dziewczyna odważyła się odezwać:

-Aja?

- Ty? - Przyznam szczerze, że nieszczególnie martwiłem się jej przyszłością. - Ty jesteś wolna. Możesz iść, dokąd chcesz.

Zdobyć wykształcenie, na przykład. Tylko nie pozwól się więcej złapać tym fanatykom religijnym. Jean, daj jej trochę pieniędzy.

Ale nieszczęsna dziewczyna uczepiła się mojego strzemienia i zaczęła lamentować nie gorzej niż niedawno moi towarzysze:

- Milordzie! Nie porzucajcie mnie! Dokąd pójdę? Nie mam nikogo! Dlaczego ratowaliście mnie przed stosem, skoro teraz porzucacie na pastwę losu? Lepiej zabijcie mnie od razu! Śmierć z waszych rąk przyjmę jak błogosławieństwo!

Obejrzałem się bezradnie na Buldożera.

- Z piętnem czarownicy daleko nie zajdzie... - Rycerz pokrę-

cił głową.

- Od razu mówiłam, żeby się do tego nie mieszać - prychnęła Lija. - Ale, jak zwykle, nikt mnie nie słucha.

Chyba już wiedziałem, czym to się skończy...

Jechałem przodem, a koń niósł mnie z wyraźną godnością. Widocznie dotarło do niego, że nie powinien spodziewać się innego jeźdźca i postanowił przyjąć mnie takim, jaki byłem. Słyszałem, jak Lija i Buldożer opowiadają nowej towarzyszce o urokach naszego życia. Uratowana dziewczyna miała na imię Weronika.

- Lord Osiernica to bardzo szlachetny człowiek i wielki wojownik. Gdyby...

- Gdyby tylko nie pędził ratować każdego, kto się nawinie! - wpadła Jeanowi w słowo Lija. - Pod tym względem zachowuje się jak dziecko, czasem aż trudno z nim wytrzymać...

- Za to jest ciekawie! - bronił mnie Jean. - Nie ma dnia bez przygody, nie ma godziny bez bitwy! Czasem za jednym zamachem dokonujesz całe mnóstwo bohaterskich czynów...

- I nie zyskujesz nic, prócz siniaków! Na pieniądze lepiej się nie nastawiaj. Gdyby nasz lord kogoś podbił i został królem...

- Na pewno nim zostanie! - zawołał z przekonaniem Jean. - A w ogóle, skoro go tak krytykujesz, to czemu jedziesz z nami nie wiadomo dokąd?

- Bóg jeden wie - odparła filozoficznie Lija. - Widocznie lubię podróżować.

- A moim zdaniem lubisz nie podróżować, lecz swojego pana - zauważyła niewinnie Weronika. Te kobiety...

W odpowiedzi Lija prychnęła i obrzuciła czarnowłosą czarownicę wzgardliwym spojrzeniem.

Tymczasem podjechaliśmy do mgielnej zasłony. Przez szarą warstwę ledwie prześwitywały pnie drzew, ciężko byłoby nam jednak zboczyć z drogi - poczynając od omszałego głazu, ścieżkę wyłożono czarnymi kamieniami. Jean zeskoczył z konia, starł mech i przeczytał wykute na głazie litery: Życie jest krótkie, a na TEJ DRODZE STAJE SIĘ JESZCZE KRÓTSZE...

- Chcecie przejść przez Cichą Przystań? - Oczy Weroniki rozszerzyły się.

- Owszem, a o co chodzi? - Udałem zdumienie.

- To niedobre miejsce! Tam giną i ludzie, i zwierzęta. Moja babcia nieraz opowiadała o tej Przystani, a wszystkie opowieści sprowadzały się do jednego: stąd nikt nie wraca żywy...

- Jean -jęknęła cicho Lija. - Dokąd ty nas przyprowadziłeś?

- Chciałem, żeby było krócej. Lord Osiernica...

- Lord Osiernica chce dotrzeć jak najszybciej do Matwieicza, a nie na tamten świat! Zawracamy!

- Stop! Lija, kto tu jest kierownikiem ekspedycji: ty czyja? No

właśnie! Moja propozycja brzmi następująco: ja wchodzę w tę mgłę... w końcu to tylko mgła, kiedyś się rozplynie... - a wam pozostawiam swobodę wyboru. Jeśli idziecie ze mną, to przestajemy jęczeć i trzymamy się razem. Jeśli wolicie zostać, rozstajemy się w pokoju i przyjaźni. Jean?

- Idę z wami, milordzie. Choćby diabłu w paszczę, ale razem.

- Brawo, poruczniku! Weronika?

- Nie mam dokąd pójść. -Dziewczyna wzruszyła ramionami. - Jeśli pozwolicie, pójdę z wami...

- A ja to co, od macochy? - Lija się zdenerwowała. - A w ogóle, lordzie Osiernico, jeśli nawet nie jestem zachwycona tym pomysłem, to jeszcze nie powód myśleć, że porzucę was w tej trudnej chwili! Beze mnie byście przepadli...

Och, ależ miałem ochotę przerzucić ją przez kolano i dać klapsa! Wyczuwając moje chęci szóstym zmysłem, Lija smagneła konia i pierwsza wjechała na ścieżkę.

- Nie widać drogi! - zameldował dziesięć minut później Jean.

Rzeczywiście, siedząc w siodle, ledwie mogliśmy dojrzeć nogi własnych wierzchowców.

- Z koni! - zakomenderowałem. - Buldożer idzie pierwszy, za nim Lija, ja zamykam pochód, Weronika jedzie na moim koniu. Konie prowadzimy za lejce. Idący z tyłu trzyma za ogon...

- .. idącego z przodu! - dokończyła uprzejmie nasza złoźnica.

- Dokładnie tak. Trzymamy się za ogonki i maszerujemy przed siebie. Giermku, wysuń kopię do przodu i machaj nią na wszelki wypadek.

Dalej poszliśmy gęsiego. Po drodze udało mi się porozmawiać z Weroniką - to ona odezwała się pierwsza:

- Milordzie, wybaczcie głupie pytanie, ale dlaczego mnie uratowaliście?

- Szczerze mówiąc, nie miałem wobec ciebie żadnych konkretnych planów. Tak po prostu wyszło... spontanicznie.

- Czyli uratowaliście mnie bez powodu?

- Na to wychodzi. Przykro byłoby spalić taki piękny nos.

- Żartujecie sobie ze mnie! -Uśmiechnęła się nieśmiało.-Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby ktoś narażał życie w tak nieprawdopodobnym stroju! Dlaczego?

- To proste, drogi Watsonie. Należało zaskoczyć, przestraszyć i oszołomić przeciwnika. Gdybyśmy zaatakowali normalnie, stłamsiliby nas, a potem spalili do towarzystwa.

- Ale ratowanie czarownicy...

- Nie jestem przesadnie religijny. Poza tym, w moim pojęciu wiedźma to garbata starucha o wielkich zębach i złych manierach. Nie pasujesz do tego wizerunku.

- Dziękuję, lordzie Osiernico! - Weronika roześmiała się jak

szczęśliwe dziecko. - Jeszcze nikt tak do mnie nie mówił. Ale muszę wam wyznać... nie będziecie rozczarowani?

- Mów śmiało, co mi tam...

- Ja naprawdę jestem czarownicą!

Szczeńka mi opadła i stanąłem jak wryty. Dopiero wtedy spostrzegłem, że ogon kobyły Lii już mnie za sobą nie ciągnie, a w moich rękach została garść twardych końskich włosów.

- Buldożer! Lija! Gdzie jesteście? - Mgła tłumiała dźwięki.

Obejrzałem się i z przerażeniem zobaczyłem, że mała wiedźma też zniknęła z siodła! Przepadli wszyscy moi towarzysze! Mgła wokół mnie gęstniała, przybierając potworne kształty. Rozpacz szybko ustąpiła miejsce strachowi, strach- wściekłości. Wskoczyłem na siodło i wyciągnąłem zza pasa Miecz Bez Imienia.

- Z drogi!

Przestraszony koń ruszył galopem i gdyby nad ścieżką wisiała choć jedna gałąź, zaraz byłbym krótszy o głowę. Mgła wydawała mlaszczące dźwięki, a w moją stronę wyciągały się łapy szarych bezcielesnych stworów. Ktoś złapał mnie za płaszcz, koń stanął dęba, omal mnie nie zrzucając, a ja wściekle wymachiwałem mieczem. Lśniaca klinga migotała jak oszalała błyskawica i niebawem nad szeregi napastników uniósł się jęk żalu i rozczarowania - mgła się rozwiewała! Chwilę później kobiecy głos zaskrzypiał:

- To bez sensu... On jest landgrafem, ma Miecz Bez Imienia...

Gorgulia Times, bo tak brzmiało imię głównej wiedźmy Cichej Przystani, była przystojną, czterdziestopięcioletnią korpulentną kobietą, z wyraźnie wyeksponowanymi wdziękami i gęstwą kędzierzawych, ciemnorudych włosów, lekko przyprószonych elegancką siwizną. Miała na sobie luźną fioletową suknię, na jej ramieniu zaś wisiała torba pełna dziwnych proszków, mazideł, kremów, czardziejskich olejków i soli. Cicha Przystań rzeczywiście istniała, choć wyglądała nieco inaczej, niż wyobrażali to sobie ludzie. Mieszkało tu około pięćdziesięciu staruszek o wyraźnych skłonnościach magicznych - swego rodzaju związek zawodowy wiedźm, cierpiących na sklerozę, reumatyzm i inne dolegliwości. Czarownice zjednoczyły się i zorganizowały sobie na cmentarzu dom spokojnej starości. Miejsce, trzeba przyznać, szalenie romantyczne - trumny, dostatek nieboszczyków, krzyże, czaszki... Spuściły mgłę, zaczarowały drogę i biada tym wędrowcom, którzy wpadliby w ich łapy! O tym wszystkim opowiedziała mi sama Gorgulia, nim dotarliśmy do centrum Przystani. Tutaj nie było już żadnej mgły (wyraźnie się przejaśniło, a nawet zaświeciło słońeczko) i można było dokładnie obejrzeć porośnięty trawą kamienny ołtarz, nakryte stoły i schludne staruszki o przedziwnych twarzach. Gdybym traktował to wszystko z pełną powagą, zwariowałbym i spędził resztę życia przy kościele

w charakterze cichego, nieszkodliwego schizofrenika. Ale cóż...
Cicha Przystań nawet mi się spodobała. Ze swoją sytuacją już się pogodziłem, a sami przyznacie, że przygoda była całkiem, całkiem.

- Nie będę kłamać, że cieszymy się z twojego przybycia. Nie jesteś stąd, landgrafowie Miecza Bez Imienia zawsze przybywali z innego świata. I trzeba przyznać, wszyscy byli herosami! Wszyscy jak jeden mąż wysocy, silni, śmiali... lewą ręką podpierali niebo, prawą poskramiali ryczący ocean. I wszystkich spotkał ten sam straszny los... My jesteśmy wolnymi wiedźmami i ani król, ani Riesenkampf nie mają tu nic do powiedzenia. My nie wtrącamy się do ich spraw, oni zostawiają nas w spokoju. A i tak było mi żal tych dwunastu landgrafów, którzy zginęli dla słodkiej Tanitriel...

- Znać ją? - przerwałem gadatliwej kobiecie.

- O, tak! Królowa Lockheim rosła na moich rękach. Wtedy jeszcze mało kto wiedział, że jestem wiedźmą. Ciągle jest taka ładna?

- Raczej tak... Gdyby tylko ten drań nie grał jej na nerwach... Ten płaszcz z broszą to właśnie prezent od niej. A gdzie moi towarzysze?

- W naszych rękach. Nikt nie może przejechać bezkarnie przez Cichą Przystań. Prócz landgrafa, oczywiście... - Naczelną wiedźmą zamruczała coś niezrozumiale i utkwiała wzrok w moich oczach. - Odbędzie się uroczysta kolacja, nakryliśmy stoły, sprosiliśmy gości, urządzamy niewielkie święto. Będą nawet pierogi! A wszystko na twoją cześć. Jedną z naszych zasad brzmi: jeśli nie jesteś ofiarą, będziesz gościem!

Skłoniłem się i jeszcze raz przypomniałem:

- A moi towarzysze?

- Będą na kolacji...

Nie mieliście nigdy okazji uczestniczyć w imprezie organizowanej przez wiedźmy? Nie? Dużo straciliście! Chociaż, tak między nami, oddałbym wiele, żeby w to wszystko trafił ktoś inny. Na moim miejscu powinien znaleźć się jakiś bohater, to zadanie w sam raz dla niego, a ja? Człowiek spokojny, prowincjusz, nie muszę się wszędzie pchać... Ale cóż począć!

Suto zastawione stoły uginały się pod jadłem; detale, rzecz jasna, były zgodne z najlepszymi tradycjami gatunku. Puchary ze spiłowanych czaszek, rączki sztuców z ludzkich kości, w czerwonym winie pływają muchy, sałatki z pokrzyw i mchu... Jakim cudem te starowiny przeżyły na takim wikcie? Ja bym zaraz wyciągnął nogi - zresztą chyba właśnie będę miał okazję. Specjalnie dla mnie przygotowano pierogi z kapustą i grzybami - po raz pierwszy w życiu zobaczyłem pierożek wielkości dwóch moich dłoni. Gdy wszyscy zajęli miejsca, Gorgulia Times wygłosiła uroczystą mowę na moją cześć:

- Przyjaciółki i siostry, współbojowniczkę i współuczestniczki!

Dzisiaj podejmujemy w Cichej Przystani szlachetnego lorda Osier-

nicę, landgraфа Miecza Bez Imienia. Spojrzenie ma jasne, jego wysiłki są słuszne, choć starania bezowocne i w beznadziejnej sprawie. Zgodnie z tradycją jest skazany na heroiczną i wspaniałą śmierć. Oddajmy to, co należne naiwnemu wojownikowi i wspaniałemu mężczyźnie!

Wszystkie wiedźmy zgodnie zaklaskały i wypity moje zdrowie. Myślę, że każdy inny na moim miejscu zakrztusiłby się, słysząc taki toast, ale cóż, zdążyłem się już przyzwycząić. Też wychyliłem swój puchar - gospodynie nalały mi złocistego wina, lekkiego i słodkiego. Co piły one same, mogłem sobie tylko wyobrażać - prawdopodobnie nieświeżą krew. Po mojej lewej stronie siedziała Gorgulia, z prawej przycupnęła Weronika.

- O, cześć, mała! Mam nadzieję, że wszystko w porządku?

- Właściwie tak, milordzie. Chcą, żebym tu została. - Oczy Weroniki zrobiły się duże i okrągłe. - Mówią, że mam ogromne zdolności do czarów. Mama i babcia, i cała rodzina z żeńskiej linii to były czarownice, a pradziadek występował w cyrku, pokazując sztuczki magiczne.

- Faktycznie, przy takich genach... - Pokiwałem głową. - A ty sama nie próbowałaś dotąd czarować?

- Nie. Książki babci spłonęły, a bez zaklęć nic nie wyjdzie.

- Wyjdzie, wyjdzie, mała. - Całe towarzystwo jadło, piło i wesośliło się, prawie nie zwracając na nas uwagi. - Pewien mój znajomy unosił widelce i przesuwiał zapalki samym spojrzeniem.

- To znaczy jak? - zainteresowała się Weronika.

- Nie zdołam ci tego pokazać, ale mogę opowiedzieć. Widzisz tę świeczkę? Utkwij wzrok w knocie, zbierz całą siłę woli i w myślach zmuś ją, żeby się zapaliła.

Mała czarodziejka nabrała powietrza i zacisnęła piąstki.

- Nie musisz się tak napinać! Przeciwnie, rozluźnij się, pozwól myślom płynąć swobodnie i zapal tę świecę porywem fantazji! Wino wydawało się takie lekkie, a tu proszę, zebrało mi się na poetyzowanie... W tym samym momencie Weronika uśmiechnęła się, zatrzepotała rękami i... na miejscu świeczki zapłonęło niewielkie ognisko. Przerażone staruszki pospiesznie ugasiły je sosem.

- Taak... tylko troszeczkę delikatniej. Mierz siły na zamiary - powiedziałem surowo. - W końcu jesteśmy w gościach, a gospodynie są tutaj surowe.

- Będę się starać, milordzie! - Uśmiechnął się radośnie młody talent. - Zostanie pan moim nauczycielem, dobrze?

- Ja miałbym uczyć wiedźmę czarów? Nie podejrzewam w sobie takich talentów, ale możemy zaryzykować. Dobrze, Weroniko, a gdzie są nasi?

- Jean i ta... wiecznie niezadowolona osoba? Całą naszą trójkę wsadzili do klatki za tamtymi krzakami. Potem mnie przyprowa-

dzono tutaj, a ich chyba wypuszczą po kolacji. Z tego, co zrozumiałam, mają występować.

- Stop. Nic nie rozumiem. Chwileczkę... Gorgulia, co pani wymyśliła w sprawie moich przyjaciół?

- Giermka i służącej? - prychnęła wzgardliwie wiedźma. - Naprawdę się nimi przejmujecie? Powinniście się wstydzić! Landgrafowi Miecza Bez Imienia nie przystoi taki sentymentalizm.

- To nie pani sprawa! - zawołałem oburzony. Wstałem i nogi się pode mną ugięły, ale trzeźwiałem błyskawicznie. - Buldożer i Lija są mi potrzebni. Nie chciałbym nikomu psuć święta, więc mam nadzieję, że dojdziemy do rozsądnego kompromisu. Proszę nie doprowadzać mnie do ostateczności!

- No i co z nimi zrobicie? Ten Jean to beznadziejny tchórz, jeszcze będziecie przez niego płakać, a dziewczyna? Zakochana w was jak kot...

- Wolałbym nie doprowadzać do konfrontacji. - Teraz z kolei ja próbowałem wywrzeć nacisk. - To moje wewnętrzne, niezależne i suwerenne problemy, które sam zamierzam rozwiązywać! Albo ich oddacie, albo... same wiecie: kto mieczem wojuje, od miecza ginie.

- Wiecznie to samo! - zasepiła się Gorgulia Times. - Rade wam byśmy nieba przychylić, a wy... Co nam z takiego landgrafa? Nie chce pocierpieć ani umrzeć pięknie i uroczyście... No, już dobrze... Zaraz odbędą się bezwstydne tańce, a potem pojawią się pańscy włóczędzy.

- Milordzie, czy one oddadzą naszych przyjaciół? - spytała Weronika.

- Bez wątpienia! - Muszę przyznać, że mówiłem z coraz większym przekonaniem. - Za chwilę dla nas zatańczą, a potem przyprowadzą Liję i Jeana. Zaraz, zaraz... czemu tak się wpatrujesz w sąsiedni stół?

- Próbuję wyszarpnąć krzesło spod tamtej wiedźmy w czerwonej sukience. Myślą, tak jak świecę.

- To ci się chwali, moja mała. Codzienne treningi pozwalają osiągać znakomite efekty. Ale wyszarpywanie krzeseł spod nietrzeźwych emerytek to nie...

Nie zdążyłem dokończyć, a krzesło wyfrunęło spod nieszczęsnej babki i zbiło po drodze z nóg jeszcze trzy inne, obładowane tacami. A sama staruszka, upadając, zaczepiła o stół i ściągnęła na siebie obrus. Impreza wyraźnie zaczęła się rozkręcać.

- Weroniko! - warknąłem przez zęby. - Czy mogłabyś bardziej uważać? Proszę cię już po raz drugi!

- Dobrze, dobrze. Będę siedzieć jak mysz pod miotłą - spokorniała początkująca czarownica.

- Bezwstydne tańce! - oznajmiła triumfalnie naczelna wiedź-

ma i klasnęła w dłonie.

Na polanie zmaterializowały się trzy kobiety w kolorowych sukienkach. Wszystkie były grubo po pięćdziesiątce, ale w porównaniu z resztą wyglądały jak dziewczęta. Zagrzmiała dzika muzyka i tancerki zaczęły tańczyć w takt niewiarygodnej mieszanki gorących rytmów. Przysięgam, że nie spodziewałem się takiej reakcji babć. Stare wiedźmy dosłownie oniemiały z zachwytu! Czerwieniły się, chichotały zawstydzone i odwracały się pruderyjnie, zerkając jednym okiem. Gorgulia Times kuksnęła mnie łokciem.

- Jak ci się podoba? Rozpustne, co?

Cóż mogłem powiedzieć? Sukienki sięgały tancerkom za kolana, ręce były odsłonięte do łokci, szyja goła, kościste obojczyki na wierzchu - i to wszystko! Dodajcie do tego podeszły wiek, wściekły makijaż i epileptyczne ruchy w rytm dzikiej muzyki... Gdzie tu erotyzm?! Podrygujące ciotki mogły wzbudzić w dowolnym mężczyźnie trwałą niechęć do seksu, czyniąc go impotentem na resztę życia.

- Nigdy nie widziałem niczego podobnego - wyznałem szczerze. - Dosłownie zwała z nóg! Mam nadzieję, że Jean i Lija nie zostaną zmuszeni do tańców?

- Nie. Hej, wprowadźcie jeńców!

Wszystkie uczestniczki imprezy zawyły radośnie:

- Świeża krew! Świeża krew!

Muszę przyznać, że nie spodobało mi się to. Weronika popatrzyła na mnie i ściągnęła brwi. Na polanie znajdował się wielki krąg, wyłożony białymi kamieniami, a na jego środku spoczywał ociosany szary głaz, pokryty znakami i literami. Do tego właśnie głazu doprowadzono naszych związanych przyjaciół. Całe towarzystwo zerwało się z krzeseł i wyskoczyło zza stołów. Wymachując nożami i kielichami, wiedźmy ustawiały się w kolejce. Naczelną wiedźmą uniosła dłoń:

- Ci ludzie są przyjaciółmi landgraфа. Rozwiążcie ich.

Zapanowało milczenie.

- Tak, moje siostry, rozumiem, że to rażące naruszenie tradycji. - Gorgulia Times pokiwała głową. - Ale lord Osiernica nalega, twierdząc, że ta dwójka jest mu bardzo droga. Nie chciałabym psuć humoru naszemu szlachetnemu gościowi ani nastroju dzisiejszej uroczystości. W końcu raz możemy pójść na ustępstwa... Co się zaczęło dziać! Wrzask oburzenia zagłuszył ostatnie słowa Gorgulii. Nigdy bym nie przypuszczał, że pięćdziesiąt emerytek może robić taki harmider. Dzikie krzyki, wyrzuty i oskarżenia o zdradę zlewały się w jeden ryk. To było nawet gorsze niż reforma emerytalna przeprowadzana na terenie firmy ubezpieczeniowej. W końcu, przekrzykując pozostałe, jakaś szczególnie kłótniwa baba weszła na stół i pokazując mi palcem, wygłosiła oskarżycielską mowę:

- Nie waż się naruszać naszych obyczajów! Musimy się z nimi

zabawić i napić się ich krwi. To tradycja! I nie zatkaś mi ust, mamy tu demokrację! (Zachwycone okrzyki tłumu). Nasza zdobycz należy do nas. A jeśli ten twój landgraf chce uratować skórę, niech zmyka gdzie pieprz rośnie! Nie oddamy tego, co nam się prawnie należy!

- Ale on żąda, aby oddać mu jego przyjaciół. Przecież wiecie, że walka z Mieczem Bez Imienia nie ma sensu! - argumentowała Gorgulia.

- Z Mieczem Bez Imienia owszem! A co ma do tego ten fałszywy landgraf? Spójrzcie tylko na jego strój! (Wybuchy śmiechu). Jedyna porządna rzecz to płaszcz, ale koszula, spodnie, a te głupie buty? Jest bardziej bezbronny niż dziecko! Niechaj podzieli los swoich sług. Znowu ktoś się czepia mojego ubrania! Czemu nie popatrzą na siebie?! Niejeden strach na wróble odmówiłby włożenia takich łachmanów.

- Nie pozwolę podnieść ręki na przyjaciela królowej Tanitriel! - zaprotestowała naczelna wiedźma, ale jej oponentka pstryknęła palcami i w powietrzu zawisła kartka papieru.

- Oto rozkaz samego Riesenkampfa, który żąda zniszczenia trzynastego landgrafa i wszystkich, którzy są po jego stronie!

- Siostry! Nie słuchajcie Szalonej Gerły! - Gorgulia Times nadal próbowała przemówić czarownicom do rozumu. - Jesteśmy wolnymi wiedźmami i nie słuchamy żadnych rozkazów! Riesenkampf nigdy nas nie dosięgnie, a lord Osiernica przybył do nas jako gość. Znacie przecież proroctwo: wcześniej czy później przybędzie człowiek z Południa, który dzierży Miecz Bez Imienia, i runą mury, i rozpadnie się wielkie imperium, i w niebiosach ukaże się Lockheim - Latające Miasto!

- Jeńcy należą do nas! - zawył tłum.

- A teraz posłuchajcie mnie! - Słowo daję, nie spodziewałem się po sobie takiego głosu, istny Szaliapin! - Nikt nie będzie tańczył na kościach moich przyjaciół, póki żyję! Ani Riesenkampf, ani chór domu starców, ani nikt inny... Wilczy Pazur miałby na ten temat sporo do powiedzenia, ale akurat jest w piekle. Zazwyczaj jestem niespotykane spokojnym człowiekiem, ale teraz... Spróbowałem zrobić krok do przodu - i nie mogłem. Próbowałem wyciągnąć Miecz Bez Imienia, ale ręce odmówiły mi posłuszeństwa. Gorgulia Times zmagala się spojrzeniami z dziesięcioma staruchami naraz - niewątpliwie magiczny pojedynek. A ja... ja mogłem tylko mówić! Szalona Gerła zatarła ręce z radości.

- Wpadłeś, landgrafie! Użyj swojej broni, proszę bardzo! Nie możesz? Biedaczysko! Będziesz musiał teraz obejrzeć rytuał przejścia ofiary przez kręgi Szarego Ołtarza. Landgrafowie umierają uroczyście...

- Weroniko! - krzyknąłem. - Możesz mnie uwolnić?

- Nie, milordzie... - Młoda adeptka niemal płakała ze złości. -

Nie znam żadnego zaklęcia!

Jeana i Liję już kładli na kamieniu...

Nie miałem innego wyjścia, nie miałem wyboru, nie miałem nawet czasu, żeby dobrze zorientować się w sytuacji. Należałoby wszystko rozważyć, przemyśleć i dopiero wtedy podjąć decyzję. Człowiek powinien się zastanowić, popatrzeć na problem z różnych stron, bez pośpiechu, zamętu, bez niepotrzebnych emocji... Ale nie tym razem. Tłum stukniętych wiedźm zasłonił mi Liję i Jeana, a potem na rozkaz tego wrednego babiszona, Szalonej Gerły, sześć wiedźm uniosło mnie niczym posąg i postawiło na stole. Z tej wysokości mogłem zobaczyć blade twarze moich przyjaciół. Jean dosłownie oniemiał z przerażenia, nie mógł nawet odmawiać modlitwy, a Lija, sądząc po jej wściekłym spojrzeniu, miałaby bardzo wiele do powiedzenia, ale przewidujące wiedźmy zakneblowały jej usta szmatą. Gorgulię Times zaatakowały trzy czarownice i teraz z trudem stawiała opór zjednoczonym zaklęciom przeciwniczek. Byłem jeszcze ja, pomnik szlachetnego oburzenia, oraz młoda dyletantka z wielkimi perspektywami, która nauczyła się przesuwać krzesła wzrokiem. Podekscytowany tłum wył, a Szalona Gerła niosła złoty półmisek, na którym leżał masywny czarny nóż z obsydianu...

- Weroniko!

- Tak, milordzie... - Słowa były ledwie słyszalne przez łyzy, pięści zaciśnięte, wspaniały nos zaczerwieniony i zwieszony na kwintę.

- Sądzę, że to idealna pora na magiczną rozgrzewkę. Co ty na to?

- Słucham? - Dziewczyna chyba zaczęła mieć wątpliwości co do stanu mojego umysłu, aleja nie miałem ani czasu, ani chęci na długie wyjaśnienia.

- Weroniko! W tej chwili przestań beczeć! Co za ludzie, słowo daję, jak tylko coś się stanie, od razu w płacz. Popatrz, co robią z naszymi przyjaciółmi! Te walnięte staruchy zarzną Liję i Buldożera, potem oddadzą mnie Riesenkampfowi, a tobie zaproponują, żebyś została tutaj. A to znaczy, że będziesz pić krew, cieszyć się z mojej śmierci i tańczyć na kościach nieszczęsnych wędrowców! To właśnie chcesz robić?

- Jak mogliście coś takiego pomyśleć! - Głos dziewczyny zadźwięczał spizem. - Przecież uratowaliście mi życie! Ja za was... i za nich... ja... ja nie wiem, co zaraz zrobię z tymi wiedźmami!

- Doskonale, moje dziecko! Nie pozwól, aby twój słuszny gniew zgasł przedwcześnie. A teraz podnieś w myślach coś bardziej masywnego od świeczki i wyrznij tym przedmiotem w łeb babę z kozikiem.

Nie widziałem twarzy młodej czarownicy - może to i lepiej? - ale zauważyłem, że od najbliższego stołu oderwał się drewniany cebrzyk z zupą i ruszył w stronę Szalonej Gerły z prędkością pocisku Toma-

hawk. Wredną staruchę po prostu zmiotło. Żadna jędza jeszcze nie rozumiała i czerwone oczy wlepiły się we mnie ze zdumieniem.

- Weroniko, dziecko, rzuć no jeszcze czymś, tylko cięższym!

Początek był wcale niezły, kontynuujmy nasze zajęcia. Hop!

Chwilę później krwiożercze baby zostały zbombardowane wszystkim, co stało na stołach. To był widok! Istne przedstawienie! Wiedźmy, oblane winem, zupą, śmietaną, z kapustą w uszach, były wściekłe jak osy. Zanim przyszło im do głowy, żeby zastosować zaklęcia ochronne, masywny dębowy stół wbił się w ich szeregi i znaczna część czarownic odpadła z rozgrywek. Leżały na polanie w różnych pozach, jakby właśnie zamierzały się poopalać. Jednak z dziesięć najbardziej upartych staruszek z rewolucyjnym fanatyzmem skupiło się wokół kamienia ofiarnego. Zagrzewane do boju przez Gerłę, włączyły się do walki. A ja, głupi, sądziłem, że ta jędza już nie wstanie... Nie każdy kaskader wytrzymałby cios dębowym cebrzykiem z zupą! A ona jakby nigdy nic... Następny stół uderzył już w niewidoczną ścianę.

- Co dalej, milordzie? - zapytała dziarsko Weronika, a jej oczy płonęły sportowym zapalem.

- Mamy tylko jedną możliwość: dywersja! -Przypomniałem sobie bezwstydną tańce i reakcję widzów. - Podnieś Jeana, postaw go na nogi i zdejmij z niego sznury.

- Tak jest, milordzie!

Ciało Buldożera przyjęło pozycję pionową a wiedźmy, widząc, co się święci, uchwyciły się go ze wszystkich stron.

- Trzymajcie go mocno! - wyła Szalona Gerła. - Zdobycz nie wymknie się nam z rak!

I nagle... tak jak przewidywałem, Weronika za bardzo się postarała... - na Jeanie nie było nie tylko pęt, ale również ubrania. Dziesięć wstydliwych babuleniek obejmowało nagiego mężczyznę! Staruszki otworzyły usta, na przemian czerwieniały i bładły, a w końcu popatrzyły na siebie i nie umawiając się, straciły przytomność. Stukniętej Gerle słowa uwięzły w gardle. Wiedźmy atakujące Gorgulię Times straciły rezon, stropiły się i zaczęły się poddawać. Weronika skoczyła do przodu i szybko uwolniła z więzów Liję. Ledwie stojąc na zdętwiały nogach, błękitnooka furia zarzuciła Szaloną Gerłę takim stekiem przekleństw, że biedna czarownica po prostu nie nadążała z odpowiedziami.

- Ty stara ropucho! Krwi ci się zachciało?! Już ja ci zaraz krwi upuszczę! Bez żadnego szacunku dla wieku, tak ci przywałę, krzywa kądziółko, że się nogami nakryjesz!

A musicie wiedzieć, że Lija zazwyczaj nie bywa gołosłowna.

Ciągle odkrywam nowe rysy charakteru mojej mimowolnej towarzyszki... Ale co to? Znowu mogę się ruszać? Jestem wolny!

Część 2

Mag weterynarz

/ rzekł Riesenkampf: „Landgraf Miecza Bez Imienia musi zginąć!” I cały świat stanął do walki. Naród i wojsko, władze świeckie i kościół, zbóje i rycerze, smoki i jednorożce, ziemia i niebo, lasy i rzeki - wszyscy posłuszni byli jego woli i powstali przeciwko trzynastemu landgrafowi. I nie było dla niego ratunku, nie było przystani ani ochrony, a on szedł naprzód w towarzystwie sług swoich, a w rękach jego lśnił Miecz Bez Imienia...

Kroniki Lockheimu

Do morza dotarliśmy bez przygód, ale w niepełnym składzie - Weronika mimo wszystko postanowiła zostać u Gorgulii Times. Początkowo chciała oderwać skórzaną naszywkę z moich dzinsów, żeby w razie czego móc szybko nas znaleźć, jednak naczelna wiedźma zapewniła ją, że nasza drużyna nie zniknie bez śladu. Biorąc pod uwagę mój zwyczaj wtrącania się do wszystkiego, co tylko trafi się po drodze, rzeczywiście powinno się za nami ciągnąć echo skandalu. Nawet przy najlepszych chęciach trudno nam się będzie zgubić. Gorgulia osobiście wyprowadziła nas z Cichej Przystani, zaopatrząc we wszystko, czego tylko moglibyśmy potrzebować w drodze. Chyba nas polubiła.

Nad morzem urządziliśmy sobie dwudniowy urlop. Lija wyprała i wysuszyła wszystkie ubrania, Jean kąpał konie, jedzenia mieliśmy pod dostatkiem. Mój Boże, całe dwa dni ciszy i spokoju! Słońce, ciepłe morze, złoty piasek nietkniętych cywilizacją plaż... Ech, gdyby tak jeszcze deser lodowy, zimny drink i świeży numer „Playboya”... Gdybyśmy mieli zatrzymać się tu na dłużej, namówiłbym moich przyjaciół do zbudowania roweru wodnego. Trzeciego dnia, rześcy i wypoczęci, ruszyliśmy wzdłuż wybrzeża i wkrótce zza pobliskiego cypla wyłoniły się spiczaste wieże. Nasze konie szły obok siebie i bryzgi wody lecące spod kopyt lśniły w słońcu jak perły. Po mojej lewej ręce jechał Buldożer, po prawej Lija; prowadziliśmy niespieszną, leniwą rozmowę.

- Daleko jeszcze do Wesnachhause?

- Jutro wieczorem powinniśmy być na miejscu, milordzie.

- A co to za mury na kursie?

- Klasztor świętego Jefroima Przybłądy - wyjaśnił Jean.

- To właśnie tutaj? - ożywiła się Lija. - Wiele słyszałam o tym miejscu, ale po raz pierwszy widzę je na własne oczy.

- Ja zaś, jako że jestem przejazdem w waszym kraju, nigdy o nim nie słyszałem, więc opowiedz mi, Szeherezado, historię tych wież. Pewnie tutaj również nie obeszło się bez jakiegoś plugaństwa. Trafiły się wiedźmy, smoki, zombi i tak dalej, a zdeterminowany mnich Jefroim rozgonił towarzystwo w imię Boże, tak?

- O nie, milordzie. - Lija zachichotała stropiona. - Oczywiście, mogę opowiedzieć to, co sama słyszałam, ale czy przystoi niewinnemu dziewczęciu rozprawiać na takie tematy ze swoim panem?

- Zaczyna się interesująco... - Poprawiłem się w siodle. - Po pierwsze, nie mam szesnastu lat, więc nie wyobrażajcie sobie, że waszymi bajeczkami wywołacie rumieniec na mojej twarzy; po drugie, Lijo, w podróży nie jesteś niewinnym dziewczęciem, lecz roztropnym paziem, więc wal śmiało swojemu panu, wszystko, co wiesz.

- No cóż, między nami dziewczętami - zaczęła Lija - krążyła taka opowieść. Dawno temu na nabrzeżu stała karczma. Wiele statków zawijało do miejscowej zatoki i wielu marynarzy, kupców, a nawet rozbójników chętnie się tu zatrzymywało na kubek wina albo dzban jasnego piwa. Karczmarz wynajmował pokoje na noc i powiadano, że w tych pokojach piękne służki nie tylko ścieliły łóżka...

- Czyżby coś w rodzaju domu publicznego? - Uniosłem brew.

- Tak, właśnie... cały dom służących gotowych na wszystko.

Karczmarz się bogacił, a karczma zyskała złą sławę. I wtedy

ca

w okolicy pojawił się wędrowny mnich, a na imię miał Jefroim.

Osiedlił się na końcu cypla, zbudował chatę i ślubował, że zniszczy to gniazdo rozpusty. Rok i trzy miesiące przychodził do karczmy i wygłaszał płomienne kazania nurzającym się w zgniliźnie duszom. Rok i trzy miesiące bito go, obrażano i poniżano. Powoli wokół niego skupiła się grupa mnichów-zwolenników, którzy modlili się tak gorliwie i zapalczywie, że pewnej burzowej nocy karczma stanęła w ogniu. Spłonęła do cna, a jej pracownicy rozeszli się jak owce bez pastucha. Uszczęśliwiony Jefroim podziękował Panu za okazaną sprawiedliwość i na miejscu karczmy zbudował klasztor.

- A po jego śmierci klasztor zaczęto nazywać imieniem Jefroima Przybłądy - przerwałem - co należy tłumaczyć: tego, który żył przy błędach... - przy cudzych błędach, z którymi żarliwie walczył.

- Mnisi zaś - znowu przejęła inicjatywę Lija - słyną ze swej uczciwości oraz czystości duszy i ciała.

- Bardzo pouczająca historia. Przypomnij mi, żebym ją spisał w wolnej chwili. Ale teraz spieszymy się i ten zabytek będziemy musieli ominąć.

Jednak obok przystani (szumna nazwa dla dwóch rozwalających się pomostów) powitała nas delegacja mnichów-przybłądów.

Z szerokimi uśmiechami na twarzach wzięli nasze konie za uzdy i nie słuchając protestów, z honorami zaprowadzili nas do klasztoru. Próbowałem coś powiedzieć, ale uprzejme wyjaśnienie sług bożych zamknęło mi usta: „Przeor od dawna czeka na szlachetnego lorda Osiernicę, jego giermka i pazia"... Nawet w klasztorze

już o nas słyszeli?

- Nie ma się czemu dziwić, lordzie Osiernico! Sława waszych czynów dotarła aż tutaj!

Przeor był nalany, pięćdziesięcioletnim mężczyzną o twarzy prosięcia, z nienaturalnym, jakby przyklejonym uśmiechem - namalowałem w swoim życiu sporo portretów i nieźle orientowałem się w ludzkich fizjonomiach. Siedzieliśmy w refektarzu, spożywając wystawny obiad. Można było odnieść wrażenie, że ascezę mnisi rekompensują sobie dobrym jedzeniem - wszyscy braciszkanie byli różowiotcy, krągli i dobrze odkarmieni. Liję brali za pazia, a ona roztropnie milczała, ja i Buldożer zaś podtrzymywaliśmy rozmowę.

- Powiedzcie mi, ojcze, czy słyszeliście o słynnym magu i jasnowidzu Matwieiczu?

- O tym nikczemnym czarnoksiężniku? Co z niego za mag? Ani jednego porządnego cudu! Wyleczy czasem krowę czy inną owieczkę, ale nic poza tym! Dziwię się, że czcigodny kardynał jeszcze nie spalił tego nikczemnika na chwałę prawdziwej wiary! Przypomniała mi się Weronika.

- A skąd dowiedzieliście się o czynach lorda Osiernicy? - zagadnął Buldożer.

- Pogłoski rozchodzą się szybko, mój synu. Wiemy, że landgraf pokonał cię w pojedynku, że urządził prawdziwą bitwę na uczcie u króla, że zwyciężył Wilczego Pazura... ach, cóż to był za łajdak! Nareszcie dostał to, na co zasłużył.

- Tak, tak... - odetchnąłem z ulgą. - Wszystko to się zdarzyło. Nic więcej nie opowiadano?

- Nie. Chociaż... chwileczkę. Udało wam się dogonić tego poganina, który wykradł wiedźmę z miejsca kaźni?

- Niestety! Drań zdołał ująć naszej pogoni i pomknął w stronę Cichej Przystani, gdzie zapewne znalazł swój koniec.

- Amen. - Przeor skinął głową.

Uff! Czasem udaje mi się naprawdę barwnie i wiarygodnie kłamać! Człowiek jest jakby w transie, przez głowę przepływają błyskotliwe myśli, a słowa same spływają z ust... Nie trzeba nic na siłę wymyślać, opowieść plecie się sama, zdanie po zdaniu. Czysta przyjemność! Ale teraz wydawało mi się, że przeor nie do końca mi wierzy.

- Cóż, ojcze, dziękujemy za wyśmienity obiad, ale czas na nas.

Zwiedzamy właśnie okolicę, zaznajamiamy się z interesującymi miejscami. Hej, Jean, przygotuj konie i pożegnaj się!

Wypiliśmy strzemiennego i wtedy Buldożer, który właśnie wrócił ze stajni, szepnął mi niespokojnie na ucho:

- Konie są rozkute.

- No to co? - nie zrozumiałem.

- Nie możemy jechać, bez podków zbiją sobie kopyta.

- Ojczy, komu przyszło do głowy, żeby rozkuwać nasze konie? - zapytałem. - Spieszmy się!

- Nie denerwuj się, mój synu. - Przeor emanował dobrocią i wyrozumiałością. - Postanowiliśmy zmienić waszym rumakom podkowy przed dalszą drogą. Za pół godziny konie będą gotowe. Nie zechcielibyście teraz odpocząć w pokoju gościnnym? Bracia was zaprowadzą.

Najroślejsi zakonnicy wstali zza stołów i podeszli do nas, a miny mieli podejrzanie ponure. Poczulem, jak nagrzewa się rękojeść Miecza Bez Imienia, ale nie miałem w planach masowej rzezi. Tylko głupiec walczyłby z pełnym żołądkiem...

- Dziękujemy za uprzejmą propozycję. Za mną, kochani. Gdzie ten pokój?

Draby w habitach zaprowadziły nas do odległej wieży. Potem długim korytarzem udaliśmy się do przestronnego, okrągłego pomieszczenia z dwoma zakratowanymi oknami. Hulały tu przeciągi. Mnisi skłonili się i zatrzasnęli za sobą ciężkie drzwi. Huknęła zasuw.

- Wpadliśmy! - skonstatowała Lija.

- Nie da się ukryć - przytaknął Jean. - Czy oni myślą, że z takimi gębami uda im się kogokolwiek oszukać?

Postanowiłem stłumić w zarodku defetystyczne nastroje.

- Nic się jeszcze nie stało! Zamknęli nas, to prawda, ale przecież nie będą trzymać wiecznie! Poza tym, nie przejawili na razie otwartej wrogości...

- A konie?

- Skoro rozkuli, to podkują.

- Lordzie Osiernico... - Buldożer podszedł do okna. - Spójrzcie, co się dzieje w sąsiedniej wieży!

Z okna rozciągał się doskonały widok na mury klasztoru i wysoki dach, nad którym latały gołębie. Gołębie! Od razu zrozumiałem, o czym pomyślał Jean. Gołębie pocztowe! Więc w taki sposób przeor otrzymywał wszelkie nowiny! To dlatego nas tutaj zwabił! Pewnie kardynał Cali wydał odpowiednie polecenia wszystkim klasztorom, kościołom, pustelniom i diecezjom. Dosłownie na naszych oczach z gołębnika wyłonił się przeor i dwóch mnichów puściło w niebo dwa gołębie, które szybko zniknęły z pola widzenia. Cóż, ten średniowieczny system łączności zasługuje na szacunek...

- Wysyła meldunek, że udało mu się wziąć do niewoli niezwyciężonego lorda Osiernicę, landgraфа Miecza Bez Imienia... Dureń! - prychnęła dumnie Lija. - Milordzie, pokażecie im, gdzie raki zimują?

Nim uprzejmie zapukano do drzwi naszej celi, zdążyliśmy się zabarykadować. Zastawiliśmy drzwi meblami, a trzeba przyznać, że było ich tu sporo - niskie, szerokie łóżko, dwa wysokie krzesła z rzeźbionymi oparciami, taboret i stół.

- Lordzie Osiernico, wasze konie są gotowe! Raczcie wyjść!

- Milordzie! - Lija odwróciła się od okna, przez które wyglądała. - Przed wejściem do wieży stoi tłum mnichów z pałkami, widłami i toporami.

- W rzeczy samej - potwierdził Buldożer. - Najwyraźniej szykują się do spotkania z nami. Będziecie walczyć?

- My? Jasne, że będziemy! -wybuchnęła Lija i podparła się dłońmi pod boki, spoglądając wojowniczo na Jeana. - A ty, tchórze nie-szczesny, będziesz walczył? A może znowu zaczniesz beczeć?

- Dość tego. - Zamknąłem usta obojgu i krzyknąłem głośno w stronę drzwi: - Teraz raczę zażywać poobiedniej drzemki i domagam się poszanowania praw gościa! I wynoście się do wszystkich diabłów na półtorej godziny...

Za drzwiami rozległy się stłumione szepty i zakonnicy odeszli, nie zaszczycając nas odpowiedzią. Lija wróciła na posterunek przy oknie, a ja i giermek zaczęliśmy starannie demontować barykadę. Byłem pewien, że zanim się zorientują, co i jak, mamy przynajmniej pół godziny na rozważanie retorycznego pytania: co robić? Korytarz był pusty, ale przy wyjściu na pewno czyhała na nas banda mnichów. Cichutko wróciliśmy do pokoju i przystąpiliśmy do spokojnego omówienia sytuacji.

- Zamorzą nas głodem - zasugerował Jean.

- Nie starczy im cierpliwości - zaprzeczyła Lija. - Wezmą nas szturmem. Jest ich tu z pięćdziesięciu, a wszyscy barczyści jak niedźwiedzie.

- Mogę się poddać, pod warunkiem że was puszczą wolno, a wy mnie później odbijecie. Co wy na to?

- Co mówicie, milordzie! - zdumieli się szczerze moi towarzysze. - Za nic nas nie wypuszczą. Już prędzej powieszą, żeby nie robić sobie kłopotu.

- Dziki kraj, dzikie obyczaje... - Pokiwałem głową. - Dobrze, spróbujmy z innej beczki. Jakie mają słabe punkty?

- Żadnych!

- Zupełnie?

- Mhm - potwierdziła ze smutkiem Lija. - Mnichów jest wielu, są dobrze uzbrojeni, głęboko wierzący i przekonani, że jesteśmy pomocnikami diabła. Bać się nas nie muszą, śluby ich zahartowały, dały im pewność siebie, zdecydowanie i czystość...

- Zaraz, zaraz! - olśniło mnie. - A jeśli zagramy z nimi metodą Jeana w Cichej Przystani?

- Chcecie, żebym się rozebrał? - Buldożer poczerwieniał.

- Dlaczego ty?

Pod moim baczным spojrzeniem Lija poruszyła się niespokojnie i niezadowolona burknęła:

- Długo mam ich tak oczarowywać?

- Obejdziemy się bez aktywnej demonstracji. Plan jest taki...

Gdy mój giermek bez pośpiechu wykręcał kratę z okna, razem z dziewczyną szybko pocięliśmy na paski skórę niedźwiedzia, leżącą na podłodze przed kominkiem, robiąc z niej długi rzemień. Buldożer stanął na czatach, a ja wyjąłem z kominka kilka węgla i przystąpiłem do rysowania nagiej modelki. Pozowała Lija, która się mnie zupełnie nie wstydziła. Dziesięć minut później drzwi już były ozdobione rysunkiem kobiecej postaci w skali jeden do jednego. Rysowałem bardzo realistycznie, chociaż powiększyłem pewne elementy w celu stworzenia bardziej przekonującego obrazu artystycznego. Na sygnał Jeana zabarykadowaliśmy się ponownie i przygotowaliśmy do ucieczki. Sądząc z łoskotu kroków, pod drzwiami stanął klasztor w pełnym składzie. Zastygliśmy. Chwilę później rozległo się zgodne westchnienie. Uśmiechnąłem się triumfalnie, a Lija i Jean skinęli głowami. Buldożer podszedł na palcach do okna. Ryk, który dobiegł zza drzwi, był dla nas absolutnym zaskoczeniem.

- A nie mówiłem, że ten paż to przebrana dziewczyna?! Brać ją!

- Baba!!!

Myślałem, że już sam wrzask wyrwie drzwi z zawiasów. Efekt przeszedł moje najśmielsze oczekiwania. No tak, nie ma co liczyć na iluzoryczną męską wstrzemięźliwość... Mnisi przybłądy byli wyraźnie zmęczeni długotrwałą wstrzemięźliwością. Żeby tak się dać nabrać i wziąć rysunek za żywą kobietę!

- Naprzód, bracia! - Przeor szalał za drzwiami. - Skończmy z tymi pomocnikami szatana! Zabić ich! A dziewczka dla mnie! Ja pierwszy!

Jean wyrzucił rzemień za okno, wyjrzał i przeraził się. Kilkunastu przejętych braciszków już stało na dole, entuzjastycznie wrywając sobie rzemień. Widocznie stwierdzili, że specjalnie umożliwiamy im zaatakowanie nas z dwóch stron. Drzwi trzeszczały pod ciosami, więc na wszelki wypadek pożegnałem się z Liją i Buldożerem. Już tylko cud mógł nas uratować...

No i cud nie kazał na siebie długo czekać. Świsnął wiatr i przez okno wleciała na miotle młoda wiedźma Weronika. Chwilę później już wisiała na mojej szyi, radośnie machając nogami.

- Lordzie Osiernico! Jak się cieszę, że was widzę!

Radość spotkania szybko ustąpiła miejsca działaniu. Weronikę cechowała umiejętność błyskawicznej oceny sytuacji; wiedźma nie lubiła tracić czasu na sentymentalne głupstwa.

- Lordzie, mogę zabrać was na miotle!

- Nie. Ratuj Liję. Ja i Buldożer wydostaniemy się jakoś sami.

- Ale, lordzie Osiernico, jeśli wy zginiecie, kto uratuje królową? Kto pokona Riesenkampfa? W czyje ręce trafi Miecz Bez Imienia?

- Guzik mnie to obchodzi! Bierzesz Liję i koniec! Drzwi led-

wie zipią. Szybciej, bo zaraz wszyscy zginiemy!

Odwróciłem się do Buldożera, który w tej samej chwili gwałtownie odsunął się od Lii, szepeczącej mu coś na ucho.

- Milordzie - przemówiła teraz głosem cichym, lecz twardym. - Tylko wy możecie nas uratować. Weronika ma rację: uciekajcie i niech was Bóg chroni.

- Jean! Natychmiast zrób coś z tą dziewczuchą... - warknąłem i w tym momencie ciężka pięść mojego giermka spadła mi na kark. - Jesteś zwolniony... - zdążyłem powiedzieć, nim straciłem przytomność.

Nie mam pojęcia, co działo się potem. Świat rozpadł się na kolorowe iskry. Śniło mi się, że podróżuję na miotle, a lot jest piękny i niebezpieczny. Siedziałem bokiem i mogłem spaść w każdej chwili, ale nie bałem się - przecież to tylko sen. Jeśli nawet spadnę, to wyląduję miękko i łagodnie na białych rumiankach, o, na tamtej polanie. Przede mną na miotle siedzi jakaś dziewczyna, a jej rozwiewane wiatrem włosy łaskoczą mnie w nos. Stopniowo schodzimy coraz niżej i rzeczywiście ląduję w rumiankach... O rany, ale mnie głowa boli! Jakby mi ktoś przyłożył żelazkiem. O, idzie Czerwony Kapturek! Pewnie chce mnie poczęstować ciastem i jabłuszkami. Hej, nie budźcie mnie! Czemu mnie szarpiecie? Brr! Jak zimno i mokro! Po co mnie podlewacie? Nie jestem marchewką!

- Nareszcie odzyskał przytomność! Weroniko, dziecko drogie, powiedz przy okazji Jeanowi, żeby następnym razem bardziej uważał.

Z trudem otworzyłem oczy. Las, ptaszęta śpiewają, a w górze błękit nieba. Białe chmurki, słodkie powietrze... Idylla, jednym słowem. Wokół mnie pachną różne kwiatuszki, a nade mną pochyla się Gorgulia Times we własnej osobie.

- Jakie są wyniki wyborów do Izby Reprezentantów Kongresu? - zapytałem, z trudem rozpoznając swój głos.

- Co? - Siwa wiedźma była zaskoczona.

O Jezusie, co ja plotę! Jakże wybory? Pamięć wracała powoli.

- Gdzie Jean i Lija?

- Uspokójcie się, landgrafie. Weronika obserwowała, co z nimi robią. Wasz giermek znowu stchórzył i nie zdołał się obronić.

- Biedak. A... a co z Liją?

- Ją uratował. Jean Boule de Guerre mocno przycisnął do siebie waszą dziewczynę i zakonnicy nie zdołali jej od niego oderwać. W końcu związano ich razem i wrzucono do lochów klasztoru...

Pomacałem guz na karku. Dobra, Buldożer, o tym pogadamy później! Przyjrzałem się siedzącej obok mnie Weronice. Czarny bezrękawnik, długa spódnica z rozcięciami do bioder, mnóstwo woreczków i buteleczek przymocowanych do pasa, fala kruczo-

czarnych włosów i ten charakterystyczny nosek! Wszystko na swoim miejscu. Jednocześnie z odzyskaną zdolnością logicznego myślenia poczułem palącą potrzebę działania.

- Moi przyjaciele są w niebezpieczeństwie... - Wreszcie udało mi się usiąść. - Gdzie mój miecz?

' - Co chcecie zrobić, lordzie Osiernico? - Czarownica władczym gestem położyła mnie na trawie.

- Muszę uwolnić moich przyjaciół. Gdzie miecz?

- Przede wszystkim musicie odpocząć, milordzie - wtrąciła się Weronika. - Jean i Lija są na razie bezpieczni... To znaczy, mam na myśli, że dadzą im spokój przynajmniej do wieczora.

- Jesteś pewna? - Zmrużyłem podejrzliwie oczy.

- Absolutnie!

- Ona ma rację - potwierdziła Gorgulia Times. - Przed wieczorną modlitwą przeor nie waży się dotknąć dziewczyny, a mnisi już dostali to, co chcieli.

- Eee... Słucham?!

Dwie czarownice uczepliły się moich ramion i nie pozwoliły mi wstać.

- Chcę przez to powiedzieć - poprawiła się Gorgulia - że zdjęli z zawiasów drzwi z narysowaną przez was nagą dziewczyną i teraz się z nią zaspokajają.

Wzdrygnąłem się, Weronika poczerwieniała, a pani Cichej Przystani niedbale machnęła ręką.

- Co tam... więdźmy wcześniej dojrzewają. Dziewczęta powinny znać życie we wszystkich jego przejawach.

Pod wieczór miałem już skryształizowany cały plan działania. Był starannie przemyślany i wyjątkowo prosty. Lecą na miotle do klasztoru i uwalniam więźniów. Potem wyprowadzamy konie i zwiewamy. Prawda, jakie to genialne w swojej prostocie? Mucha nie siada! Jednak Gorgulia Times wprowadziła pewne poprawki.

- Zawiezie was Weronika, a jak trzeba będzie, zabezpieczy odwrót. Sądzę, że przeor wykorzystuje Jeana i Liję jako przynętę. Jest pewien, że po nich wrócicie.

- Wrócę i urządzę im wszystkim taki bal, że się nie pozbierają. Z prezentami i fajerwerkami! Nikogo nie pominę, wszyscy dostaną za swoje! Do końca życia będą się modlić, żebym nie dręczył ich w koszmarnych snach. Już samo imię lorda Osiernicy będzie powodować dreszcze i ból zębów! Oni...

- Milordzie! - Weronika wytrzeszczyła oczy. - Nie trzeba! Już wystarczy! Tylko nie burzcie klasztoru! I tak was szukają, a wtedy przeciwko wam powstanie cały kościół, cały naród, całe królestwo!

- Być może wydaję ci się zbyt krwiożerczy, ale czyja to wina? Odkąd się pojawiłem w waszym kraju, grozi mi się śmiercią, każ-

dy szuka ze mną zwady i nikt nie zaproponował rozwiązania kwestii spornych na drodze pokojowych negocjacji!

- Landgrafie... - zaczęła naczelna wiedźma, ale nie dałem jej skończyć.

- Czemu się do mnie przyczepił ten Riesenkampf? Co ja mu zrobiłem? Gdyby pozwolił mi wrócić do domu, żyłby sobie spokojnie i głowa by go o nic nie bolała!

- Nie mógł. - Gorgulii udało się przerwać mój słowotok.

- Dlaczego?

- Dlatego, że tylko landgraf Miecza Bez Imienia może pokonać jego moc. Dlatego, że zło musi ponieść karę, a Riesenkampf jest w naszym królestwie i w naszym świecie uosobieniem zła. Dlatego, że obiecaliście królowej Tanitriel uratować ją i wyzwolić Lockheim...

- Faktycznie obiecałem coś w tym stylu.

Rękojeść Miecza Bez Imienia znów znalazła się w mojej dłoni.

Uniosłem broń nad głowę i srebrna klinga zaślniła na tle ciemniejącego nieba. Nadchodził wieczór... Zawsze lubiłem zachody słońca, złoto rozlane na drzewach, krzakach, obłokach. Tak szybko odchodzimy od natury i tak bardzo nas do niej ciągnie... No nic, zdecydowałem, że zastanowię się nad tym nieco później - operacja „Komandos” rozpoczęta!

Do klasztoru dotarliśmy bez przygód, ale przysięgam, że nigdy więcej nie wsiądę z własnej woli na miotłę! Na coś takiego można się zgodzić albo po trzeciej setce, albo jeśli człowiek chce się ostatecznie pożegnać z tym łożem padoleń. Amatorzy przejażdżek na miotle mogliby sobie z dumą wieszać na piersi tabliczkę z napisem Kamikadze. Dziwne, że udało mi się nie spaść... Wylądowaliśmy zgodnie z tradycją pierwszych lotów - pikując z wysokości dwóch metrów prosto w kolczaste krzaki. Potem Weronika przysięgała, że lata od niedawna i ma kłopoty z hamulcami. A niech ją--.

Obeszliśmy klasztor dookoła i młoda czarownica ochoczo meldowała, gdzie zakonnicy urządzili zasadzki.

- Wszyscy oni opychają się czosnkiem, a ja, jak każda siła nieczysta, jestem bardzo wyczulona na ten zapach.

Podeszliśmy do wieży północnej - podziemia znajdowały się właśnie tam. Sześciu mnichów dyżurowało przy wejściu, ale małe zakratowane okienko na poziomie ziemi nie było pilnowane. Zostawiając Weronikę na czatach, poczołgałem się do przodu. Wewnątrz lochu było ciemno i przez okienko nie dało się nic zobaczyć. Za to usłyszałem pieśń... Zmroków podziemi średniowiecznego klasztoru dobiegały znajome, przejmująco smutne słowa:

Nie doczekasz się zdobyczy...

Czarny kruku, jam nie twój...

Śpiewały dwa głosy, kobiecy i męski, i rosyjska tęsknota prze-

pełniła mi serce. Jeszcze chwila i rozplakałbym się rzewnie przy tym okienku.

Ale w tym momencie przeor w towarzystwie dwóch ponurych drabów otworzył kute drzwi. Zapalono pochodnie i pomarańczowe światło wydobyło z ciemności Liję i Jeana, związanych razem, plecami do siebie. Twarz mojego giermka pokrywały sińce i skaleczenia, a koszula Lii wyglądała jak brudny łachman.

- Bóg cię skarże, przebiegły knurze w habicie! - To Lija. Cóż, nie sposób odmówić jej umiejętności malowniczego wyrażania myśli. Przeor rzeczywiście przypominał świnię.

- Lord Osiernica wróci i pomści nas! - odezwał się Jean cicho, ale twardo. Brawo, chłopcze, zawsze w ciebie wierzyłem!

- Nie mówcie głupstw i przestańcie grzeszyć! Jak ty, rycerzu, jedyny spadkobierco rodu Boulle de Guerre, mogłeś związać się z pomocnikiem szatana! Dobrowolnie zostać giermkiem łajdaka, który obraził kardynała! Przystać do niegodziwca, który wykradł czarownicę! Spiknąć się z czarnoksiężnikiem, który zbezczescił drzwi ohydny rysunkiem nagiej niewiasty, tym samym wystawiając na pokuszenie cały klasztor! Powiniennem teraz wszystkim braciszkom naznaczyć surową pokutę! Jak mogłeś? - Głos przeora był cienki i przenikliwy, ton oskarżycielski, ale oczy gorączkowo biegały po ciele związanej dziewczyny. - Nie dziwię się i przebaczam temu niewinnemu dziecku, które oszukano i zastraszone, chytrze odsunięto od Boga i potajemnie wprowadzono w grzeszne tajniki szatańskiej rozpusty! - Przysięgam, że zupełnie nie rozumiem, czemu ta nieszczęsna dziewczyna tak pociągała różnych łajdaków! Gdybyż to jeszcze była kobieta jak rzepa, o wielkich piersiach i nogach do samej ziemi! A to takie brzydkie kaczątko! Lolitka, która nie zdążyła się jeszcze rozwinąć. Kraj zboczeńców! - Uratuję was! Wiem, jak należy walczyć ze sługami diabła... Dziecko moje, zaraz cię rozwiążą i zaprowadzą do mojej celi. Będziemy... będziemy się modlić przez całą noc! Dołożę wszelkich starań i...

- Nie jestem głupia, ojcze! - Głos Lii otrzeźwiał lepiej niż siarczysty policzek. - Nie ważcie się mnie tknąć. Bóg na niebie, a lord Osiernica na ziemi nie pozwoli na to!

- Wasz lord uciekł jak niepyszny!

- Powróci - oznajmiła twardo moja drużyna.

- Już jest trupem! Szuka go sam Riesenkampf, a to znaczy, że po jego śladach idzie śmierć...

Cóż, chyba usłyszałem wystarczająco dużo, najwyższa pora przedłożyć zakonnikowi rachunek. Na mój sygnał Weronika pstryknęła palcami i dyżurującym przy wejściu mnichom zgasiła pochodnie. Chwila zamieszania wystarczyła, żebyśmy prześliznęli się do środka i stanęli za plecami drabów, którzy weszli do celi

z przeorem.

- Wasz samozwańczy landgraf właśnie ucieka, aż się za nim kurzy! Gniew Riesenkampfa jest straszliwy, nie ochronią przed nim ani miecz, ani tarcza, ani twierdza. Tylko ja mogę pomóc waszym zbłąkanym duszom, tylko ja...

- Łżesz, psie! - Przysięgam, że nie spodziewałem się po moim Jeanie takiej stanowczości. Brwi ściągnięte, oczy rzucają iskry, a słowa pełne są gniewu i pogardy. - Lord Osiernica nie zna strachu! - No, to już przesada... - Miecz Bez Imienia będzie jego ochroną! Nie zmusicie nas do zdrady naszego suwerena! Jest szlachetny i uczciwy, troszczy się o nas i uratował nam życie! Nie uda wam się go oczernić! Boicie się go! Wiecie, że lord Osiernica wróci i...

- Zatkajcie mu dziób! - krzyknął przeor. - Ten szaleniec pogroził się w herezji! Bóg widzi, że próbowałem być miłosierny... Dziewczynę do mojej celi, a jego... załatwcie to szybko.

Stojący przede mną zakonnik ruszył do przodu, po drodze wyciągając nóż. Przeor wznosił oczy do nieba, mamrocząc modlitwę.

- Rzuć ten kozik, skończony frajerze!

Czy próbowaliście kiedyś wrzucić białą mysz w sam środek grupki praktykantów palących potajemnie papierosy w szkolnej toalecie? Pisk, dym, iskry, strach i wstyd jednocześnie, podwojony poczuciem solidarności. Wyobraziliście sobie? To teraz macie pojęcie, co działo się w podziemiach. Zakonnicy przewracali oczami i darli się nie gorzej od śpiewaków operowych, Lija i Jean wrzeszczeli „hura!”, przeor wrzeszczał jak rodząca kobieta na widok pijanej akuszerki, Weronika machała rękami, a żółte iskry sypały się jak deszcz. I tylko ja stałem skromnie i cicho na uboczu, rozkoszując się wywołanym efektem. A gdy trójka w habitach runęła do wyjścia, poprosiłem:

- Weroniko, zrób coś, żebym nie musiał ich więcej oglądać!

Nie chciałem ich zabijać, wcale nie, ale obawiam się, że młoda wiedźma zrozumiała polecenie zbyt dosłownie... Mnisi zniknęli razem z drzwiami, a Weronika w zadumie podrapała się za uchem i nieśmiało wyznała:

- Milordzie, chyba coś mi się pomyliło...

Cała nasza czwórka wyjrzała na zewnątrz i oto, co ujrzeliśmy: po podwórku, zalanym światłem księżyca, biegały tłumy mnichów, ściągniętych tu nocnymi hałasami, a za nimi pędził pusty habit przeora. Zdawałem sobie sprawę, że przeor jest po prostu chwilo-wo niewidzialny, ale spróbujcie wyjaśnić to mnichom...

- Chciałam, żeby zniknął - tłumaczyła praktykantka Cichej Przystani. - A on stał się niewidzialny...

- Ale habit, krzyż i sandały są doskonale widoczne!

- No właśnie mówię, że coś mi się pokręciło...

- Bracia! Wracajcie! To przecież ja! Wasz przeor! -wrzeszczał

habit, kontynuując rozpaczliwą pogoń. Ale bracia woleli uciekać, nie słuchając zapewnień niewidzialnego przeora. W całym tym zamęcie wycofaliśmy się niezauważeni, wyprowadzając z klasztornej stajni nasze konie.

Mówcie, co chcecie, ale sympatia ludzka to wielka rzecz. Choć „sympatia” nie jest w tym przypadku najlepszym określeniem - moi towarzysze po prostu mnie czcili! Weronika szalała na latającej miotle niczym cyrkowa akrobatka, od czasu do czasu posyłając niewielkie pioruny kuliste w stronę klasztoru. Ja jechałem konno, Lija siedziała za mną, obejmując mnie rękami i co chwila powtarzając: „Przecież ich uprzedzałam!”, Buldożer szedł obok, prowadził dwa konie za lejce i wpatrywał się we mnie wiernymi oczami, co jakiś czas pochlipując od przepelniających go uczuć. Patrząc na tę sielankę, topniałem jak lód. Ale miałem jeszcze coś do załatwienia...

- Hej, giermku! Jeanie le Boule de Guerre, jak śmiałeś podnieść rękę na swojego pana?!

- Milordzie... - Buldożer walnął się pięścią w pierś, aż zadudniło, i otworzył usta, żeby coś powiedzieć.

- Tam do kata! - warknąłem. - Tym razem ci wybaczam, ale na przyszłość... Zresztą coś mi się wydaje, że to nie był twój pomysł. Podejrzewam, że autor tego strategicznego planu właśnie chowa się za czyimiś plecami.

Lija wtuliła nos między moje łopatki i zaśmiała się cichutko.

A to zołza! Już ona dobrze wiedziała, kiedy żartuję, a kiedy gniewam się naprawdę. Jechaliśmy, omawiając niedawne wydarzenia, lecz gnębiły mnie niespokojne myśli. We wszystkich moich przygodach zauważyłem rażące sprzeczności i mnóstwo podejrzanych zbiegów okoliczności. Zacznijmy od kwestii najważniejszej: skąd wziął się Miecz Bez Imienia? Przecież nie pojawił się w rezultacie połączenia tej byle jakiej atrapy z mieczem grubego strażnika! Dlaczego wybrał właśnie mnie? Na razie nieźle sobie radzę z rolą herosa, ale wiem też, że wszystkie moje bohaterskie czyny to suma szczęśliwych przypadków, wyraźnych niedociągnięć oraz pecha moich przeciwników. Nie sposób stale liczyć, że wrogowi powinie się noga! Niewykluczone, że Miecz Bez Imienia rzeczywiście jest istotą rozumną, żyjącą własnym życiem według własnych praw (gotów już byłem uwierzyć we wszystko), ale skoro miał osobiste porachunki z Riesenkampferem, to czemu wciągał w to mnie? Przyznaję, że mąż królowej Tanitriel to wyjątkowa szuja, i współczuję tej pięknej kobiecie, a może nawet mógłbym jej pomóc, ale od czego są zawodowcy? Milicja, OMON, oddziały specjalne różnych supermanów i tak dalej... Ale ja? Dlaczego właśnie ja? Poza tym, gdybym nawet teraz znalazł się z powrotem w domu, to i tak nie uda mi się wyjaśnić ukochanej żonie dwutygodniowej nieobec-

ności! Mam tego dość. Poproszę o brakujące elementy, w przeciwnym razie wypadam z gry...

Następnego dnia rano Weronika pożegnała się z nami. Wracala do Cichej Przystani; musiała się jeszcze wiele nauczyć. Gdy młoda czarownica zniknęła za horyzontem, stwierdziłem na moich dzinsach brak skórzanej naszywki z napisem Riffle. Teraz mogłem być pewien, że odnajdzie nas na wędch...

Około południa ominęliśmy niewielką wioskę, a wkrótce potem zza wzgórza wyłoniły się błękitne mury miasta.

- Wesnachhause! - oznajmił triumfalnie Jean. - Jednak dojechaliśmy...

W mieście już na nas czekali - strażnicy przy bramie spytali, czy przypadkiem to nie lord Osiernica z giermkim i paziem? Trudno było zaprzeczyć, chociaż po tylu przejściach zacząłem podejrzliwie traktować wszelkie oznaki zainteresowania. Uprzejmie poproszono nas, żebyśmy poczekali, i już wkrótce głowa miasta - markiz de Bras - wyjechał nam na spotkanie. Ten sympatyczny siwy mężczyzna o szlachetnej twarzy i manierach generała rezerwy bardzo mi się spodobał. Widać było, że krewki z niego chłop, ale za to niezdolny do zdrady. Jak się dowiedzieliśmy, wczoraj do miasta przybył goniec z Ristail z depeszą od króla Plimutroka. Ha, niby to szliśmy najkrótszą drogą, a goniec jednak był pierwszy... Cóż, on pewnie nie tracił czasu na mordobicia, ratowanie ciemieżonych i inne rozrywki. Na osobistą prośbę Jego Wysokości władze miasta miały okazać nam wszelką niezbędną pomoc, wiemy wasal króla, markiz de Bras, przyjął mnie zatem jak rodzzonego syna. Przydzielono nam apartamenty, pozwolono się umyć i zjeść obiad, a wieczorem obiecano długo oczekiwane spotkanie z magiem Matwieiczem. Wszystko układało się pomyślnie, więc miałem świetny humor - aż do wieczora. A wszystko przez tę nieznośną, kłótliwą gadatliwą okropną dziewczuchę! Po co ja ją w ogóle trzymam?

- Lordzie Osiemico... - Dziwnie posmutniała Lija zaatakowała mnie tuż po obiedzie, czyli wtedy, gdy byłem syty, leniwy i dobroduszny. - Powiedzcie mi prawdę, czego chcecie od wielkiego jasnowidza?

- Nic szczególnego. Posiedzimy, pogawędzimy...

- Panie, zaklinam was, powiedzcie mi prawdę, bez względu na to, jak straszna się okaże!

- Po co zaraz histeryzować? - Wzruszyłem ramionami, już się domyślając, do czego zmierza ta rozmowa. - Owszem, chcę się zobaczyć z magiem, bo mam nadzieję, że będzie mógł mi wiele wyjaśnić. ... bo lubię porozmawiać z inteligentnym człowiekiem, bo...

- Chcecie nas opuścić? - odezwał się cicho Jean.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Lija siedziała spięta na brzętku krzesła, a po jej policzkach płynęły łzy.

- Nie mamy do was pretensji, milordzie. - Głos Buldożera drżał. - Landgrafowie zawsze przybywali z innych krajów. W waszym świecie na was czekają i musicie wrócić przy pierwszej nadarzającej się sposobności. Tylko... no bo my... - Tu mój giermek rozpląkał się jak bóbr.

- Zrozumcie, może to moja ostatnia szansa powrotu do własnego domu i własnego czasu! Miecz Bez Imienia znajdzie sobie nowego pana, który zatroszczy się o królową Tanitnel, Riesenkampfa i Plimutroka...

- A kto zatroszczy się o nas?

- O was? No tak... Kochani moi! - Objąłem ich i zrozumiałem, że dłużej nie wytrzymam. Po chwili płakaliśmy już wszyscy. Łzy płynęły strumieniami. Opłakiwałem swój dom i moją niešťęsną żonę, pozbawioną bohaterskiego męża. Płakałem nad królową Tanitnel, dręczoną przez tego łajdaka Riesenkampfa, nad biednym Plimutrokiem, który musi się męczyć z wrednym kardynałem i stanowczą córeczką, nad Weroniką, którą na pewno spała, skoro jednak jest wiedźmą, nad Jeanem Buldożerem, który nie został męźnym rycerzem, i nad jego ojcem, który tego nie przeżyje. Nad Liją, małą, zaszcztą i samotną, z którą lepiej nie zaczynać, a którą przecieź każdy może skrzywdzić...

Weszła słuźąca z tacą i na widok tej rozdzierającej sceny klasnęła w ręce. Dzban rozpadł się na kawałki, wino chlusnęło strugą, owoce potoczyły się po podłodze, a głupia kobieta, czy to z żalu, czy ze współczucia, zaczęła zawodzić razem z nami. Po chwili zjawił się zaniepokojony markiz. Patrząc na nasze zapłakane twarze, pomyślał pewnie, że stało się coś nieodwracalnego, i uronił skapą łzę. Sentymentalna epoka... Kwadrans później płakał już cały zamek.

Do Matwieicza dotarłem późnym wieczorem w towarzystwie strażników markiza. Zaprowadzili mnie aż do drzwi wielkiego jasnowidza, gdzie mieli na mnie poczekać, a potem odprowadzić z powrotem do pałacu. Wesnachause to miasteczko portowe, elementu przestępczego tu nie brakowało i nie naleźało spacerować w nocy bez ochrony. Moi przyjaciele zostali u markiza - de Bras przekonał ich, że powinni podporządkować się losowi i cierpliwie poczekać na efekt naszej dyskusji.

Matwieicz mieszkał w małym domku z zakratowanymi oknami i ciężkimi drzwiami. Zapukałem i otworzył mi dziesięcioletni chłopiec, obejrzał nas dokładnie i z godnością oznajmił:

- Niech lord Osiernica wejdzie, mój pan czeka.

Zaprowadzono mnie do dużego pokoju, zastawionego półkami pełnymi ksiąźek, wypchanymi zwierzętami, stołami i szafami z jakimiś medycznymi przyrządami, różnej wielkości stołkami i in-

nym chłamek. Na środku pokoju zasiadał w wygodnym fotelu gruby mężczyzna z długą bojarską brodą. Wielki mag miał na sobie luźny brudnoniebieski chałat i wyblakłe nakrycie głowy z płaskim, kwadratowym denkiem i niewielkim chwostem.

- Wódki się napijesz? - padło niespodziewane pytanie.

Przysiadłem na kulawym taborecie.

- Nie.

- Napijesz się - zdecydował mężczyzna i postawił na stole dwa miedziane kubki i napoczętą butelkę wódki Stolicznaja.

Chyba opadła mi szczęka.

- Poznajmy się, baronie... - Mag szybko nalał wódki i podsunął mi kubek. - Wiktor Michajłowicz Matwiejew, dawniej weterynarz, obecnie mag i jasnowidz w tej zapadłej dziurze. Zdrowie! Odruchowo opróżniłem kubek, po czym przez dwadzieścia minut dochodziłem do siebie. Po pierwsze, w ogóle nie pijam wódki, a tu za jednym zamachem taka porcja! (Dobrze, że się nie zakrztusiłem, dopiero byłby wstyd...). Po drugie, spotkałem rodaka, i to tam, gdzie się go najmniej spodziewałem! Gadaliśmy ponad godzinę. Matwieicz opowiedział mi mnóstwo interesujących rzeczy.

- Takich wrót jest tutaj pięć czy sześć, ale jak rozumiem, tylko trzy prowadzą bezpośrednio do naszego świata. Na przykład zamek to podwójne wrota: najpierw wchodzisz do środka, a potem przez drzwi za szafą- tutaj. Gdzieś na północy są wrota potrójne. Z Lockheimu jest bezpośrednio wyjście do nas. Przez pozostałe dwa też w końcu można dotrzeć do naszego świata, ale trzeba się nieźle napocić, szukając odpowiednich drzwi. W międzywymiar możesz wejść na jednym kontynencie, a wyjść do siebie - na drugim. Nie najlepszy pomysł. A przecież są jeszcze takie przejścia, o których nie wiem...

- Wychodzi na to, że znaleźliśmy się na jednym z licznych duplikatów Ziemi?

- Duplikatów, wymiarów, światów równoległych... nazywaj to jak chcesz. Pod względem geografii, religii, uzbrojenia, mody, architektury niewiele różni się to od starej, dobrej Anglii. Tylko język... Język jest wspólny we wszystkich krajach. Nie wiadomo dlaczego nikt, kto tu trafi nie ma żadnych problemów z porozumiewaniem. Ty też nie miałeś, prawda?

- Nie miałem. - Dziwne, że wcześniej nie zwróciłem na to uwagi. - Wiktorze Michajłowiczu, jak pana tutaj zaniósł? Ja, jak pan widzi, zostałem tu ściągnięty przez ten scyzoryk...

- Proszę się nie wyrażać! - Matwieicz huknął na mnie. - Miecz Bez Imienia nie zasługuje na takie traktowanie. Co to za poufałość! Jeśli się nie mylę, nieraz uratował ci życie!

- Proszę przyjąć moje najszczerze przeprosiny... - Skłoniłem się mieczowi, stojącemu samotnie w kącie, a tymczasem wetery-

narz-jasnowidz wyciągnął skądś paczkę papierosów, pstryknął zapalniczką i zapalił. Oczy wyszły mi z orbit.

- Nie ma się czemu dziwić, synu. Wszystkie te drobiazgi, uprzyjemniające życie cywilizowanemu człowiekowi, dostarcza mi raz w miesiącu Riesenkampf. I to za darmo!

Przez głowę przemknęła mi niedobra myśl, a Matwieicz chyba się zorientował.

- Nie denerwuj się. Nie jestem zdrajcą, a Riesenkampf to bydlę. Często mówię mu to prosto w twarz. Nie mam nic do stracenia; to on mnie tu wsadził, więc niech wie, co o nim myślę!

- Może jednak opowie mi pan wszystko po kolei? - poprosiłem.

Matwieicz westchnął i zaczął opowieść.

- Ty trafiłeś tutaj przez zamek, a mnie przerzuciło prosto z sympozjum o hodowli zwierząt, które odbywało się w Polsce, w centrum Krakowa... Uśmiejesz się: poszedłem szukać toalety. Zszedłem na dół i znalazłem, a wracając, źle skręciłem. Zacząłem szukać swoich, nagle patrzę, a tu drzwi w murze. Wszedłem, rozglądam się... widzę wąską uliczkę, stare domy, a jakaś baba się drze, że jej krowa umiera, bo nie może urodzić! A ja, zamiast się zastanowić, skąd krowa w centrum Krakowa, poszedłem za kobietą i pomogłem zwierzęciu. Cielaczek urodził się prześliczny! Ruszyłem z powrotem i dopiero wtedy dotarło do mnie, że coś jest nie tak.

- Rozumiem. - Pokiwałem głową. - Znaleźć się w obcym świecie bez możliwości powrotu... Można wpaść w panikę. Pewnie długo próbował pan znaleźć przejście.

- Niespecjalnie. To znaczy początkowo chciałem wrócić, a potem się przyzwyczailem. Pracy mam dużo, ludzie mnie szanują, przychodzą po radę, a ja im różne pożyteczne pomysły podrzucam. W końcu w naszym świecie zrobiliśmy pewne postępy. Dobrze mi tu. A tam nikt po mnie nie płacze. Żona umarła na raka, a dzieci nie mieliśmy.

Matwieicz westchnął i zamilkł na dłuższą chwilę.

- A potem odnalazł mnie tu Riesenkampf. To drań, ale trzeba przyznać, inteligentny. No i dogadaliśmy się... Nie miałem nic do stracenia, więc coś niecoś udało mi się wytargować. On mnie zostawia w spokoju i przesyła, co trzeba, a ja uczestniczę w jego grze. Zorientowałeś się już, że landgraf to nazwa celu?

- Nie bardzo rozumiem... Chce pan przez to powiedzieć, że on ze mną gra?

- On gra ze wszystkimi. Zasady są proste i dość uczciwe. Landgraf powinien zabić Riesenkampfa; tylko w tym celu istnieje Miecz Bez Imienia. Miecz istnieje sam z siebie, sam wybiera bohatera i zaczyna wojnę. Riesenkampf nie może nim kierować, za to każ-

dy landgraf to zwykły, śmiertelny człowiek, którego łatwo zabić. Chodzi o to, kto kogo pierwszy załatwi.

- A na czym polega pańska rola?

- Ja muszę powitać nowego kandydata, wyjaśnić istotę gry i dać szansę wyboru.

- Aha, więc jednak jest jakiś wybór? To znaczy, mogę odmówić zabawy w kotka i myszkę?

- Możesz. - Matwieicz zmrużył oczy i znowu pstryknął zapalniczką. - Wtedy puszcza cię do domu, ale pozbawia możliwości opowiedzenia o swoich przygodach. Skasują pamięć. To coś jak usuwanie niektórych komórek mózgu. Riesenkampf uwielbia takie sztuczki... Nie będziesz pamiętał, kim jesteś i skąd jesteś, ale przeżyjesz.

- Hm... - Należało się nad tym zastanowić. Powrót do domu to kusząca propozycja, ale za cenę kalectwa?

- Prócz tego będziesz musiał dobrowolnie oddać Miecz Bez Imienia. Nie wiem, co Riesenkampf z nim zrobi, może po prostu schowa w jakimś tajnym miejscu. Innego wyjścia nie widzę, tej klingi nie da się zniszczyć.

- Czyja mam w ogóle jakieś szanse?

- Przeciwno temu łajdakowi? Boja wiem... Posłuchaj. Landgrafów było dwunastu w ciągu siedmiu lat. Chłopy jak dęby. I wszyscy zginęli. Wszyscy! Jedni wcześniej, inni później, ale żaden nie przeżył...

- Czemu nie skorzystali z prawa wyboru?

- Trudno powiedzieć... Widzisz, landgraf Miecza Bez Imienia to brzmi dumnie! A oni, jeden w drugiego, chcieli być bohaterami... Do zamku wróciłem grubo po północy. Na pożegnanie wielki jasnowidz w zaufaniu wyjawiał mi, że nie zna żadnych sposobów walki z obecnym uzurpatorem Lockheimu.

- I jeszcze jedno... Dopóki Miecz Bez Imienia jest w twoich rękach, Riesenkampf znajdzie cię wszędzie. Miecz to coś w rodzaju sygnalizatora. Więc jeśli postanowisz wtopić się w miejscową ludność, po prostu rzuć broń i uciekaj. To żaden wstyd i nikt nie będzie miał do ciebie pretensji. Jesteś za młody na takie akcje. Tamci byli ogromni, każdy po dwa metry, bary szerokie, a bili się jak diabły! Poza tym, mieli swoje armie, oddziały, drużyny, doświadczenie wojskowe... Wybacz szczerą, ale wszyscy przewyższali cię pod każdym względem o głowę. Coś ci poradzę: wracaj do zamku, odpocznij i zastanów się. Spotkamy się pojutrze podczas święta.

Moi przyjaciele nie spali. Nie miałem najmniejszej ochoty na rozmowę, ale czy ten rzep w spódnicy dałby człowiekowi umrzeć w spokoju? Musiałem wszystko opowiedzieć.

- Ooo... - powiedział zachwycony Buldożer. - Jak ja wam za-

zdroszcę, milordzie! Być wrogiem samego Riesenkampfa, walczyć z samym przeznaczeniem, władać Mieczem Bez Imienia i zginąć, aby odrodzić się w balladach... Czy może być coś miłego sercu rycerza?!

O, nie... Tylko mi takich głodnych kawałków do szczęścia brakowało! Chętnie bym się z tobą zamienił, przyjacielu, choćby na jeden dzień! Nie jestem rycerzem i mam inne wyobrażenie o szczęściu. Ale na głos powiedziałem:

- A co ty o tym myślisz, smarkata?

- W ogóle nie rozumiem, czemu się tak cackacie z tym Riesenkampfem! Dać mu w zęby i po krzyku! Jak długo można znosić taką bezwstydną bezczelność? To prawda, nie tak dawno i ja drżałam na dźwięk jego imienia, ale tyle razy wychodziliśmy cało z różnych opresji, że staliśmy się niepokonani! Królowa Tanitriel nie mogłaby znaleźć lepszego obrońcy! Pomścicie ją, dwunastu landgrafów i nas wszystkich. Pokażecie mu, gdzie raki zimują, prawda, milordzie? Pokażecie, prawda?

- Hm... - mruknąłem w zadumie. Zaczyna się...

- Na co on sobie pozwala! Palant! -podsumowali zgodnie Jean i Lija. Nie pamiętam, żebym się tak przy nich wyrażał, ale podchwycić to słówko mogli tylko ode mnie. Będę musiał bardziej uważać na to, co mówię.

Położyliśmy się spać dopiero o czwartej rano. Spałem jak zabity i nic mi się nie śniło. Obudziłem się późno i poczułem, że głowa boli mnie bardziej niż po ciosie Jeana. Nie trzeba było pić tej weterynarskiej wódki! Muszę napomknąć Matwieiczowi, żeby następnym razem wycygał od tyrana pepsi-colę. Śniadanie już czekało na stole, ale rozmowa się nie kleiła. Przyjaciele taktownie zostawili mnie w spokoju, a ja ciągle nie mogłem podjąć ostatecznej decyzji, chociaż teraz już wszystkie pionki były na swoich miejscach. Nie chcesz walczyć, oddaj zwycięstwo walkowerem, zdaj broń i wracaj do domu jako cichy i nieszkodliwy kretyn. Chcesz polec jak bohater - sztandar do ręki, medal na pierś, miecz w zęby i naprzód! Żona znajdzie sobie innego, a matka straci syna... Wesoła perspektywa. Ale w przypadku zwycięstwa... Stop! Jakiego zwycięstwa? Nie mam żadnych szans, więc po co karmić się złudzeniami? Przecież próbowałem już trzasnąć tego drania Mieczem Bez Imienia - i co? A wszystkie legendy wmawiają nam, że właśnie z ręki landgrafa padnie tron Riesenkampfa. Może powinienem po prostu przewrócić mu fotel? Niewiele to chyba da, średniowieczne przepowiednie rzadko bywają aż tak dosłowne. I jeszcze jedno: jeśli już uda mi się go pokonać, jak wrócę do domu?

Wieczorem przybył błyszczący jak samowar markiz de Bras z zaproszeniem na jutrzejsze święto.

- Urodziny Patrice'a Lumumby? - zainteresowałem się leniwie.

- O nie, szlachetny lordzie! - zdumiał się lekko markiz. - Po prostu kolejny turniej rycerski w Wesnachhause, aby uczcić dzień męczeństwa Świętej Januarii.

- Co? Prawdziwy turniej? - Ożywiłem się. - Poważnie?

- Jakże inaczej, milordzie? Zawczasu zaprosiliśmy wszystkich najsłynniejszych rycerzy, zjechały się tu całe tłumy. Arenę już doprowadzono do porządku... Nie odmówicie chyba udziału w pojedynkach?

- Do licha, oczywiście, że nie! - Omal nie podskoczyłem z radości. - Jak mógłbym stracić taką okazję? Najprawdziwszy turniej, lśniące zbroje, piękne damy, sędziwi minstrele, heroldzi i trębacze w kolorowych strojach...

- Tak właśnie będzie, lordzie Osiernico! - zapewnił markiz. - Byłem niegdyś tak samo młody i gorący, i każdy turniej wydawał mi się bajką. Do dziś lubię te rycerskie zabawy, mimo że dwa razy już wyrzucano mnie z siodła.

- Mam nadzieję, że nie bardzo bolało? - Prawda o turniejach zaczęła do mnie powoli docierać. Niestety, zbyt wolno i zbyt późno.

- Głupstwo! Za pierwszym razem złamałem dwa żebra, za drugim odratowali mnie medycy, gdy kopia lorda Duponta przeszła dziesięć centymetrów od płuca. Za to w innych starciach zwycięzcą byłem ja. Nie chcę się chwalić, ale niewielu zdołało dosiąść konia po uderzeniu mojej buławy!

- Jakie są reguły staczania pojedynków? Jakiej broni używa przeciwnik? Kto jest sędzią? - Zacząłem się naprawdę denerwować.

- Reguły wszędzie są jednakowe. - De Bras wzruszył ramionami. - Najpierw konne pojedynki jeden na jednego, potem walka grupowa. Broń? Jaką kto sobie wybierze. Rannymi zajmują się medycy, poległych czeka honorowy pogrzeb. Zwycięzca zabiera konia i zbroję pokonanego. Co prawda, zwycięzców bywa niewielu... Gdy wyszedł, zasłoniłem twarz rękami i oparłem się o ścianę. Teraz dopiero uzmysłowiłem sobie w całej pełni rozmiar szaleństwa, na jakie się zdecydowałem. Występować w turnieju rycerskim! Z prawdziwą bronią! Przeciwno najlepszym rycerzom królestwa! Jako ochotnik! Chyba zwariowałem...

Za mną Lija i Buldożer przestępowali z nogi na nogę.

- Święta Januaria była mniszką - wyjaśnił Jean. - Gdy jej klasztor oblegali Maurowie, tak zawzięcie tłukła ich wiadrami po głowach, że zdołała utrzymać wroga przed bramą przez całe dwa dni. Gdy rozwścieczeni poganie w końcu zdobyli klasztor, mszcząc się za jej dzielność, upiekli nieszczęsną w zbroi rycerskiej. Co za nikczemnicy, prawda?

- Mhm...

- Pomogę wam, milordzie. Giermkowie mogą brać udział

w walce. Opowiem wam o turniejach, mam ogromne doświadczenie, co prawda dosyć gorzkie...

I

- Dziękuję, Jean. Wiedziałem, że można na tobie polegać - powiedziałem sztucznie ożywionym głosem pilota-oblatywacza.

- Lordzie Osiemico, potrzebny panu porządek na kopię - podsunęła usłużnie Lija. - Powiedzcie tylko jaki, a ja przez noc wyhaftuję.
- Szkoda zachodu...

- To przecież żaden kłopot! A może sama go wam wymyślę?

- Śmiało, śmiało... - Jakoś przestałem przejmować się przyszłością. Co mi po porządkach! I czy w ogóle warto przejmować się Riesenkampfem, skoro już jutro mam tak wspaniałą okazję dać się zabić? Jedno mnie tylko pocieszało: de Bras wspominał, że poległ mając zagwarantowany godny pochówek...

Hura! Obywatel Astrachania rycerzem! Powrót do piętnastego wieku! Spieszcie się, panie i panowie, powtórki nie są przewidziane, to jednorazowe przedstawienie, a rejestrowanie szczegółów na kasetach wideo nie jest dopuszczalne! Markiz de Bras osobiście wybrał mi zbroję w swojej przestronnej zbrojowni - nowiutką, jeszcze nikogo w niej nie zabito. Dostałem innego konia, bardziej przysadzistego i mocniejszego - ciekawe, czy będzie mnie słuchał? A długą pasiąstą kopię ozdobił aksamitny porządek w kształcie trójkąta. Pośrodku widniał wyszyty jedwabiem Miecz Bez Imienia, po lewej - odwrócona korona królewska (symbol upadku władzy Riesenkampfa), a po prawej - rosochate drzewo, ośmiornica albo eksplozja. Czyli ten sam obiekt, który widniał na srebrnej zapince mojego płaszcza. Dwudziestu siedmiu słynnych rębajłów, kwiat tutejszego rycerstwa, zjechał się na dzisiejszy turniej ze wszystkich stron kraju. Jean, w kolczudze i lekkim hełmie, opisywał mi tych, których znał.

- Sir Dupont Longhi junior. Mistrz miecza, słynny z odrąbywania głów, ale za gruby i kiepsko trzyma się w siodle.

Albo:

- Sir Charles Lee, przezwisko Kucharz. Z taką siłą wali przeciwnika toporem w hełm, że ten huczy jak miedziany rondel...

Czy też:

- Sir Mark, wielki wojownik. Uderza tylko raz, ale za to jak!

Jego kopia niczym zaczarowana przebija każdą zbroję. Lecz jeśli chybi, ucieka z areny jak niepyszny...

W ubieraniu mnie uczestniczyły trzy osoby: markiz udzielał wskazówek, Jean mocował, zapinał i przykręcał, Lija zaś była na posyłki. Wyglądałem groźnie, tylko strasznie hałasowałem i często się przewracałem, zaczepiając o różne przedmioty to płaszczem, to ostrogami. Miecz Bez Imienia wisiał przy moim lewym biodrze, markiz de Bras zaś z ciężkim sercem wręczył mi swoją sławną buławę. Przyjmując ją z wdzięcznością, aż klęknąłem na jedno

kolano - buława okazała się bardzo ciężka...

Nie bałem się. Czułem lekkie podniecenie, jak przed sparingiem w sekcji karate, a chroniony skórzaną koszulą, kolczugą i kutą zbroją szczerze wierzyłem, że w najgorszym razie zarobię kilka sińców. Święta naiwności!

Całe widowisko robiło niesamowite wrażenie. Arenę - wielką polanę pokrytą zieloną trawą - otaczał płot ozdobiony flagami, tarczami i proporcami. Za ogrodzeniem stały rzędy drewnianych ławek dla widzów, jak na stadionie. Na honorowej trybunie pod baldachimem zasiadał markiz de Bras, majestatyczny i wspaniały w swoim czarno-złotym stroju, obok niego żona i dwie córki (przesympatyczne panienki) oraz kilku szlachciców. Cała reszta rozsiadła się na ławach. Ludzi było sporo i panowało świąteczne ożywienie. Kręcili się handlarze piernikami i słodkimi bułeczkami, wino i owoce szły jak woda. Sprzedawcy magicznych amuletów próbowali wcisnąć je rycerzom, a jednego handlarza nawet poturbowano - śmiał twierdzić, że ma na zbyciu człon zwęglonego palca świętej Januarii. Szarlatanów nigdzie nie brakuje...

Dwudziestu siedmiu rycerzy - no i ja - podeszło do głównej trybuny, skłoniło się i oddało cześć markizowi. Potem nastąpiło losowanie, podzielono nas na oddziały i zaprowadzono do różnych rogów areny. Moim tymczasowym dowódcą został znamienity Kucharz - sir Charles Lee. Obszedł nas wszystkich, osobiście witając się z każdym, by wreszcie stanąć przede mną w zakłopotaniu. Najwyraźniej nie wiedział, jak zacząć.

- Lord Osiernica, trzynasty landgraf Miecza Bez Imienia?

- Tak, sir.

- Hm... Podnieście przyłbicę. Święty Boże! Tacy jesteście młodzi!

- Ależ nie, szanowny panie, mam dwadzieścia siedem lat!

- Godny wiek dla wojownika i męża... - rzekł rycerz z roztargnieniem, a potem nieoczekiwanie objął mnie i szepnął: - Mój rodzinowy zamek stoi dwadzieścia cztery kilometry w stronę jeziora, przy górskiej granicy. Nie jest wprawdzie niezdobytą twierdzą, ale w razie potrzeby może służyć ochroną.

- Dziękuję, milordzie! Czym sobie zasłużyłem?...

Charles Lee dotknął mojego ramienia żelazną rękawicą.

1; - Pamiętam Tanitriel jako pięcioletnią dziewczynkę. Jej ojciec pasował mnie na rycerza.

Gdy ceremonia zawierania znajomości dobiegła końca, rycerze z mojego oddziału otoczyli mnie i składając wyrazy szacunku, poprzysięgli dozgonną przyjaźń. Przekonałem się, że w środowisku rycerskim landgrafowie cieszyli się poważaniem, Riesenkampf zaś, delikatnie mówiąc, nie był zbyt lubiany. Pomyślałem nawet, że z tych żelaznych chłopaków można by stworzyć niezłą drużynę

i pokazać tyranowi Lockheimu gdzie jego miejsce... A potem zagrzmiały trąby i rozpoczął się turniej. Muszę przyznać, że gdy dwóch chłopców z naszego oddziału wyniesiono z połamanymi żebrami i rozbitymi głowami, mój zachwyt tym barwnym widowiskiem ulotnił się jak kamfora.

Istota pojedynku jest bardzo prosta. Przeciwnicy rozpędzają konie i w biegu próbują dźgnąć się kopiami, a gdy to nie wystarcza, chwytają za miecze i okładają się nimi, ile wlezie. Ten, który upadnie pierwszy, oddaje przeciwnikowi zbroję i konia. Muszę przyznać, że bycie zwycięskim rycerzem to bardzo intratne zajęcie... Każdy rycerz może stoczyć tylko jeden pojedynek, a na zakończenie ci, którzy jeszcze trzymają się na nogach, urządzają zbiorowe mordobicie. Pomyślałem, że warto by spojrzeć na ten problem z moralnego i etycznego punktu widzenia, ale moje rozmyślenia przerwał triumfalny wrzask herolda:

- Sir Suchamor wyzywa na pojedynek sir Osiernicę, trzynastego landgrafa Miecza Bez Imienia!

O rany, dlaczego właśnie mnie? Nim zdążyłem wyrazić swoje niezadowolenie, wsadzono mnie na konia. Poczulem, że nogi mam jak z waty a w żołądku zimny kamień. Usłyszałem uspokajający głos troskliwego Buldożera:

- To niezbyt dobry rycerz. Celujcie w hełm, a spadnie z siodła jak złoto.

Skinąłem głową i opuściłem przyłbicę. Jean klepnął mojego konia w zad i zaczęło się... Sir Suchamor jechał z przeciwka, niewzruszony jak czołg. Pstrokata tarcza osłaniała go od pasa do głowy, czarne strusie pióra hełmu kołysały się na wietrze, a wysunięta do przodu kopia połyskiwała jak symbol zemsty. Jak żałośnie musiałem przy nim wyglądać! Tarcza mi się kiwa, kopia podskakuje, ja sam podryguję w rytm galopu konia i nie czuję najmniejszej chęci do walki! Trybuny uprzejmiem milczały, a potem już wszystko poszło szybko.

Bum!

Gdy się ocknąłem, leżałem na trawie, a tłum wydawał radosne okrzyki. Mój przeciwnik zrobił to, czego ja nie zdążyłem - walnął mnie w hełm, trafiając kopią w wycięcie przyłbicy. Dobrze, że mi nie wyklął oczu! Musiało mnie obrócić w powietrzu, bo leżałem na brzuchu, twarzą w trawie. Może to śmieszne, ale zbroja rzeczywiście uratowała mnie przed przedwczesną śmiercią. Podniosłem się na łokciu i zobaczyłem walecznego Suchamora dziesięć metrów ode mnie - na ognistym koniu, z kopią w dłoni. Postanowił mnie dobić, pomyślałem obojętnie. Zasady turnieju pozwalały na tego rodzaju zabawy, a ja w moim blaszanym garniturze nie zdołałbym nawet w porę wstać. Tymczasem czarnopióry rycerz znalazł się tuż obok, a kopyta jego konia zawisły nade mną. W tej

krytycznej chwili zjawiał się potężny Buldożer i stało się coś niewiarygodnego! Mój giermek pochwycił przednie nogi konia i dosłownie wisząc na zwierzęciu, oddalił kopyta ode mnie. Chwilę później mojemu przeciwnikowi udało się przyłożyć Jeanowi tarczą w hełm i mój dzielny giermek upadł. Sir Suchamor po raz trzeci wymierzył we mnie kopię i ruszył do ataku. Trybuny szalały - czegoś takiego nie widziano tu nigdy!

Dość tego, pomyślałem. Też jestem rycerzem, a moja wytrzymałość psychiczna ma swoje granice. Któremu pilno, żeby zostać mistrzem olimpijskim w skokach o tyczce? Wstałem, odrzuciłem tarczę, a Miecz Bez Imienia zalsnił groźnie w powietrzu. Ciepła rękojeść grzała mi dłoń i przeciwnik wydał mi się nagle mały, żalony i godny politowania. Tak mu było spieszno do zasłużonego zwycięstwa! Skąd ja to znam... Twarz Jeana Boule de Guerre'a rozplynęła się w szczęśliwym uśmiechu, gdy kopia Suchamora wbiła się w ziemię, a rycerz wyskoczył z siodła niczym korek z butelki i po efektownym locie wylądował w łoży markiza.

Tak jest, panie i panowie! Teraz to ja zasłużyłem na podziw...

- Jean, dziękuję ci, przyjacielu! Gdyby nie ty, nie zdążyłbym wstać.

- A gdyby nie ja, ten tchórz nie zrobiłby kroku do przodu! - powiedziała groźnie Lija, odsuwając Buldożera na bok. Potem szybko obejrzała mnie pod kątem ran, złamań, zwichnięć i wstrząsu mózgu.

- Chwała Najwyższemu, wszystko w porządku. Milordzie, następnym razem uprzedźcie mnie z łaski swojej, jeśli będziecie mieli zamiar wygłupiać się na arenie.

- Milcz, niedowiarku... - odciąłem się bez entuzjazmu.

- Jak mówisz do naszego pana! - poparł mnie ośmielony Jean.

- Ten pan pozwolił wysadzić się z siodła i czekał, aż go stratusją! - nie przestawała utyskiwać Lija. - Chętnie wierzę, że bawiliście się z Suchamore jak kot z myszą, ale wszystko ma swoje granice! Zrozumcie wreszcie, że się o was martwię! Omal mi serce nie pękło, gdy upadliście...

- Moja droga, nie warto się tak mną przejmować, nie zasłużyłem na to...

- Nie zasłużył! - podchwycił Buldożer i od razu zamilkł, widząc, że palnął głupstwo.

Przez kilka sekund Lija spoglądała na Buldożera, w końcu klasnęła w ręce i usiadła na swojej ławce.

- Oczywiście... to dla was, mężczyzn, bitwy, turnieje, wielkie czyny! A ja jestem tylko nikomu niepotrzebną istotą. Lordzie Osiernico, kim jestem dla was? Przypadkową znajomością, wiecznym obowiązkiem, niepotrzebnym ciężarem? Czy kogoś w ogóle

obchodzi, że się martwię i co przeżywam? Nikogo...

Zrobiło mi się wstyd.

Tymczasem pojedynki jeden na jednego dobiegły końca. Oddział sir Charlesa nie miał powodów do dumy - z czternastu rycerzy do dalszej walki nadawało się zaledwie dziesięciu. Jeden leżał nieprzytomny, dwóch miało poważne złamania, a czwarty, z ręką grubo obandażowaną, daremnie błagał markiza de Brasa o pozwolenie wzięcia udziału w zbiorowej rzezi. Właśnie gorączkowo zastanawiałem się nad pretekstem, który pozwoliłby mi wynieść się stąd niepostrzeżenie, gdy ponownie wsadzono mnie na siodło, wetknięto kopię do ręki i rozpoczęła się druga tura rozgrywek. Zaatakowaliśmy naszych przeciwników szykiem rozwiniętym. Muszę przyznać, że był to widok wyłącznie dla ludzi o mocnych nerwach. Starcie zakończyło się dla mnie tak samo szybko jak poprzednie, z tą różnicą, że tym razem wyleciałem z siodła prosto w objęcia mojego troskliwego giermka. Jean trzymał mnie w wyciągniętych ramionach niczym drogocenną chińską wazę i kroczył wzdłuż rzędów, pokazując mnie trybunom. I w tym momencie poczułem, że coś we mnie pękło.

- Jean! Wyprowadź swojego konia! - ryknąłem, czując, że żyły wypełnia mi czysta adrenalina. - Zaraz im pokażemy prawdziwą zabawę!

Buldożer wykonał rozkaz bez zbędnych pytań. Nie tracąc czasu na dyskusje - nasz oddział wyraźnie przegrywał! - obaj dosiedliśmy jego potężnego żrebca. Ja siedziałem z przodu z Mieczem Bez Imienia w dłoni, a za mną Jean Baptiste Claude Chardin z moją tarczą i kopią. Na trybunach rozległy się gwizdy i chichoty. Rzeczywiście, kupa śmiechu! Monty Python i Benny Hill wysiadają! Ale gdy z rozpędem wpadliśmy w tłum walczących rycerzy, widzowie umilkli. Miecz Bez Imienia rozcinał tarcze, skracał kopie i gniótl zbroje. Szeroka pierś mojego giermka była idealną podporą, jego kopia zaś wysadzała z koni tych, którym udało się uniknąć moich ciosów. Chociaż, jak sędzę, tym razem Buldożer również miał zamknięte oczy i cały drżał... Szala zwycięstwa przechyliła się na naszą stronę. Sir Charles Lee zerwał z siebie hełm i śmiał się ogłuszająco, grożąc niebiosom dwuręcznym mieczem. Trębacze zadęli w trąby, widzowie wiwatowali, a markiz ogłosił nas zwycięzcami turnieju. Z naszego oddziału ocalało czterech rycerzy, z drużyny przeciwnika - dwóch. Liczyłem, że wręczą nam jakieś pamiątkowe medale, ale gdzie tam! Tyle że ogłosili naszego Kucharza najlepszym rycerzem i wręczyli mu miecz ze złotą rękojeścią. Pozostałych zasypano kwiatami i przysmakami. Moim zdaniem, idiotyczny zwyczaj. Dwa razy próbowałem złapać kanapkę z wędzonką i omal nie spadłem z konia. A tu jeszcze jakaś wzruszona mieszczka ze szczerego serca przyłożyła mi ciastkiem - prosto

w szczelinę przyłbicy! Muszę przyznać, że krem był bardzo smaczny, tylko ciężko zlizywało go się z koniuszka nosa. Zapał sportowej rywalizacji opadł. Zawracając konia, niespiesznie ruszyliśmy z Buldożerem w stronę biegnącej do nas Lii.

- Milordzie, byliście wspaniali!

- Staraliśmy się. - Skinąłem skromnie głową.

- Oczekuje was markiz i ten... nietrzeźwy mag!

Zsiadłem z konia, ściągnąłem ze spoconej głowy hełm i lekko przechylony na bok (z powodu przekłętej buławy) skierowałem się do głównej loży. De Bras i Marwieicz bez pośpiechu wykańczali butelkę ormiańskiego koniaku (pochodzącą prawdopodobnie z kolejnej dostawy Riesenkampfa), a wokół nich tłoczyło się kilkunastu baronów z synalkami, którzy nie brali udziału w turnieju. Jean stał za moimi plecami (pewnie, żeby się nie zgubić), a Lija dumnie kroczyła przodem, popatrując z wyższością na innych paziów.

- Lordzie Osiernico, zapraszam, siadajcie! To było naprawdę niezwykle! Muszę przyznać, że nie spodziewałem się zastosowania tak oryginalnej metody walki! Przeważyc kopię sir Suchamora i zmusić go do wykonania przewrotu przez głowę... o, do tego potrzebna jest rzadka odwaga i niezwykła zręczność! - mówił z zachwytem markiz. - A jak zręcznie wykorzystaliście siłę swojego giermka! Jego kopia użyta płazem, a nie ostrzem, rozprawiała się z przeciwnikami nie gorzej niż taran! Proszę przyjąć moje gratulacje! Po sir Charlesie byliście największą gwiazdą turnieju.

- Co prawda, to prawda - rzekł eksweterynarz, ziejąc oparami alkoholu. - Nieźle sobie dałeś radę, synu. Ale mówiąc między nami, w ten sposób jedynie przyspieszyłeś swój pogrzeb. Nie trzeba się było wysuwać przed orkiestrę. Teraz plotki o bohaterskim landgrafie zmuszą twojego wroga do szybszego i bardziej efektywnego działania.

- Niech idzie do diabła... - Machnąłem ręką.

- Też racja. - Matwieicz skinął głową. - Tam jest jego miejsce.

Czy to znaczy, że już się zdecydowałeś?

- Tak jest. Moi przyjaciele przekonali mnie, że jako drużyna jesteśmy sporo warci.

- Jesteś głupcem, landgrafie - czknał jasnowidz. - Ale zazdroszczę ci...

Dworzanie i rycerze tłoczyli się wokół nas, gratulując zwycięstwa i zapewniając o swej wiecznej przyjaźni, ale co najmniej połowa z nich była, mówiąc ogólnie, nieszczerą. Zwłaszcza dwóch dorodnych rycerzy w lśniących zbrojach i z hełmami w rękach.

- Lordzie Osiernico, kim jest dama waszego serca, na której cześć dokonujecie wielkich czynów? - zapytał jeden z krzywym uśmiechem.

Już otworzyłem usta, żeby mu odpowiedzieć, gdy odezwał się drugi:

- A po cóż mu dama serca, skoro ma przy sobie takiego ślicznego pazia? Nowy landgraf gustuje w chłopaczkach, mam rację? W tym samym momencie solidna pięść Buldożera stuknęła rycerza tak, że głowa wsunęła mu się w kirys. Jean, wyraźnie przestraszony, popatrzył na mnie żałośnie, szukając ochrony i wsparcia. Mrugnąłem do niego z aprobatą. Pierwszy rycerz rzucił się do ucieczki, gdy Lija obrzuciła go druzgocącym spojrzeniem, a reszta obecnych omal nie umarła ze śmiechu. Muszę przyznać, że podobało mi się tu coraz bardziej...

Ten wieczór spędziłem u Matwieicza. Rozmawialiśmy do czwartej rano. Interesowało go wszystko: jakie zmiany zaszły w naszym świecie, co nowego nakręcili w Hollywood, kto jest teraz papieżem i na co przeznaczane są środki ONZ; pytał o nazwiska nowych wybitnych naukowców i artystów, interesowały go ostatnie wynalazki, ostatni krzyk współczesnej mody, paryskie gusta i dowcipy z rosyjskiej prowincji. Rozumiałem go. Po raz pierwszy od tylu lat trafił mu się rodak, w dodatku z tego samego okresu dziejów! Matwieicz wyznał mi nawet, że gotów jest poświęcić swoją neutralność i udzielić mi wszelkiej niezbędnej pomocy, żebym tylko zdołał się stąd wydostać. Żegnaliśmy się już, gdy przypomniałem sobie o pewnej dość istotnej sprawie.

- Skąd Riesenkampf dowie się, że postanowiłem walczyć?

- Zgodnie z tradycją, powinieneś oficjalnie wyzwąć go na ostateczny bój. To nie jest konieczne, bo on i tak jest zorientowany w sytuacji, ale mimo wszystko... Chodźmy.

Matwieicz zaprowadził mnie na strych. Tam, na stole pokrytym aksamitem, leżał ogromny, miedziany róg. Moi znajomi z konserwatorium wiele by dali za możliwość choćby rzucenia okiem na to чудо. Już sam wyrzeźbiony wzór był niewątpliwym dziełem sztuki. Wziąłem róg do rąk, zagrałem i zabrzmiało to tak, jakby głęboki dźwięk rozerwał ciemność.

- No i tyle... - Matwieicz uśmiechnął się smutno. - Teraz całe królestwo wie, że pojawił się nowy bohater, który rzucił wyzwanie tyranowi Lockheimu. Od tej chwili możesz dzielić ludzi na wrogów i przyjaciół, obojętnych nie spotkasz. Jedni będą ci pomagać, nie szczędząc życia, ponieważ doskonale wiedzą, z jakim niebezpieczeństwem się zmagasz. Dla innych Riesenkampf jest gwarancją stabilizacji i pokoju... który w każdej chwili może się zmienić w wieczne odpoczywanie. A poza tym, to nie my wybieramy sobie przeznaczenie, lecz ono wybiera nas. Pamiętaj o jednym: zrobię wszystko, żeby nie brać udziału w twoim pogrzebie... aż do odwołania samego pogrzebu z powodu niestawienia się głównego zainteresowanego włącznie!

Przed obiadem czekała mnie niezbyt przyjemna niespodzianka - niestety, niespodzianki rzadko bywają przyjemne. Gdy razem z moimi przyjaciółmi zjawilem się u markiza, posepny de Bras, otoczony mrocznymi zakonnikami w białych strojach, czytał właśnie jakiś dokument.

- Wejdz, przyjacielu.

- Coś się stało, markizie? Jakież problemy?

- Lordzie Osiernico... Przysięgam, że nie wiem, jak zacząć. Oto list od kardynała Calla. Kardynał oskarża was o czary i pomaganie sile nieczystej. Napisał, że urządziliście pogrom na uczcie królewskiej i śmiertelnie obraziliście naszego władcę Plimutroka Pierwszego niewłaściwym zachowaniem wobec jego córki...

- Co za brednie! Ja i król jesteśmy przyjaciółmi do grobowej deski. Najlepszy dowód, że sam prosił, aby wasze miasto udzieliło mi pomocy.

- Chętnie wierzę, ale nie mogę zignorować słów czcigodnego kardynała. Twierdzi, że uratowaliście czarownicę przed karą boską.

- To było niewinne dziecko! Ten duchowny idiota nie ma pojęcia o śledztwie. Gdyby mu pozwolić, spaliłby wszystkie czarnowłose dziewczęta!

- Być może. - De Bras skinął ze smutkiem. - Ale tu jest jeszcze powiedziane, że wraz z paziem i giermkim rozgromiliście klasztor świętego Jefroima Przybłądy i zadrwiliście sobie z przeora.

- O, to już przesada. Powiedzmy sobie otwarcie, to przeor okazał się zdrajcą i zboczeńcem...

- To bluźnierstwo! -wykrzyknął niespodziewanie najmniejszy z mnichów i wskazując mnie palcem, zażądał: - Trzeba go osądzić! Ten człowiek to czarownik!

Wzruszyłem ramionami.

- Akurat!... Już nieraz byłem wzywany do prokuratury, i co z tego? Jestem w porządku wobec prawa, ponieważ, podobnie jak niezapomniany Ostap Bender,* święcie wierzę w kodeks karny. Otoczyła mnie straż. Pewnie chłopcom było głupio, ale co mieli zrobić - taka praca.

- Lordzie Osiernico... Mam nadzieję, że wszystko się wyjaśni i cieszę się, że dobrowolnie idziecie na sąd boży - powiedział nerwowo markiz. - Obiecuję, że zatroszczę się o wasze sługi. Oddajcie miecz giermkowi.

Nadal nie rozumiejąc, w co wdepnąłem tym razem, podałem Jeanowi Miecz Bez Imienia. Powiniennem był zwrócić baczniejszą

* Ostap Bender - odeski król cwaniaków i kombinatorów, bohater powieści satyrycznych Dwanaście krzeseł (1928) i Złote ciele (1931) autorstwa duetu Ilji Ufa i Jewgienija Piętrowa (przyp. tłum.).

uwagę na nieme przerażenie, które wykrzywiło twarz Buldożera.

Jakże słabo znałem ten świat... Otoczony zakonnikami i strażą

ruszyłem do wyjścia i wtedy Lija nie wytrzymała, skoczyła do mnie i rozpychając strażników, krzyknęła:

- Milordzie! Nie róbcie tego! Oni chcą waszej zguby! Nie odchodźcie, milordzie!

De Bras objął ją i powiedział uspokajająco:

- Nie bój się, chłopcze. Twój pan jest pod ochroną Najwyższego. Bóg nie dopuści do niesprawiedliwości.

- Lord Osiernica nie potrzebuje niczyjej ochrony - Jean mruknął posepnie. - Po prostu kochamy go i mamy nadzieję, że nie stanie mu się nic złego.

- Jeśli powie prawdę i nie będzie się zapierał, być może obejdziesz się nawet bez tortur - obiecał mały zakonnik.

Bez tortur? Czy on powiedział „bez tortur”?! A jeśli będę się zapierał?... Nogi się pode mną ugięły.

Gdy wprowadzono mnie do sali przesłuchań, zrozumiałem, że moje najgorsze przeczucia się nie sprawdziły - to, co zobaczyłem, znacznie je przerastało. Miałem nadzieję, że zaczną prowadzić śledztwo, wezwą świadków, adwokata, sędziów... Ha! Czy macie pojęcie, jak wyglądała średniowieczna jurysdykcja? Trzech oprawców związało mnie, nim zdążyłem pisać coś o prawach człowieka i prawniku, ręce wciśnięto mi w imadło i rozpoczęło się przesłuchanie. Procedura była szalenie prosta: dwóch mnichów na przemian podrzucało mi prowokacyjne pytania, a trzech typów w czerwonych kapturach z wycięciami na oczy niedbale bawiło się kleszczami i piłami. Od żarłocznych spojrzeń tych drabów aż mnie mdliło. Do dziś wzdrygam się na samo wspomnienie.

- Wasza wiara?

- Prawosławny.

- Sprecyzujcie.

- Wierzę w Pana naszego, Jezusa Chrystusa, który umarł na krzyżu dla naszego zbawienia... - W razie potrzeby mogę wtrącić dowolny cytat, oczywiście z wyczuciem miary i stylu...

- Możecie przysiąc na Biblię?

- Przysięgam mówić prawdę, całą prawdę i tylko prawdę!

- Dlaczego obraziliście kardynała Calla?

- Nie obrażałem go!

- Obraziliście!

- Właśnie, że nie!

- Właśnie, że tak!!

- Właśnie, żenię!!!

- Zapiera się! - Zakonnicy popatrzyli po sobie i rozpalone szcypce przysunęły się do mojego ucha.

- Stop! Nie trzeba, przyznaję się do popełnienia tego czynu!

Owszem, obraziłem go publicznie w oburzający sposób: nazwałem go Czerwonym Kapturkiem! To taki dowcip... Ale teraz szczerze

tego żałuję! - W tym momencie gotów byłem pleść, co mi ślina na język przyniesie, żeby tylko usatysfakcjonować mnichów. Dlaczego? No cóż, jestem uczulony na dotyk rozpalonego żelaza...

- Zapiszcie: przyznaje się i kaja. Jesteście żonaci?

- Tak.

- Gdzie wzięliście ślub?

- W Urzędzie Stanu Cywilnego obwodu kirowskiego.

- Dziwna nazwa kościoła... Kto udzielił wam ślubu?

- Nie pamiętam nazwiska... Gruba kobieta, przepasana czerwona wstęgą.

- I znów bluźnierstwo! Kobieta nie może udzielać ślubu w kościele! A więc ślubu udzieliła mu diablica w świątyni o szatańskiej nazwie! Proszę to zapisać. Czemu drwiliście sobie z królowy Liony?

- Ależ ja nie... - Szczypce zostały ponownie wyjęte z ognia. -

Tak! Tak, powiem wszystko! Drwiłem z niej przez cały wieczór, bo byłem pijany! Robiłem miny jak klaun w cyrku i w ten sposób zwracałem niezdrową uwagę na Jej Wysokość. Wino niszczy w człowieku to, co najlepsze! Byłem pijany! Wybaczcie mi, panowie...

- Nie zapiera się - zauważyli mnisi z zadowoleniem. - A czy landgraf nie planował czasem spisku przeciwko królowi Plimutrowi? Czy nie próbował rzucić na niego uroku? Nie podburzał narodu do jawnego buntu? Nie namawiał wrogów kościoła do szatańskiej reformacji? Nie próbował przejąć tronu, by zamiast prawej władzy Boga ustanowić bezprawną moc diabła?

Nie będę zamęczał was szczegółami. Pod koniec półgodzinnego przesłuchania zakonnicy mieli w rękach niezłe zeznania. Gdybym był sędzią skazałbym samego siebie na dziesięć lat nieprzerwanego rozstrzeliwania w kolonii o szczególnie surowym reżymie... Czego tam nie było! Czary, łajdactwa, grabieże, deprawacja nieletnich, utrzymywanie spelunek i melin, organizowanie spisków, zamachów

on i aktów terrorystycznych, fałszerstwo pieniędzy, zabójstwa na zamówienie, przekupstwo osób na wysokich stanowiskach, niszczenie prawdziwej wiary, nielegalny wwóz narkotyków, spekulacja, szpiegostwo przemysłowe, pomaganie siłom nieczystym, a nawet drobne kradzieże kieszonkowe, których ofiarą padały dzieci w wieku przedszkolnym. A co najważniejsze, pod tymi oczywistymi bredniami widniał mój osobisty podpis, złożony absolutnie dobrowolnie - jeśli można uznać za dobrowolny podpis człowieka, na którego wywierano presję za pomocą takich argumentów, jak kat, rozpalone szczypce, imadła, piły, łańcuchy i inne urocze gadzety...

Pocieszałem się tylko myślą, że przede mną nie udało się nikomu dokonać tylu przestępstw przez całe życie, a co dopiero przez

miesiąc. Takiego zatwardziałego kryminalisty ludzkość jeszcze nie znała. Nawet słynna Cosa Nostra nie zdołałaby przeskoczyć przebiegłego lorda Osiernicy.

Z honorami zaprowadzono mnie do lochu, gdzie zostałem przykuty do ściany długim łańcuchem. Mnisi oznajmili, że muszą się naradzić, co ze mną zrobić - okazałem się bowiem rzadkim przypadkiem. Wyznając wszystkie grzechy, nie zapomniałem o metodycznym wyrażaniu skruchy i szczerego żalu. To dawało pewną nadzieję. Nie dopuszczano do mnie nikogo - ani Lii, ani Buldożera, ani nawet markiza. Dwie godziny później przybył w towarzystwie strażników mały zakonnik i oznajmił radośnie:

- Ze względu na ciężar złych uczynków, popełnionych przez was wobec całego świata chrześcijańskiego, zostajecie skazani na spalenie na stosie. Jednak, uwzględniając współdziałanie z sądem oraz szczerą skruchę, a także w nadziei na waszą poprawę w przyszłości, dostrzegliśmy w tym przypadku możliwość zamiany stosu na szafot. Zostaniecie powieszoni, milordzie...

Część 3

Z wizytą u Śmierci

...I rozwarły się niebiosa, i zadymiła ziemia, i zdrząły mury niebiańskiego świata. I zagrzmiął na wyżynach głęboki dźwięk miedzianego rogu. Magowie porzucili bezpłodne wróżby, czarownicy przestali składać ofiary na ołtarzach, a zorza na wschodzie nabrała fioletowego koloru królewskiego domu.

A świat rozpadł się na dwie połowy - za i przeciw.

Wtedy Riesenkampf zrozumiał, co to niepokój, i pojął, że trzynasty landgraf Miecza Bez Imienia nie wróci już ze swej drogi...

Kroniki Lockheimu

Wydarzenia tych dni utkwily mi w pamięci na zawsze. Wielokrotnie ryzykowałem życie zarówno przedtem, jak i potem, ale nigdy nie byłem tak bliski własnego pogrzebu. Wrażenia nie należały do przyjemnych, ale opowiem o nich przez wzgląd na tych, którzy planują podróże po światach równoległych.

Matwieicz nie mylił się - grę prowadzono zgodnie z zasadami.

Niewidoczny udział Riesenkampfa nie kępował działań uczestników gry, a jednak miało się nieprzyjemne uczucie rozrabiania pod czujnym okiem surowego rodzica. Z tą różnicą, że zwykle rodzicielska kara nie obejmuje śmierci psotnika, a w tym wypadku było to warunkiem koniecznym. Musiałem więc wnieść pewne poprawki.

Do ostatniej chwili liczyłem na wstawiennictwo maga-jasnowidza. Przyniesiono mi ciepłą wodę do mycia, dostałem kubek wina i czystą koszulę, a jednak ciągle miałem nadzieję, że wszystko bę-

dzie dobrze. Nawet gdy prowadzono mnie ze związanymi na plecach dłońmi na pospiesznie sklecony szafot, nie denerwowałem się. Rynek, na którym wzniesiono szafot, był pełen ludzi. Wszyscy rozmawiali z podnieceniem, prowadzili zaciekle spory, żywo gestykulując. Z dosłyszanych okrzyków zrozumiałem, że część mieszkańców Wesnachhause była przekonana o mojej winie, a część dowodziła czegoś zupełnie innego. Zasadniczy argument brzmiał, że takiego grzesznika Bóg po prostu nie wpuściłby na ziemię. Miło to było słyszeć...

Dalszy przebieg wydarzeń postaram się opowiedzieć sucho i rzeczowo.

Postawiono mnie na mocnym stołku, a mały zakonnik zwrócił się do obecnych z krótką przemową:

- Zebraliśmy się tu, by skazać największego przestępcę naszych czasów, samozwańczego landgraфа, który swoim mieczem ośmielił się zachwiać spokojem i dobrobytem naszego kraju... - Tu nastąpiło wyliczenie wszystkich moich przestępstw. Było ich tyle, że pod koniec wiele osób ziewało. - Wszyscy litujemy się nad zbłąkaną duszą tego człowieka i błagamy Pana, żeby mu wybaczył, tak jak i my wybaczymy!

- Czy to znaczy, że puszczacie mnie wolno? - zapytałem naiwnie.

- A skąd! - Opędził się ode mnie rozdrażniony mnich. - To tradycyjna formułka. Chcecie nam popsuć ceremonię?

- Już nic nie mówię...

Kończąc oskarżycielską mowę, zakonnik dał znak oprawcy, ale w tym momencie z tłumu wyłonił się zdenerwowany markiz de Bras.

- Do diabła! Nie dopuszczę do kaźni lorda Osiernicy! Mógłbym się jeszcze zgodzić na areszt, nie zaszkodzi czasem odpocząć w suchej i ciepłej celi, ale kara śmierci? Żądam dodatkowego śledztwa i dowodów rzeczowych.

- Oto one. - Skłonił się pokornie mnich i markiza otoczyło sześciu zakonników. Gdy zasłonili go przed wzrokiem mieszczan swoimi habitami, dał się słyszeć głuchy stuk i mały zakonnik tym samym pokornym tonem wyjaśnił: - Czcigodny markiz dostał ataku apopleksji. Zle się czuje. Odnieście szlachetnego pana de Brasa do jego apartamentów, a my kontynuujemy naszą ceremonię. Czy ktoś jeszcze podaje w wątpliwość kompetencje naszego sądu?

- Ja! - Z huczącego tłumu wyszedł Buldożer. - Wszystkie zarzuty, postawione mojemu panu, są oszczerstwem!

- Przecież się przyznał!

- Wymysły! - rzucił wzgardliwie Jean, nawet nie patrząc na protokół przesłuchania.

- Mamy jego podpis! - huknęli mnisi.

- Fałszerstwo! - sparował mój giermek.

- W takim razie zapytajmy oskarżonego! - wściekły się dzieci

kościół. - Lordzie Osiernico, czy przyznajecie się do popełnienia wymienionych przestępstw i czy to wasz podpis tu widnieje?

- Brednie! - odpowiedziałem głośno.

- Co takiego?!

- To wszystko brednie! Nic nie mówiłem, niczego nie podpisywałem i cierpię niewinnie z powodu intryg i zawiści!

- On kłamie! - ryknął mały zakonnik, a Jean zapytał głośno zebranych:

- Komu bardziej wierzycie: swarliwemu mnichowi czy szlachetnemu landgrafowi Miecza Bez Imienia?

To było to! Tłum zahuczał głośnie i podzielił się na trzy grupy.

Pierwsza wrzeszczała: „Stracić go! Jest tutaj obcy!” Druga atakowała pierwszą, wyjąc: „A nam się podoba!” Trzecia, najliczniejsza, skandowała: „U-wol-nić O-sier-ni-cę!” A gdy jeden z rosłych mnichów wyrzucił Buldożera taboretami w skroń i mój giermek upadł jak długi, wrzeszczał już cały rynek.

- Zachowajcie spokój, bracia - wykrzyknął prowadzący ceremonię. - Szybciutko go powiesimy i będziecie mogli wrócić do domów i swoich spraw... Wasze ostatnie życzenie, landgrafie?

- Poproszę o karabin maszynowy...

Założono mi pętlę na szyję, a straż, która przybyła tu z zakonnikami, odsunęła ludzi.

- Matwieicz się nie pojawił? - zapytałem przelotnie kata.

- Nie, jeszcze się nie obudził po wczorajszym... - odparł ten ze współczuciem.

Wpatrywałem się w niebo, szukając pośród chmur lecącej na miotle czarnowłosej dziewczyny, ale tym razem cuda nie były przewidziane. Zakonnicy udzielali oprawcy ostatnich wskazówek, gdy nagle do przedstawienia wtargnęły nieprzewidziane obsadą postacie. Rynek znajdował się na skrzyżowaniu czterech dróg - od południa zakłębił się kurz, dał się słyszeć tętent koni i oddział kilkudziesięciu jeźdźców rozepchnął tłum, zmierzając do szafotu. Gdy byli już bardzo blisko, ich przywódca zdjął hełm i w promieniach słońca zaśniły słomiane włosy księcia Rajumsdała. Jak miło!

- Aha! Więc jednak wpadłeś, brudna świnię! Długo cię szukałem, lecz widać los mi sprzyja, bo spotkaliśmy się, landgrafie! Hej, wy tam! Zabrać kata, osobiście odrąbię mu ten świński łeb!

Tłum milczał ponuro. Widać było, że księcia dobrze tu znają...

i serdecznie nienawidzą. Nim jednak przestraszeni mnisi odsunęli się na bok, z północy nadjechał inny oddział, a pierwszą osobą, która przedarła się pod szubienicę, była nadobna królewna Liona.

- Osiernico, mój słodki chłopcze!

Muszę przyznać, że w tym momencie po raz pierwszy poczułem do niej szczerą sympatię.

Tłum ucichł i zamarł. Stało się coś nieprzewidzianego - zetknę-

ły się interesy dwóch walczących ze sobą stron. Innymi słowy, trafiła kosa na kamień. Syn potężnego czarownika Riesenkampfa i córka znamienitego władcy Plimutroka stali naprzeciwko siebie, podpierając się rękami pod boki.

- Wynocha stąd, koronowana idiotko! Ten samozwaniec obraził mojego ojca i mnie samego, więc zdechnie tutaj jak szczur!

- Spróbuj tylko tknąć mojego wąsatego koteczka swoimi brudnymi łapami! Idź precz, bo tak cię walnę w ucho, że ci nie pomoże żaden czarownik!

- Co? Śmiesz się sprzeciwiać woli Riesenkampfa? Mój ojciec jednym ruchem palca zetrze to miasto w pył!

- Leć się poskarżyć, nieszczęsny tchórz! Miłość nie zna strachu, a ja oddałabym całe królestwo za jeden uśmiech mojego landgrafa! - Liona obrzuciła mnie takim spojrzeniem, że omal się nie udusiłem bez pomocy sznura.

- Żałosna kukło! Sprzedajna dziewczko! Najpierw rozprawię się z twoim kochankiem, a potem oddam cię moim wojownikom! - No, tu już księżę trochę przesadził. Między mną i królową nic nie było. Przysięgam!

- Lordzie Osiernico! - rozległ się jakże znajomy dziewczęcy głos. Od zachodu do szubienicy podjechał oddział uczestników turnieju ze słynnym Kucharzem na czele. Siedząca za nim Lija zeskoczyła z konia i podbiegła do mnie.

- Żyjecie! Dzięki ci, Panie! Tak się bałam, że nie zdążymy! Hej, ty! - zwróciła się do kata. - Rozwiąż szybko milorda i nie wystawiaj na próbę mojej cierpliwości! Od rana jestem wściekła, mogę nie wytrzymać i wreszcie komuś przyleję! Jak tylko was zabrali - to do mnie - od razu pobiegłam po pomoc. Sir Charles i inni rycerze zawrócili konie i oto jesteśmy. O Boże, tak się martwiłam...

- Pamiętamy o obietnicy i przysiędze przyjaźni. - Kucharz uśmiechnął się szeroko, demonstracyjnie wyciągając zza pasa topór bojowy. - Wasi wrogowie są naszymi wrogami! Hej tam, słyszycie? Żeby powiesić lorda Osiernicę, będziecie musieli przejść po moim trupie! Zaraz się przekonamy, czy dużo j est takich szczęściarzy, którym uda się zrobić ze mnie most!

Pozostali rycerze skłonili głowy na znak poparcia i w milczeniu obnażyli miecze. Kat pospiesznie rozwiązał sznury, wyraźnie ucieszony wynikiem dyskusji.

Wszyscy obecni wpadli w dziwne osłupienie i dopiero gdy spadły ze mnie ostatnie pęta, niezawodny księżę Rajumsdal wrzasnął:

- Co stoicie jak kołki! Zabić go!

Liona wyprostowała się, demonstrując wzrost koszykarki, i ryknęła:

- W imieniu króla Plimutroka! Nie wściekajcie się tknąć mojego landgrafa!

Rajumsdal z rozmachem uderzył ją w twarz i królowa runęła jak ścięte drzewo, wydając podobny stuk. Tłum wstrzymał oddech. Ech, ta Liona... Owszem, nie lubiłem jej, a momentami nawet się jej bałem. Jest rozkapryszona, rozpuszczona i ograniczona. Nie jest aniołem i podobnie jak my wszyscy, daleko jej do doskonałości. Ale on?! Kimże jest ten chłopak, żeby pozwalać sobie na coś takiego? Poczułem, że dławi mnie wściekłość. Lija wsunęła coś w moją dłoń i palce radośnie zacisnęły się na znajomej rękojeści. Mój miecz! Miecz Bez Imienia!

- Zapłacisz za to, draniu! - krzyknąłem, zeskakując z szafotu. Sir Charles uniósł dłoń i dziewięciu rycerzy, przy współudziale dwudziestu strażników królowy, zaatakowało oddział księcia. Tłum, wiedziony słusznym gniewem, rozebrał pomost na deski i włączył się do ogólnej bijatyki. Walczono z rozmachem i ułańską fantazją. Entuzjazm mieszczan z powodzeniem rekompensował braki w uzbrojeniu. W końcu co za różnica, czy okładasz przeciwnika buławą, czy deską z szubienicy? Zaręczam wam, że przeciwnikowi jest wszystko jedno. Krótko mówiąc, zabawa rozkręciła się na całego. Szkoda tylko, że po rozprawieniu się z wrogami nie dało się odnaleźć księcia Rajumsdala. Ten szlachetnie urodzony łajdak zdążył dać drapaka. Bardzo tego żałowałem - i nie ja jeden. Ale wszystko dobre, co się dobrze kończy. Mieszkańcom Wesnachause tak spodobał się ten pamiętny dzień, że ogłoszono go świętem narodowym i później raz do roku urządzano przedstawienie pod tytułem Kain lorda Osiernicy i jego cudowne ocalenie. Szyto kostiumy, robiono konkurs na odtwórców głównych ról, wybierano statystów do scen masowych i, w imię zwycięstwa dobra nad złem, chwymano i karano księcia. Chociaż, jak sami widzicie, w rzeczywistości udało mu się uciec...

Buldożer miał siniec na skroni, de Bras zdobył guza na karku, gdy przyłożono mu pałąk, żeby nie zakłócał ceremonii. Zakonników wypędzono z miasta kopniakami, czym zajęli się osobiście miejscowi duchowni, którzy również nieźle się zabawili w czasie bijatyki. I byłbym prawie zupełnie szczęśliwy, gdyby nie pewien problem - królowa Liona próbowała wdrzeć się do mojej sypialni. Należało pospieszyć opracować plan mojej rzekomej ucieczki. W tym celu markiz wypuścił z więzienia czterech zatwardziałych przestępców i przysiągł darować im życie, jeśli uda im się uciec przed królową. Zbóje przystali na to z radością, chociaż zadanie nie należało do łatwych. Nieulekły de Bras osobiście udał się do Liony i ze smutkiem oznajmił, że lord Osiernica został porwany. Rozwścieczona królowa wpadła do naszego pokoju, wrzeszcząc przeraźliwie:

- Gdzie jest mój koteczek?! Wszystkim wam głowy pourywanam! Jak mogliście dopuścić do porwania?

- O, pani... -jęknęła Lija, załamała ręce w teatralnym geście

i wywracała oczami, ryzykując nabawienia się trwałego zez. - Błagamy cię, ratuj naszego pana! On jest taki dobry, taki ufny, taki bezbronny... Nie ustrzeżliśmy go i teraz resztę naszych dni spędzimy w klasztorze, modląc się i prosząc o wybaczenie tej strasznej przewiny!

- Tak jest, lady Liono! - przytaknął Jean, dla lepszego efektu tchórzliwie kryjąc się pod stołem. (Wyglądał przy tym jak hipopotam, próbujący zasłonić się wiadrem). - Nie ma dla nas przebaczenia ani na ziemi, ani w niebie! Tylko wy możecie mu pomóc, tylko z waszych rąk przyjmie on pomoc...

- Mówicie poważnie? - Królowna zmrużyła oczy.

- Oczywiście! - zapewnili zgodnie moi przyjaciele. - Nikomu innemu nie pozwoliliby się uratować. Milord jest taki zasadniczy...

A ja przez cały ten czas siedziałem w szafie w tym samym pokoju. Wkrótce na zewnątrz zahuczał władczy głos jedynej córki króla Plimutroka i oddział królowy Liony wyruszył na poszukiwania lorda Osiernicy. Hura! Chwilowo jesteśmy bezpieczni i można swobodnie odetchnąć.

- Obawiam się, że jeśli tu zostaniemy, Riesenkampf rzeczywiście zemści się na Wesnachhause.

- Macie rację... Boże, w jakich strasznych czasach przyszło nam żyć! - westchnął de Bras. - Moje miasto musi odmówić gościny najszlachetniejszemu z landgrafów! A przecież jesteście teraz ulubieńcem tłumu, powiem więcej, bohaterem narodowym...

- Dobrze, dobrze, bez przesady - przerwał mu Matwieicz. - Rycerzy nie należy zbyt rozpieszczać.

- Lordowi został może tydzień życia - oburzył się markiz - a ja nie mogę go nawet pochwalić na pożegnanie?

Odetchnąłem głęboko, starając się nie zwracać uwagi na ich spór. Staliśmy za południowymi murami Wesnachhause. Święto dobiegło końca, Lija i Buldożer już siedzieli na koniach, doskonale zaopatrzeni na długą drogę, a ja chciałem się jeszcze czegoś dowiedzieć.

- Powiedzcie mi, panowie, czy Riesenkampf włada wszystkimi narodami w waszym świecie?

- Właściwie tak... Gdzieś daleko na południu są półdzikie plemiona, które jeszcze nie podlegają jego władzy. Trafiają się również pojedynczy bohaterowie, gotowi walczyć z tym, co nieuchronne, ale z każdym rokiem jest ich coraz mniej. Ludzie szybko przyswajają sobie lekcje udzielane ogniem i mieczem... W peryferyjnych księstwach można spotkać magów, którzy mieli odwagę nie podporządkować się woli władcy Lockheimu. Jednak ich również jest niewiele. - Wyjaśnił mag-weterynarz.

Nie miałem więcej pytań. Markiz poradził nam wynająć statek i popłynąć jak najdalej od Zjednoczonego Królestwa. Objęliśmy się na pożegnanie, jeszcze raz obiecaliśmy, że nigdy o sobie nie

zapomnimy i nasza trójka wyruszyła w drogę. Zastanawiałem się nad kilkoma sprawami. Na przykład, jak długo zdołamy uciekać, skoro nie możemy się ukryć? A może by po prostu zaatakować? Tylko co nam to da? Gdyby rzeczywiście udało się podburzyć jakichś Beduinów, wciągnąć do współpracy kilkunastu magów i wtedy włączyć do świętej wojny całe królestwo... Tak, to niezły plan... przedstawiłem go nawet kiedyś królowej Tanitriel.

Tymczasem słońce wznosiło się do zenitu, a Wesnachhause skryło się za dziewiczymi lasami. Oddalaliśmy się już od wybrzeża, choć Jean twierdził, że morze nadal jest blisko. Pomysł podróży dokoła świata niezbyt mi się podobał - źle znoszą kołysanie. Morze to przecież nie delta Wołgi, a ja nawet tam czułem mdłości. Nie mówiąc już o tym, że na morzu łatwo natknąć się na piratów i różne smokopodobne stwory, których, zdaniem Lii, było tam za trzęsienie. Pewnie to przesada, ale szczerze mówiąc, nawet dwa potwory to już o dwa za dużo. Zostawmy morze wilkom morskim! Akurat tego dnia los był wyjątkowo łaskawy - wybawił mnie od natychmiastowego podjęcia decyzji i sam znalazł mi miejsce, gdzie ani Liona, ani kardynał, ani Rajumsdal do spółki z tatusiem nie znaleźliby mnie nigdy w życiu. Domyśliliście się już? Nie... Nie tam! Wyruszyłem prosto do piekła!

A wszystko rozstrzygnęło się wieczorem, gdy słońce chyliło się już ku zachodowi, a my zatrzymaliśmy się, wybierając na nocleg niewielki pagórek w pobliżu lasu. Zawsze ceniłem sobie wypoczynek na łonie natury, a teraz co chwila miałem okazję rozkoszować się świeżym powietrzem, głębokim granatem zapadającej nocy i smakiem prostego życia... Lija i Buldożer kręcili się wokół ogniska, a ja, jako ich pan, leżałem na swoim fioletowym płaszczu.

- Hej, Jean! Jak sądzisz, czy kardynał Cali to człowiek ambitny?

- Sądzą, że tak. Czemu pytacie, milordzie?

- Zastanawiam się właśnie, jak długo ma zamiar mnie prześladować. Co za wredny staruch! Przecież nie zrobiłem mu nic złego, a on w krótkim czasie zdołał rozkręcić przeciwko mnie całą kampanię. W jakim celu?

- W tym samym co Rajumsdal, Riesenkampf i cała reszta - wtrąciła się Lija. - To jakby zawody, w których zwycięzca zyskuje prawo zabicia samego landgraфа. Poza tym, nastawił pan przeciwko niemu królową i teraz Liona nie będzie go słuchać!

- To naprawdę okropne. - Skrzywiłem się. - Rozrywki na poziomie epoki kamienia łupanego. Nie lepiej zorganizować olimpiadę albo światowy zlot młodzieży, albo wybory Miss Wesnachhause, albo jeszcze coś innego... Jak będę miał wolną chwilę, nie omieszkam poprosić króla Plimutroka o tekę ministra kultury.

Urządzimy ośrodki wypoczynkowe, otworzymy kasyna i teatry... Nie opowiadałem wam jeszcze o varietes? W takim razie opowiem po kolacji. Jean, przynieś wodę, niech Lija przygotowuje jakiś ciepły posiłek.

- Mam iść nocą do strumienia?! - Oczy Buldożera rozszerzyły się ze strachu. Rzeczywiście, kawał drogi, strumień płynął dwa-dzieścia metrów od naszego postoju. - Ale, milordzie... a jeśli tam...

- Dawaj kociołek - rzuciła gniewnie Lija i twardym krokiem ruszyła w ciemność.

- Taak- mruknąłem dziesięć minut później. - Do strumienia i z powrotem dwa kroki, a tej nieznośnej dziewczyny ciągle nie ma!

- Może coś jej się stało?

- Akurat! Wilki ją zjadły, a może myszy nadgryzły? Nie bój się, gdyby tylko coś zauważyła, podniosłaby taki wrzask, że król Plimutrok by usłyszał. Ją tylko po śmierć posłać...

Dosłownie w tym samym momencie w kręgu światła stanęła Lija - lecz nie sama. Towarzyszyła jej wysoka postać w długim płaszczu z kapturem, z kosą na ramieniu. Dokładnie taka, jak u Holbeina. Po prostu... Śmierć!

- Milordzie - wyjąkał Buldożer- pozwolicie, że stracę przytomność?

- Wykluczone, ja pierwszy!

Lija stała nieruchomo, ręce zwisały jej bezwładnie, a niewidzące oczy wpatrywały się w dal. Śmierć zrobiła krok w naszą stronę i usiadła naprzeciwko mnie. Nie protestowałem, przyglądając się jej bez słowa. Biała czaszka z zielonymi światełkami w oczodołach, kosteczki palców ściskające drzewce kosy, czarna szata i przymilny głos:

- Pokój wam, wędrowcy!

- Siemanko - zdołałem wykrztusić.

- Pozwolicie, że ogrzeję się przy waszym ogniu?

- Jasne, jasne.

Milczenie przeciągało się.

- A może się napijemy?

- Co? - Zielone ogniki powiększyły się ze zdumienia.

- No, chłapniemy sobie, żeby uczcić zawarcie znajomości. -

Instynktownie wyczuwałem wiszące między nami napięcie i za wszelką cenę usiłowałem je rozładować. - Piwa nie mamy, więc może coś mocniejszego?

- O, doprawdy, nie wiem... - certowała się Śmierć.

To już była wyraźna kokieteria.

- Jean, przynieś butelkę! To co? Za znajomość?

- Suuuchaj, land...grafie! Nieee, nie patszz na nią, posuuchaj

mnie... Myyżlisz, że mnie ktoś lubi? Nikt! A jak mnie wzywają jak przywołują... Śmierci, przybywaj! Chcą umrzeć! Dajcie mi umrzeć w spokoju! 1 co? Łżą! Wszyscy łżą jak psy! Ja do nich przychodzę, a oni się dziwią. Oczy wytrzeszczają, że niby wcale nie wzywali. A co ja jestem? Ślusarz? O! Ty mi powiesz prawdę! Boisz się mnie?

- Tak. - Czknąłem szczerze.

- Czyli szanujesz... - Śmierć wyglądała na zadowoloną. - I ja ciebie szanuję! Ludzie wszędzie umierają, i tutaj, i w twoim świecie. Ja też muszę być wszędzie! I tu, i tam, i ówdzie... Jean! Coś się tak zasłuchał? Polewaj!

Buldożer posłusznie odkorkował trzecią, ostatnią już, butelkę.

I ja, i Śmierć i tak byliśmy już ululani, za przeproszeniem, w trupa. Początkowo próbowałem się kontrolować, ale starucha nie miała zamiaru pić sama. Mój giermek, sztywny ze strachu, sprawnie napełniał nasze kubki.

W ciągu półtoragodzinnej rozmowy dowiedziałem się jednego - Śmierć nie odda nam Lii.

- No, nie mogę! Nie mogę! Nawet mnie nie proś... uwierz mi, że tobie oddałabym bez gadania, ale nie mogę! To nie leży w moich kon... kom... petencjach...

- A w czyich? Proszę mi powiedzieć, w czyich? Pójdę i poproszę. ...

- Powiem... powiem... potem... - Śmierć poufale objęła mnie za ramiona i dysząc w twarz alkoholem wskazała palcem Buldożera.

- A ten czemu nie pije?

- Bo... - Zamyśliłem się głęboko i na długo. - Bo jemu... tego... zdrowie mu nie pozwala!

- A, wrzodowiec - Śmierć skinęła ze zrozumieniem. - Umrze zdrowszy... Zabawne, co? Cha, cha, cha...

- Bardzo zabawne. Zostawisz mi go?

- A bierz sobie! - Śmierć zrobiła szeroki gest dłonią. - Na co mi on? Mogę mieć nie takich... Ale dziewczyny nie oddam... nie mogę! Landgrafie! Zaśpiewajmy coś!

I zaśpiewaliśmy. Potem piliśmy, potem znów śpiewaliśmy, potem piliśmy i śpiewaliśmy, a potem już tylko piliśmy, ponieważ śpiewać nie byliśmy w stanie. Język odmówił posłuszeństwa.

Wydawało mi się, że wszystkie naturalne płyny mojego ciała zostały zastąpione przez alkohol. Z ogromnym trudem podtrzymywałem w mózgu ostatnie okruchy świadomości i ciągle dopytywałem, jak odzyskać Liję. Kto za to odpowiada? W czyjej to gestii? Nie udało mi się zbyt wiele dowiedzieć. Śmierć zawsze dokładnie wie, kogo i kiedy powinna zabrać, ale nie decyduje o tym sama, wskazówki otrzymuje z góry. Każdy człowiek ma

swój czas i swój cel przebywania na Ziemi, i wyglądało na to, że czas życia naszej przyjaciółki upłynął, a cel został osiągnięty. Nie ma się o co spierać, z panem Bogiem przecież się kłócić nie będę! Ale ciągle nie mogłem pozbyć się wrażenia, że gdzieś tam zaszła pomyłka, przykre nieporozumienie... W przeciwnym razie wszystko tracilo sens. Rycerz nie może istnieć bez swojego pazia! Zaraz, ja chyba bredzę! To wszystko z rozpaczy... Po prostu nie wyobrażałem sobie dalszej drogi bez tej dziewczyny. Niebezpieczeństwa i ciężkie próby, śmiech i łzy, radości i smutki tak nas ze sobą związały, że nawet oddychaliśmy unisono. Owszem, krzyczałem na nią i nadal będę krzyczał... Chociaż nie, teraz już nie będę. Ja i Buldożer zostaliśmy sierotami.

- A jeśli ja... jeśli sam... sam po nią pójde?

- Sam? Coś ty, pijany?

Uczciwie skinąłem głową. Pijany, i to jeszcze jak!

- Ci, co umierają, odchodzą w Mrok. Tam jest tak ciemno, tak ciemno jak... sama nie wiem. Tam panuje taki mrok... Nie idź tam!

- Pójde!

- Daj spokój! Polubiłam cię... Nie idź!

- Pójde! I to już... zaraz... tylko wstanę...

- Uwważaj, landgrafie... Uprzedzałam cię. Żebyś potem nie mówił, że nie uprzedzałam... Słuchaj uważnie: jest góra. O, tu! A tu jaskinia. Głębooka! Na jej dnie jest i raj, i niebo, no, coś w rodzaju rozprze... rozpier... rozdzielnika. Gdybyś był kiedyś w tych stronach, zapraszam!

- A wtedy mi ją oddadzą?

- Kto ich tam wie... Przez cały ten czas jeden Orfeusz... i on też... taki niby zakochany... - Śmierć przywołała Jeana, wstała z jego pomocą i kołyszac kosą, podeszła do Lii. Myślałem, że Śmierć zachwieje się i upadnie, ale staruszka trzymała się dzielnie. Przez głowę przemknęła mi pewna nikczemna myśl: oceniłem odległość i wyciągnąłem ręką po miecz... A potem oprzytomniałem. No nie, przecież nie będą walił kościstej babuleńki w łysy czerep, w dodatku tuż po przyjacielskiej popijawie! Tym bardziej za coś, czemu właściwie nie jest winna. Śmierć wzięła Liję za rękę, odwróciła się ostatni raz i popatrzyła na mnie absolutnie trzeźwym spojrzeniem.

- Nie jesteś głupi, landgrafie! Widziałam, jak sięgałeś po broń, ale zrobiło ci się wstyd... jesteś przecież rycerzem! Sława lorda Osiernicy dociera wszędzie! Nazywają cię obrońcą czci i szlachetności, a także orędownikiem niewinnie skrzywdzonych. Twoje życie jest niczym kropla rosy na liściu: jedna chwila i kropla spadnie w niebyt... albo wyparuje ku słońcu. Cóż, żegnaj, lordzie Osiernico, obrońco i orędowniku, trzynasty landgrafie Miecza Bez

Imienia. Życzę ci, żebyśmy się więcej nie widywali. Chociaż coś mi się wydaje, że jeszcze kiedyś się napijemy.

Lija zniknęła, a starucha z wyszczerbioną kosą na ramieniu rozpląnęła się w powietrzu. Jean płakał, kryjąc twarz w moim płaszczu, a ja patrzyłem tępo w ogień, póki ognisko nie zaczęło dogasać. Myślałem krótkimi obrazami. Lija. Mrok. Góra. Jaskinia.

Znowu Lija... Łzy ścisnęły mi gardło, ale tym razem nie mogłem pozwolić sobie nawet na chwilę słabości.

- Jean!

- Tak, milordzie...

- Dość tej żałoby, mamy za dużo spraw do załatwienia. Zaraz wytrzeźwieję i ruszamy.

- Dokąd?

- Po Liję. Myślisz, że ją tak zostawię? Musimy znaleźć tę górę, jaskinię i wejście w Mrok.

- Lordzie Osiernico, przecież nie wiemy nawet w przybliżeniu, w jakim to kierunku! Ale i tak pójdę za wami jak wierny pies, a jeśli stchórzę, zabijcie mnie jak kundla!

- Zabawna gra słów... - Uśmiechnąłem się. - Ale masz rację, potrzebny nam przewodnik. Kto może znać drogę do świata pozagrobowego?

- Jakaś siła nieczysta? - zasugerował mój giermek.

- To logiczne. - Wprawdzie nie znaleźliśmy zbyt wielu sił nieczystych, ale...

- Weronika! - wrzasnęliśmy jednym głosem.

Czarnowłosa wiedźma z Cichej Przystani, którą uratowałem przed stosem, już dwa razy ocaliła mi życie. Jest wprawdzie młoda, niedoświadczona i niedouczone, ale ma to nawet pewien urok. Najważniejsze, że Weronika nas lubi i nigdy nie zastanawia się zbyt długo, gdy trzeba działać.

Skoczyliśmy na równe nogi i zdeterminowani rozdarliśmy się na cały las:

- Weroniiiiikaaaa!!!

Odniosłem wrażenie, że księżyc aż się wzdrygnął na ultramarynowym nocnym niebie. No dobrze, księżyc może nie, ale nadpływające chmury od naszego wrzasku szybko zawróciły.

To nie było żadne umówione hasło, tradycyjna metoda wzywania pomocy czy, na przykład, uproszczona wersja starożytnego zaklęcia. Nie. To tylko podświadoma reakcja dwóch zagubionych mężczyzn, beznadziejna próba otrzymania tego, co chce się dostać właśnie teraz, już, natychmiast!

I zadziało! Jak, dlaczego, z jakiej racji - nie wiem i w ogóle mnie to nie obchodzi. Najważniejsze, że dosłownie sekundę później zaspana Weronika w nocnej koszuli runęła w moje objęcia z takim impetem, że upadłem na trawę.

- Ojejku, to wy, milordzie?
- Jean, zobacz! Przyjechała!
- Jean? Witam tchórzliwego rycerza. Co się właściwie stało? - Młoda czarownica rażno skoczyła na nogi i krytycznym spojrzeniem obrzuciła okolicę. - Jak się tu dostałam w środku nocy? Gorgulia będzie się niepokoić...
- To może ją jakoś uprzedzimy? - zasugerował Buldożer.
- Zaraz spróbuję. - Dziewczyna skinęła głową i zaczęła coś mamrotać pod nosem. Potem machnęła rękami i... korpulentna wiedźma Gorgulia Times, przywódczyni Cichej Przystani, w samej tylko koszuli znalazła się w ramionach Jeana. Na polanie zapanowało niejako ożywienie.
- Znowu coś poplątałam... - Weronika pokręciła głową. Gdy w końcu zapanował jaki taki spokój i wprowadziłem czarownice w istotę sprawy, wszyscy zrobili miny świadczące o głębokim namyśle.
- Poproszę o wypowiedzi według starszeństwa.
- Nie ma co, niezłą rozrywkę sobie wymyśliliście, landgrafie - powiedziała sarkastycznie Gorgulia, która dopiero co przestała miotać wściekle przekleństwa pod adresem Weroniki, Buldożera, moim, wszystkich świętych, demonów świata podziemnego i matek wszystkich narodowości. - Z tego, co pamiętam, nikt nigdy nie odważył się wejść w Mrok. A już na pewno nikt nie wrócił stamtąd żywy... A wy jeszcze chcecie wyciągnąć swoją przyjaciółkę! Uprzedzałam, że z tą dziewczyną jeszcze będą kłopoty! Nie trzeba się było wtedy wtrącać, zjedliby ją i po kłopotcie.
- Dajmy spokój wspomnieniom - zaprotestowałem. - Lija towarzyszyła mi od początku, od dnia, w którym zjawiłem się w waszym świecie. Może nie jest aniołem i języczek ma ostry, ale kto przez cały ten czas troszczył się o mnie i o Jeana? Kto nas strzygł, karmił, kto łagodził swoją kobiecością naszą męską twardość?
- Święta prawda! - przytaknął Buldożer.
- Jest nieprzyjemna i złośliwa - przypomniała Weronika.
- Przywykliśmy.
- Przyciąga różnych łajdaków - poparła młodą wiedźmę Gorgulia Times.
- Jest w tym nawet pewien smaczek - odcięliśmy się.
- Czy wy naprawdę nie możecie się bez niej obejść?
- Przecież ktoś musi robić milordowi kanapki! - oburzył się szczerze Jean.

Po chwili zastanowienia przyznałem mu rację.

- I co z takimi robić? - Obie czarownice jednocześnie klasnęły w dłonie. - Ze zwykłymi chłopami zawsze można się dogadać, ale ci dwaj... Landgraf i rycerz, dobrali się w korcu maku. Po raz ostatni odwołujemy się do resztek waszego zdrowego rozsądku!

- Nie! - oznajmiłem uroczyście i wstałem. - Wszystko, co chciałem powiedzieć, już powiedziałem. Nie mam nic do dodania, nie będzie żadnych powtórek czy poprawek. Jean, dodaj coś górnolotnego, byle na temat.

- Prędzej Liona zostanie mniszką, król Plimutrok praczką a księżę Rajumsdal inteligentem niż lord Osiernica, obrońca i orędownik, trzynasty landgraf Miecza Bez Imienia, nie dotrzyma danego słowa!

Muszę przyznać, że zabrzmiało to przekonująco. Jak widzicie, za sprawą Śmierci mój tytuł dosłownie w oczach nabierał znaczenia.

- A... do diabła z tym wszystkim! A więc macie tylko jeden problem: gdzie szukać Mroku?

- Dwa problemy - poprawiła Weronika swoją nauczycielkę. - Ten drugi to ja! Nie można przecież dopuścić, żeby milord wyruszył w taką podróż bez magicznego wsparcia!

- Po moim trupie! - wybuchnęła Gorgulia. - Oni umrą tak czy inaczej, ale ty jesteś za młoda na takie przedsięwzięcia! Uczyć się, uczyć i jeszcze raz uczyć... pamiętasz, kto to powiedział?

i r\A

- Tak. - Weronika uśmiechnęła się złośliwie. - Pamiętam również, że Cicha Przystań to wolny związek wolnych czarownic. I mogę odejść stamtąd w każdej chwili, ponieważ mamy demokrację! Gorgulia Times zaklęła cicho przez zęby i splunęła w ogień tak, że płomień zmienił kolor na seledynowy. Nie miała już kontrargumentów. Zgodnie z niepisanym kodeksem czarownic Cichej Przystani, jedna wiedźma mogła powstrzymać drugą wiedźmę jedynie przed tak lekkomyślnym krokiem jak dobry uczynek.

- Dopilnujecie dziewczyny, landgrafie?

- Oczywiście. Nie nalegałbym na jej uczestnictwo, gdybym mógł sobie sam poradzić. Ale obiecuję zwolnić ją natychmiast, jak tylko odnajdziemy wejście do Mroku.

- O nie! Proszę! - Weronika omal się nie rozpląkała. - Pozwólcie mi popatrzeć na to wszystko do końca! W świecie pozagrobowym jest na pewno tyle ciekawych rzeczy! Domena Śmierci, gdzie na każdym kroku czyha śmiertelne niebezpieczeństwo, każde westchnienie niesie ogromne ryzyko, a każda chwila na tyle przybliża cię do wieczności, że nawet nie poczujesz przejścia! Nieboszczycy, szkielety, mumie, złośliwe czarty, straszliwe demony, żywe trupy i czerwonoookie wampiry... A przecież na pewno komuś przyłożycie, prawda, milordzie?

- Wyłącznie dla ciebie. - Odchrząknąłem. Lista potencjalnych atrakcji zacisnęła mi gardło i wzmogła gorące pragnienie natychmiastowego powrotu do domu.

- Cóż... - Gorgulia rozłożyła ręce. - W takim razie jestem zmuszona pokazać wam drogę do Mroku. A zresztą... dlaczego nie

mielibyście rozruszać trochę tego sennego królestwa?

Wszystko okazało się szalenie proste. Wzięliśmy ze sobą wyłącznie niezbędne rzeczy, konie powierzyliśmy opiece wiedźmy i stanęliśmy przed ogniskiem, trzymając się za ręce. Gorgulia Times dorzuciła chrustu, sypnęła na węgle jakiś proszek, przykucnęła przy malinowym płomieniu i wymruczała niezbędne zaklęcia. Ściskaliśmy się mocno za dłonie - a raczej Weronika ściskała moją, bojąc się, że się rozmyślę i pozabawię ją wspaniałej przygody, a ja mocno trzymałem rękę Buldożera z obawy, że rycerz w ostatniej chwili stchórzy i ucieknie.

- Zróbcie krok do tyłu! - krzyknęła niespodziewanie naczelna wiedźma.

Posłusznie wykonaliśmy rozkaz.

- Odwróćcie się!

Rany boskie, gdzie my jesteśmy?! Zupełnie inne miejsce, inny krajobraz, inny czas! Szary dzień, puste pole, mgła, a przed nami góra, wznosząca się na niewyobrażalną wysokość. I jaskinia. Odwróciłem się i chciałem zapytać Gorgulię... ale gdzie tam! Ona została przy ognisku, a my byliśmy już na miejscu.

Z pamięci wypłynęło nagle: „Stacja końcowa. Proszę opuścić wagony”...

Zazdroszczę postaciom utworów Juliusza Verne'a, Rogera Żelaznego czy innych takich, wszystkim literackim bohaterom, którzy, obdarzeni niezwykle zdolnością wplątywania się w koszarne historie, mieli przy tym równie nieprawdopodobne szczęście. Jeśli ktoś miał wykształcenie techniczne i stopień naukowy, potrafił spokojnie rozwiązać swoje problemy metodami naukowo-technicznymi. Inny mógł się pochwalić ogromną siłą walecznością oraz nieoczekiwanymi zdolnościami magicznymi, o które nawet się nie podejrzewał; a jeszcze inny, nie dość, że przypadkiem nauczył się władania mieczem w klubie miłośników rycerstwa, to zdołał zabrać ze sobą do innego świata zapalniczkę, scyzoryk wielofunkcyjny oraz kieszonkową bazukę o nieprawdopodobnych możliwościach działania. Brano ich za czarowników, magów, herosów, a nawet bogów; podporządkowywały się im całe plemiona, posłuszne im były rozmaite potwory, zakochiwały się w nich najpiękniejsze kobiety świata, zazwyczaj księżniczki i czarodziejki, i żadna nie domagała się ślubu. Bez mrugnięcia okiem znosili tortury, zwyciężali w pojedynkach i kładli pokotem całe rzesze wrogów, rozprawiając się z nimi na sto różnych sposobów. Byli inteligentni, dowcipni, przystojni i wykształceni... Jakże nieciekawie wyglądaliśmy w porównaniu z tymi chodzącymi doskonałościami! Ja - w ogóle nietutejszy. Jedyne, co umiem, to trzymać w garści Miecz Bez Imienia. Jean to silny, sprawny fizycznie romantyk, ale jednocześnie bezbronny i tchórzliwy panikarz. Weronika, po-

siadaczka pięknego nosa, jest tylko niedouczoną wiedźmą a to gorsze niż katastrofa. Taki mam oddział specjalny szybkiego re-
agowania...

Zazdrościłem moim przyjaciółom niewzruszonego spokoju.

W ich średniowiecznym światopoglądzie nie mieściła się myśl, że lord Osiernica mógłby popełnić błąd, przegrać czy też wpaść w pułapkę i wszystkich zgubić. Byłem dla nich niepodważalnym autorytetem.

- No i co, idziemy? - nie wytrzymała Weronika. Wzruszyłem ramionami i jeszcze raz z Buldożerem sprawdziliśmy ekwipunek. Miałem na sobie ciepłą koszulę w kratkę, dżinsy, adidasy, fioletowy płaszcz, a pod pachą Miecz Bez Imienia. Wszystko w porządku. Jean zostawił zbroję, ograniczając się do kolczugi, z uzbrojenia zaś miał kindżał. No i Weronika - koszula nocna, pudełeczka i buteleczki przy pasie, rozczochrane włosy i miotła w ręku.

- Naprzód!

Powiem wam szczerze, że już nawet się nie bałem. Piekło to piekło! Przynajmniej nie będzie tam Riesenkampfa... Gdy po dwudziestu minutach marszu dotarliśmy do jaskini, zobaczyliśmy, że przy wejściu wisi - nie uwierzycie! - skrzynka pocztowa! Weronika wsunęła do szczeliny wąską dłoń i wyjęła niebieską kopertę. Znaczka nie było, po drugiej stronie widniała czarna lakowa pieczęć z odcisniętą koroną i trójkątem. Napis na kopercie głosił: Do lorda Osiernicy, landgraфа Miecza Bez Imienia. Otworzyć po przybyciu. No proszę, ani minuty spokoju... Otworzyłem kopertę i przeczytałem:

Szanowny Andrieju Olegowiczu!

Widzę, że nie posłuchał pan żadnego z pośrednich ostrzeżeń, jestem więc zmuszony zwrócić się do pana bezpośrednio. Zapewniam, że szczerze bawią mnie te wydarzenia i muszę przyznać, że tym razem Miecz wybrał godną osobę. Pańskie szczęście oraz umiejętność dobierania sobie przyjaciół budzą we mnie podziw. Sądzę, że jako inteligentni ludzie zdołamy dojść do porozumienia. Odrzucimy całą romantyczną otoczkę i wrócmy do rzeczywistości.

Gotów jestem o wszystkim zapomnieć i odesłać pana do domu, przy czym obiecuję skasować tylko te fragmenty pańskiej pamięci, które bezpośrednio dotyczą naszego świata. Pan ze swej strony odda mi Miecz Bez Imienia. Daję również słowo dżentelmena, że nie będę się mścił na pańskich towarzyszach. Może pan być pewien, że taka łagodność nie leży w mojej naturze.

Mam nadzieję, że po namyśle podpisze się pan pod naszą umową. Lii i tak już nic nie uratuje.

Długopis znajdzie pan w tej samej skrzynce. Przypominam, że nadal kontroluję wszystkie pańskie działania i daję pięć minut do

namysłu.

Z poważaniem,

Riesenkampf

PS. Tanitriel jest akurat nieobecna, więc przekazuję panu w jej imieniu pożegnalne pozdrowienia. Proszę o niej zapomnieć.

Z wrażenia usiadłem na kamieniu. Gdy Weronika ostrożnie badała wnętrze jaskini, ja i Jean przeczytaliśmy list po raz drugi.

- Myślę, że powinien pan побыć chwilę sam. Pójdę zobaczyć, co tam robi nasza czarownica.

Widzicie, co za spryciarz? Specjalnie tak powiedział, żeby cały ciężar decyzji spadł na moje barki. Ale tym razem nie musiałem się długo zastanawiać. Za bardzo byłem tym wszystkim zmęczony. Facet ma rację, trzeba się jakoś dogadać. A co się tyczy kasowania pamięci... Nasza medycyna robi takie postępy... Jakoś to będzie! W każdym razie muszę spróbować. Wyciągnąłem rękę, wyjąłem ze skrzynki długopis i...

- Milordzie! Na pomoc, milordzie!

Co znowu?! Chwyciłem miecz i pobiegłem do jaskini. Widok był dość zabawny. Czterech najprawdziwszych diabłów, z rogami i ogonami, próbowało wepchnąć do Mroku opierającą się Weronikę.

Dwóch innych tradycyjnymi widłami przyciskało do ściany Buldożera. Na mój widok porzucili Jeana i wycelowali widły w moją stronę. Podeszli do sprawy bardzo poważnie. Ach, wy złośliwe paskudztwa! Miecz Bez Imienia załatwił sprawę w pół minuty.

- Milordzie, zabrali Weronikę! Nie odważyłem się...

- Do licha, Jean! Czy choć raz mógłbyś dać komuś w mordę bez mojej podpowiedzi?! Szybko, za nimi!

Przed nami była dwumetrowa brama ziejąca czarnym otworem.

Za nim była iście galaktyczna, absolutnie nieprzenikniona ciemność, tak gęsta, że pewnie można by ją kroić nożem. Później zrozumiałem, że to wszystko nie jest takie proste, ale wtedy nie miałem czasu na długie rozmyślenia. Przecież obiecaliśmy oddać Weronikę w jednym kawałku! Pchnąłem Buldożera do przodu i trzymając go za pas, wszedłem w Mrok. I dopiero wtedy uzmysłowiłem sobie, że z tego wszystkiego nie zdążyłem podpisać umowy...

Wejście w Mrok przypominało błędzenie w ciemnym pokoju z wyfroterowaną podłogą. Nogi się ślizgały, oczy nie widziały kompletnie nic. Orientowaliśmy się na słuch, bo stłumione piski młodej czarownicy powtarzały się co parę chwil. Ja kłąłem pod nosem, a mój giermek chyba otepiał ze strachu, bo szedł w milczeniu, płynnie i bezwolnie, jak somnambulik. Poza tym nic szczególnego w tym Mroku nie było. Żadnych jęków, potępieńczego wycia, zgrzytania zębami ani nawet złowieszczonego chichotu... Na nic nie wpadaliśmy, o nic się nie potykaliśmy, nigdzie nie spadaliśmy. Szczerze mówiąc, w ogóle nie myślałem o podobnych niespo-

dziankach - głównie denerwowałem się tym, że Gorgulia Times wytarga mnie za uszy, jeśli nie dogonimy i nie odbijemy młodej czarownicy. Dziesięć minut później zamajaczyło przed nami słabe i niewyraźne, ale jednak światelko. Teraz mogliśmy już dostrzec rozmazane sylwetki porywaczy. Dodało mi to otuchy - wydałem okrzyk bojowy i przyspieszyłem kroku. Wkrótce znaleźliśmy się w przestronnej grocie, zalanej seledynowym światłem, płynącym nie wiadomo skąd. Cztery diabły, które porwały Weronikę, przystały niezdecydowanie, a jeden z nich - wysoki czart z bokobrodami - odwrócił się do mnie gwałtownie.

- O co chodzi?

- Słucham? - spytałem zaskoczony.

- Czemu się pan do nas przyczepił? Czekałem na wyjaśnienia.

Miota się pan, grozi nam bronią, zachowuje się w sposób bezczelny, a na oko taki kulturalny człowiek...

- Nie rób ze mnie wariata, inteligencje parszywy! - wybuchnąłem. - Nie powiedzieliście ani dzień dobry, ani pocałuj mnie w..., zabraliście naszą Weronikę i jeszcze udajecie obrażonych!

- Gniew to jeden z siedmiu grzechów głównych - pouczył mnie diabeł. - A twój Bóg kazał przebaczać i kochać bliźniego swego...

- Ej, bo ci dołożę!... - W mojej dłoni zabłyśnięcie Miecza Bez Imienia. Naprawdę, gdy tak słuchałem, jak diabeł cytuje mi Biblię, miałem ochotę kłaść na poziomie nietrzeźwego kryminalisty z piętnastoletnim stażem.

Mój rozmówca wzruszył ramionami.

- Przecież to wiedźma, czyli jakby nasz człowiek. W waszym świecie zostałyby spalona.

- Lordzie Osiernico! - krzyknęła Weronika, wyrывая się z łap pozostałych diabłów. - Ja im zaraz... Oddaj miotłę, łobuzie! Ja wam pokażę!

- Ta dziewczyna jest moim przyjacielem! Puścić ją w tej chwili i bez dyskusji! Nie spodziewajcie się dziś po mnie łagodności i cierpliwości.

- Czy to przemyślana decyzja? - zapytał zimno diabeł. - Nie zapomniał pan przypadkiem, gdzie się znajduje? Nie obawia się pan nieodwracalnych konsekwencji swojego czynu? W takim razie proszę ją sobie wziąć!

Młodą czarownicę pchnięto w ramiona Jeana, po chwili oddano również miotłę. Diabeł z bokobrodami pstryknął palcami i w sali zjawiono się wsparcie - około pięćdziesięciu czartów. Nawet nie miałem czasu zastanawiać się i dziwić, kogo właściwie mam przed sobą. Stworzenie mityczne, ożywiony folklor, bohatera klechdy i legend, niewiarygodny kaprys natury z ogonem i różkami? Co za materiał dla uczonych! Nowo przybyłe diabły, różnej wielkości i umaszczenia, uzbrojone w widły, bosaki i trójzęby, szykowały się

do bardzo radykalnych działań.

- Zasadzka! - wykrzyknął domyślnie przenikliwy Buldożer.

Co za intuicja! W życiu bym się nie domyślił...

- Nie chcecie oddać jej dobrowolnie, to zabierzemy waszą towarzyszkę w charakterze trofeum wojennego.

Weronika potrząsnęła głową, prychnęła, tupnęła i ogony diabłów, które nas tu zwabiły, zostały związane w marynarski węzeł. Biedne czarty daremnie odbijały się od siebie tyłkami, skowycząc i zlorzecząc - węzeł trzymał mocno.

- Słuchajcie, nas tak łatwo nie weźmiecie. Jesteśmy doświadczonymi i wyrachowanymi zabójcami - w tej sytuacji należałoby może raczej powiedzieć „samobójcami”... - i wysłaliśmy na tamten świat całe tłumy wrogów. Ja jestem lord Osiernica, okrutny landgraf sięjącego grozę Miecza Bez Imienia; to jest Buldożer, bezlitosny siłacz, który rocznego byka posyła na deski jednym kuksańcem, a ta dziewczyna to złośliwa wiedźma Weronika, mistrzyni junierek Cichej Przystani. Nie chwalimy się, konstatujemy jedynie fakty, z których jasno wynika, że nie powinniście wchodzić nam w drogę.

- To szalenie pasjonujące, lordzie Osiernico, i nie będziemy dłużej udawać, że was nie znamy - odparł uprzejmie diabeł z bokobrodami, porzucając daremne próby rozplatania ogona. - Ale dostał pan chyba list przed wejściem?

- Owszem.

- Skoro zatem nie posłuchał pan dobrej rady Riesenkampfa i wszedł tutaj, nie mamy wyboru i musimy zrobić to, co do nas należy. W innych warunkach z rozkoszą podyskutowałbym z panem na różne abstrakcyjne czy nawet filozoficzne tematy, ale teraz... Żegnaj, milordzie.

- Śmierć! - ryknął tłum czartów.

Pierwszą falę atakujących odparliśmy bez problemu. Miecz Bez Imienia niszczył wrogów, Weronika machała miotłą nie gorzej niż kozak doński i nawet Buldożer dzielnie pracował potężnymi pięściami. Nie przejmując się zaścieniającą podłogę warstwą zabitych i rannych, diabły okrzyki nas, atakując ze wszystkich stron jednocześnie. Co to była za bitwa! Ładna by z tego wyszła ikona, nie gorsza od tej, na której święty Jerzy walczy ze smokiem. Zmęczenie poczuliśmy dopiero pół godziny później. Stwierdziliśmy, że dajemy z siebie wszystko, a wrogów nie ubywa! Diabłów zrobiło się tyle, że nie było już czym oddychać. Przyznaję, że nie brałem tej walki na serio, dopóki widły nie wbiły się Jeanowi w ramię. Zapach krwi wyraźnie dodał napastnikom wigoru. Weronika leciała z nóg ze zmęczenia, mnie podtrzymywał już tylko miecz... i w tej krytycznej chwili za plecami diabłów rozległ się zgodny okrzyk:

- Huraa!!!

Nie wierzyłem własnym uszom! Skąd tutaj, teraz, ten znajomy,

zwycięski wrzask? Ale to nie było złudzenie - w gęstwie rogatego i ogoniastego plugastwa rzeczywiście zjawili się krzepcy wojownicy w słowiańskich hełmach i szala zwycięstwa rychło przechyliła się na ich stronę. Diabeł z bokobrodami uwolnił wreszcie swój ogon, ze łzami wściekłości rzucił trójzębem o ziemię i grożąc komuś pięścią, zawył żałośnie:

- Złobynia Nikitycz! To znowu wy! Naprawdę mi to obrzydło! Oparłem się o ścianę. Pozwólcie odetchnąć, bracia... Jednak żyjemy...

Weronika opatrywała ranę Buldożera, wojownicy zajmowali się swoimi sprawami: czyścili broń, poprawiali zbroje, szykowali kolację, zerkając dyskretnie na moich towarzyszy, a ja wdałem się w pogawędkę z kniazem Złobynia Nikityczem. Złobynia był niższy ode mnie, szerszy w ramionach, twarz miał zwyczajną, oczy szare, a włosy ostrzyżone na pazia, ale byliśmy w jednym wieku i dlatego od razu pojawiła się między nami nić sympatii.

- Słyszałem o twoich nieszczęściach, bracie. Ciężki jest krzyż landgrafa... Ile ten Rizka (to o Riesenkampfe) zła nawyczyniał... Ilu ludzi zgubił, dusz chrześcijańskich, wojów, chłopów i robotników! Ludojad! Istny ludojad!

- Co prawda, to prawda. Doprowadzi mnie kiedyś do tego, że...

- Tylko się nie spiesz - uspokajał mnie kniaź. - Na moją pomoc zawsze możesz liczyć. Nie pozwolimy cię skrzywdzić! Jeszcze mój dziad z jego dziadem na śmierć się bili, i zginął dziad, widać rozgniewaliśmy Boga... Ale mój rodzic stanął do walki i zemścił się na bisurmanie. Mam ja z jego rodziną zadawnione porachunki. A już z samym Rizką...

- Przepraszam, ale co on ci takiego zrobił? - palnąłem bez zastanowienia.

Oczy Złobyni zwęziły się.

- A co, historii nie znasz? Skoro miecz nosisz, to przypomnij sobie, ilu landgrafów było przed tobą.

- Ponoć dwunastu...

- Ponoć? Nie gniewaj się, ale nieuk jesteś! W rzeczy samej, dwunastu. A kto był ostatni?

- Nie wiem.

- To ci powiem! Kniaź Dymitr Potężny, brat mój starszy. I nie ma go już... Ten przeklęty drań zgubił mego brata i całe jego wojsko, a nas tutaj zagonił, żebyśmy wszyscy szczęśli. Bo czy w tym piekle ktoś prócz nas, Rusinów, mógłby przeżyć?

Przegadaliśmy tak dwie godziny. Powoli zaczynałem wszystko rozumieć. Po pierwsze, to wcale nie było piekło. To znaczy, nie prawdziwe piekło w naszym rozumieniu tego słowa. Raczej swego rodzaju świat zasiedlony diabłami, biesami, demonami i inną siłą nieczystą. Złośliwe czarty miały tylko jeden cel i jedno marze-

nie - schwytać kogo się da i zadreńczyć. Stuknięte towarzystwo, ale co poradzić? Tradycyjnego męczenia grzesznych dusz tu nie było. Za to rozmaite te kotły, patelnie, wieczny ogień piekielny i rozpalone żelazo stosowano wobec żywych ludzi, przy czym takie zabawy kończyły się zawsze tak samo: powolną śmiercią w męczarniach. Domyśliłem się, że w tym jaskiniowym świecie nigdy nie było zbyt wielu ludzi, a potem diabły stopniowo wykończyły nawet niedobitków. Rusini żyli z dala od Zjednoczonego Królestwa, że tak powiem, za siedmioma górami. Po nieudanej wyprawie przeciwko Riesenkampfowi ich wojsko zostało rozgromione, baron Dymitr skazany i stracony, miasta spalone, ludzie zaś ukrywali się w lasach. Jeden tylko Złobynia nie dał za wygraną i nadal dręczył wroga ze swoją niewielką, dwuosobową drużyną, za co Riesenkampf postanowił wrzucić ich do Mroku.

Początkowo diabły zawyły z radości. Potem już tylko jęczały z rozpacz. Ruscy junacy okazali się poważnym problemem. I chociaż oddział kniazia stopniowo topniał, szeregi rogatych również nieźle się przerzedziły. Zresztą, już sam fakt, że w takich warunkach chłopcy się nie poddali, nie złamali, lecz zjednoczyli i pokazali czartom, na co ich stać... W tej chwili byłem naprawdę dumny ze swojej ojczyzny!

Opowiedziałem Złobyni całą naszą historię, mając już pewność, że zdobyliśmy potężnych sprzymierzeńców. Pomysł wydostania się z Mroku i ponownego zaatakowania Riesenkampfa zachwycił ich, musiałem nawet zwołać niewielki, spontaniczny wiec.

- Uważa się za niepokonanego - mówiłem - ale przecież biliśmy, bijemy i będziemy bić tego podłego łajdaka! Spalił wasze miasta, odebrał wam rodziny, zabił waszego landgrafa, a was samych rzucił diabłom na pożarcie. Czy takie krzywdy można zapomnieć?

- Nie!! - rozległ się zgodny ryk, aż zadrżało sklepienie.

- Jesteśmy wolnymi Rosjanami! Mnie na przykład Riesenkampf skrzywdził wyjątkowo. Nie dość, że wrzucił do tego niedorobionego świata, to jeszcze... Zresztą, to już sprawa między nim a mną. Riesenkampf jest wrogiem nas wszystkich! Jean, mów ty...

- Ten tyran trzyma w garści całe Zjednoczone Królestwo. Płacą mu daninę, a jego syn wyprawia najróżniejsze bezeceństwa, nie bojąc się ni ludzkich, ni boskich praw. Razem z lordem Osiernicą nieraz odpieraliśmy jego ataki, ale on podąża naszym śladem jak dziki zwierz! Weronika, teraz ty...

- Jego władza rozprzestrzenia się niczym dżuma. Na świecie zapanował chaos. Najlepsze wiedźmy Cichej Przystani skłaniają się do opinii, że kraj potrzebuje żelaznego władcy. Liczy się sytość i stabilizacja - a kto, jeśli nie Riesenkampf, mógłby to zapewnić? I co w rezultacie czeka nas wszystkich?

- Dyktatura! - Jak na prostych wojowników, byli nieźle zorien-

towani w politologii. Złobynia Nikitycz wyciągnął zza pasa topór i unosząc go nad głową, ryknął:

- Bracia! Okażmy się godni naszej ojczyzny! Pomóżmy lordowi Osiernicy przywrócić sprawiedliwość! Głowy złożymy, ale nie pozwolimy, by Ruś została zhańbiona przez Rizkę!

- Huraaa!...

Jakiś siwobrody wojownik chwycił mnie za rękaw i z dziecięcą naiwnością zapytał:

- A smok Gorynicz będzie?

- Będzie! - obiecałem. - Wszyscy będą! I Baba Jaga, i Kościej Nieśmiertelny, a już różnych tam zbójów Madejów dosłownie będzie na pęczki. Ale przed naszą wyprawą muszę załatwić pewną drobną sprawę.

- Jaka? - Książ przysunął się do mnie.

- Odszukać Liję...

- Jest tu takie jedno miejsce - powiedział w zadumie Złobynia Nikitycz - tak mroczne, że nawet diabły je omijają. Przed wejściem leży kamień, cały biały, a w nim dwa małe kamyczki, jakby oczy. Przechodziliśmy tamtędy, ale do środka nie weszliśmy, bo strach. Mogiła stamtąd pachnie...

- O Boże... - Buldożer przeżegnał się.

- Mrok jest jeden, więc trafiliśmy dobrze - stwierdziłem. - Nie sądzę, żeby Śmierć miała powód, by nas okłamywać, więc Lija musi gdzieś tu być. Może właśnie w tym miejscu, a może pośród diabłów...

- O, to byłoby dla niej idealne towarzystwo - przerwała mi Weronika. - Wasza przyjaciółka, milordzie, zawsze przyciągała różnych oczajduszów!

- Powinnaś się wstydzić - oburzyłem się. - O zmarłych mówi się albo dobrze, albo wcale!

- Już nie będę. Przecież jestem tu po to, żeby pomóc wam ją stąd wyciągnąć... - spokorniała młoda wiedźma.

- To czas na nas! - Książ wstał. - Dziewka ma rację, najpierw musimy poszukać wśród czartów. Żeby tylko z tej waszej biedaczki nie przyrządzili zupy, jak to mają w zwyczaju...

- O, co to, to nie! Ona sama mogłaby... - zaczął Jean, ale urwał widząc moje spojrzenie. - Pójdę z wami. Ramię już mnie prawie nie boli! Pozwolicie, milordzie?

- Zobaczmy...

Drużyna kniazia zebrała się w ciągu dziesięciu minut. Zorganizowane wojsko, przyjemnie się z takim pracuje... Długo wędrowaliśmy szerokimi korytarzami podziemnego świata. Okolica, jeśli można się tak wyrazić, była dość urozmaicona: kolumnady, gzymsy, sklepienia, mosty, wąskie przejścia... Pod nogami lśniące kamyczki, może nawet bryłki złota? Chociaż, komu tu potrzebne złoto? Było nawet dość widno. Znajdowaliśmy się pod ziemią,

a wydawało się, że światło płynie zewsząd. Zagadka natury! Kilka razy natknęliśmy się na duże zwierzęta z mnóstwem rogów, nóg i wylupiastymi oczami.

- W smaku to jakby wołowina - wyjaśnił jeden z wojów. - Tyle czasu człowiek chleba na oczy nie widział, tylko takimi stworami się żywimy...

Obozowisko diabłów mieściło się na brzegu podziemnego jeziora o dźwięcznej nazwie Krwawe. Musiało tu być jakieś źródło energii, bo woda wrzała przez cały czas. Różowe pęcherze osiągały ogromne rozmiary i pękały, rozrzucając purpurowe bryzgi. Jezioro rzeczywiście miało niepokojący, czerwony kolor, a nieustanny szum wrzącej wody działał przygnębiająco.

- Są tutaj - zwrócił się do mnie kniaź.

Schowaliśmy się za kamieniami, czujnie wpatrując się w pozycje przeciwnika.

- W tym jeziorze czarty gotują, kąpią się niczym w łaźni... Co zrobimy, landgrafie? Uderzymy z zaskoczenia czy podczołgamy się cichcem?

- Po co sobie niepotrzebnie ręce brudzić? - Wzruszyłem ramionami. - Diabły, tak jak ludzie, potrzebują odpoczynku. Poczekajmy, aż zasną.

- Niech i tak będzie. Odpoczywajcie, bracia. Za trzy godziny ruszamy!

Przez całe te trzy godziny dręczyły mnie wątpliwości. Przewracałem się z boku na bok i cierpiałem w milczeniu, zastanawiając się nad jedną kwestią: kto dał mi prawo rozporządzać cudzym życiem? Jean, Weronika, Złobynia, jego wojownicy... Kim jestem, żeby z powodu moich ambicji szli na śmierć? Diabłów było co najmniej pięciuset i przy najmniejszym błędzie z mojej strony mogliby nas po prostu stratować. W imię czego? Z powodu Lii, której nie odzyskamy? Z powodu Riesenkampfa, którego nie pokonamy? Dla sławy i honoru? Przeważającą część drużyny stanowili Rusini, a to znaczy, że stać nas było na ryzykowanie głową w imię honoru, pojęcia zapomnianego już w moim czasie...

- Buldożer!

- Jestem, milordzie. Nic mnie nie boli. Ruszamy?

- Ja ruszam. Występ solowy. Cała reszta czeka tutaj. Myślę, że uda mi się skłonić tych łobuzów do negocjacji. Jeśli nie...

- Oszaleliście! - wykrzyknął Jean, aż musiałem zasłonić mu usta dłonią.

Podszedł kniaź, za nim Weronika. Streściłem im mój pomysł.

- Tak czynić się nie godzi. - Złobynia sposepniał. - Jesteś landgrafem, a myślisz jak nierozumne pachole. Diabły najpierw utną ci głowę, potem nabijana pał, a na koniec spytają, po co przyszedłeś.

- Też mu to mówię! - przytaknął urażony giermek. - To nie tur-

niej ! Diabły nigdy nie słyszały o honorze! Wbijam trójzab w plecy i ugotują was w jeziorze. Weroniko, wyjaśnij naszemu panu...

Milczałem. Podjąłem już decyzję i nie miałem ochoty na cze gadanie. Młoda wiedźma podrapała się za uchem i zapytała:

- Dlaczego nie? Decyzje milorda zawsze były niestandardowe i zwykle to działało. Niech idzie sam, a nasz oddział zajmie dogodną pozycję i w razie czego mu pomoże.

Złobynia wzruszył ramionami, a zrozpaczony Jean objął głowę rękami, kiwając się w przód i w tył. Poprawiłem płaszcz, zawiązałem podany przez jednego z wojów szeroki pas, pogłaskałem rękojeść miecza i ruszyłem do przodu. Rusini patrzyli na mnie z wyraźnym współczuciem.

- Jeden warunek, lordzie Osiernico! - krzyknęła Weronika.

- No? - burknąłem.

- Będę was osłaniać z góry... Tak na wszelki wypadek.

Diabły chrapały w najlepsze. Żeby wystawili choć jednego wartownika! Gdyby na miejscu Rusinów byli bardziej podstępni wojownicy, cały ten obóz plugastwa wycięliby w pień w ciągu jednej nocy. Ale Złobynia był zbyt dobrze wychowany, by postępować w taki sposób. Nawet się nie skradałem, przestępowałem chrapiących i sapiących czartów, dopóki nie obszedłem całego obozu wroga. Lii nigdzie nie było, innych jeńców zresztą też nie. Wyszedłem więc na środek, usiadłem na odwróconym kotle i rzuciłem chrust na tłące się węgle. Weronika krążyła pod kopułą jaskini, pięć metrów nad moją głową. To, co zrobiłem w chwilę potem, sam uznałbym za wariactwo, gdybym miał czas, żeby się nad tym zastanowić. Wszystko wydarzyło się bardzo szybko, na poziomie intuicji. Wziąłem do ręki spore polano i cisnąłem nim w kłębowisko śpiących diabłów. Efekt przeszedł moje najśmielsze oczekiwania. Polano stuknęło w nos jednego, palnęło w ucho drugiego i wyrznęło w skroń trzeciego czarta. Diabły, jeszcze w półśnie, nie zastanawiały się, co się właściwie stało - po prostu każdy zdzielił najbliższego sąsiada. Ten z kolei przyłożył swojemu, a dalej... normalna reakcja łańcuchowa.

- Brawo, milordzie! - dobiegł z góry zachwycony szept, na dole zaś rozpętała się prawdziwa batalia. Rozzłoszczone diabły ganiały się po jaskini, częstując towarzyszy potężnymi ciosami. Mordobicie odznaczało się dużym rozmachem i szczerym zaangażowaniem. Mnie ignorowano. Musiałem poczekać, aż za pół godziny nasz stary znajomy z bokobrodami zaprowadzi jaki taki porządek. Wreszcie cały tabun diabłów zgromadził się wokół mnie. Rogaci sapali z rozdrażnieniem i przytupywali niezdecydowani, jakby nie wiedząc, od czego zacząć. Nie miałem zamiaru ułatwiać im zadania, siedziałem ze znudzoną miną i pogwizdywałem popularną melodię. Milczenie przeciągało się.

- Imię, poruczniku? - warknąłem nieoczekiwanie rozkazują-

cym tonem, wskazując palcem diabła z bokobrodami.

- Brumel, panie pułkowniku! - zaraportował diabeł, stając na baczność. Wstałem, zrobiłem krok w jego stronę i rozdarłem się niczym dowódca kompanii:

- Co to za porządki?! Żadnej dyscypliny, cały obóz śpi, co to ma być, do ciężkiej cholery, anarchia?! Gdzie są ordynansi? Sześć dni paki! Gdzie wartownicy? Rozstrzelać! Poruczniku Brumel! Ustawcie skład osobowy!

Rozespane diabły były mało przytomne, a dodatkowo oszołomione niedawną bójką i moim wrzaskiem. Brumel latał jak poparzony, ustawiając towarzystwo w szeregu. Osłupiałe czarty brały widły na ramię, popatrując na mnie ze strachem. Po ustawieniu wszystkich ogoniasty porucznik podszedł do mnie i nieśmiało zameldował:

- Panie pułkowniku, melduję, że powierzone mi siły ustawiłem. Jednak ośmielę się zameldować, że Riesenkampf nas za to nie...

- Co?! Milczeć! Żadnych sprzeciwów! Zapomnieliście o subordynacji?! Mam was oddać pod sąd?!

- Tak jest, panie pułkowniku! Melduję, że nie, panie pułkowniku! Przepraszam, panie pułkowniku...

- No, no, uważajcie... - Podszedłem do szeregu i wrzasnąłem: - Czołem, sokoły!

- Czołem, panie pułkowniku! - huknęły czarty. Ślady wojskowego drylu ciągle w nich tkwiły... Ciekawe, czy dużo czasu zajmie im dojście do siebie i co się ze mną stanie, gdy już ochłoną? Ale nie myślmy o przykrych rzeczach...

- Poruczniku, ilu macie jeńców?

- Obecnie ani jednego. Ostatniego zjedliśmy na kolację, zrobiliśmy z niego solankę.

- Czy w poprzedniej partii nie było jasnowłosej dziewczyny w stroju pazia?

- Melduję że nie, panie pułkowniku. - Brumel zastanowił się. - Chociaż wydaje mi się, że widziałem kogoś takiego...

- Gdzie?

- W apartamentach Śmierci. Ale mamy zakaz wchodzenia do rozdzielni i do biura...

- Czemu mi wcześniej nie zameldowałeś, łajzo jedna? - ryknąłem znowu.

Biedny Brumel stał wyciągnięty jak struna i chyba przygotowywał się na najgorsze.

- Natychmiast ustawić warty, wysprzątać teren, aż będzie wylizany, i doprowadzić broń do porządku. Wymarsz o dziewiętnastej zero-zero! Dalsze wskazówki po moim powrocie ze sztabu generalnego. Są pytania?

- Melduję, że nie ma, panie pułkowniku!

Na wszelki wypadek przyciągnąłem Brumela do siebie za ucho

i wyszczałem straszliwym szeptem:

- Jeśli za dwie godziny wszystko nie będzie tu błyszczeć, zgnoję cię osobiście! Będiesz czyścił latryny do późnej starości!

- Tak jest, panie pułkowniku! - wykrztusił.

- Transport! - zawołała Weronika, podlatując na miotle i wzięła mnie na pokład.

- Baaaczność!

Od razu odlecieliśmy. Nie miałem ochoty czekać, aż diabły zrozumieją, co się właściwie stało. Weronika zerknęła do tyłu.

- No, co tam? - zapytałem.

- Wylizują teren.

- W jakim sensie?

- W dosłownym...

- Aleś ich załatwił, landgrafie... -powitał nas zachwycony Złobyńia. - A już zwątpiłem, czy jeszcze cię zobaczę żywego. Jak rzuciłeś tym polanem... no, myślę sobie, już po nim. Rozerwą go na strzępy! No i co? Diabły zaspane, a ty ich tak obsztorcowałeś, że nawet pisnąć nie śmieli. Pół królestwa za takiego wojewodę! Gdybyś służył dwa lata w wojskach pogranicza, nie takie rzeczy byś zobaczył, pomyślałem. Nie da się ukryć, wojsko przydaje się mężczyźnie -uczy myśleć na szeroką skalę, uczy komenderować...

- Milordzie, Lii u nich nie ma?

- Nie, Jean. Twierdzą, że dziewczyna podobna do Lii trafiła do jakiegoś rozdzielnika, gdzie diabły nie mają wstępu. Tam mieszka Śmierć. Pewnie chodzi o to miejsce za kamieniem. To co, kniaziu? W drogę!

- Twoja racja. Nie powinniśmy się tu zatrzymywać. Ruszajmy.

Pół godziny później, maszerując spletanymi korytarzami, usłyszeliśmy echo dzikiego ryku, w którym z trudem rozróżniłem wulgarne przekleństwo, stanowiące odpowiednik słowa „oszukać”. Aha, czyli diabły już doszły do siebie. Ta świadomość dodała nam sił i już wkrótce dotarliśmy do zakazanego rejonu. Biały kamień przy wejściu zerknął na nas zielonymi oczkami i chyba nawet mrugnął.

- To tutaj właśnie mieszka Śmierć? - westchnął ciężko któryś z wojów.

110

- Co się tak gapicie, jak ciele na malowane wrota? Śmierci nie widzieliście? - ryknął książę, chcąc pewnie dodać otuchy swoim ludziom, ale powstrzymałem go, kładąc mu rękę na ramieniu.

- To również będzie występ solowy. Pójdę sam. Ja i ta staruszka. ... jakby to powiedzieć... trochę razem wypiliśmy. W każdym razie zaprosiła mnie w gości.

- Idziesz na pewną śmierć, landgrafie... - Rusini się przeżegnali.

- A ja, milordzie? - Wysunęła się Weronika. - Tam na pewno będzie okropnie ciekawie... Przyda się wam pomoc magiczna, no i...

- Nie.
- Obiecaliście... - Młoda wiedźma pociągnęła nosem.
- Obiecałem, że zwrócę cię Gorgulii całą i zdrową. Do Śmierci bez zaproszenia się nie chodzi, to jej prerogatywa, a ponieważ zapraszała tylko mnie, nie wypada, żebyś się tam pchała.
- Twoja racja, landgrafie. Poczekamy na ciebie. Jeszcze, nie daj Boże, diabły tu zajrzą. - Złobynia skinął głową. - Długo mamy czekać?

- Najwyżej godzinę. Nie jestem dziś w nastroju na większą popijawę.

- Będę czekał dopóty, dopóki nie wróciacie - rzekł z uporem Buldożer, pochylając głowę. - Godzinę, dzień, rok... wszystko jedno. A potem po was pójde...

Na wszelki wypadek trzykrotnie objęliśmy się z kniazem, Weronika pocałowała mnie w policzek, klepnąłem w ramię smutnego giermka i poszedłem słabo oświetlonym korytarzem. Dziesięć minut później ujrzałem wspaniałą salę z łukowym sklepieniem z czarnego granitu. Na środku sali, na tronie, zasiadała Śmierć. Poczuję ogromną ulgę, choć nie sądzę, by wiele osób szczerze się ucieszyło na widok posępnej postaci w płaszczu z kapturem i potężną kosą w kościstych dłoniach.

- Kogo ja widzę? Lord Osiernica we własnej osobie! Jednak przybyłeś... I po co? Śmierci szukasz?

- Może się napijemy? - zapytałem z nadzieją w głosie.

- Może - odparła sucho Śmierć. - A na czyj rachunek?

- Poprzednim razem piliśmy na mój - przypomniałem bezczelnie, bo nie miałem już nic do stracenia. - Pamiętam, że ktoś mnie tu zapraszał! Mówił: jak będziesz w tych stronach, zajrzyj koniecznie, posiedzimy sobie jak ludzie... No więc rzucam wszystko, jadę diabli wiedzą gdzie, po to, żeby mi wystawiono rachunek za jeszcze nieotwartą butelkę!

110

- Dobrze, dobrze, nie złość się. Pozartować nie można? Wszystko pamiętam: i wino, i twój szacunek, i moje zaproszenie. Hej, tam! Nakryć stół dla mnie i landgrafa, a żywo!

Zbiegł się tłumek i wszystko już po chwili przygotowano jak należy. Szkoda, że nie było tu Weroniki! Na pewno chętnie by sobie obejrzała wampiry z czerwonymi oczami i zębami do podbródka, chodzące szkielety z muszką na szyi i serwetką na rękę, gnijących nieboszczyków, chodzących tam i z powrotem z tacami... Takich dziwolągów było tu pod dostatkiem. Mimo wszystko miło być nowoczesnym człowiekiem. Taki na przykład Buldożer umarłby ze strachu, a przeciętny typ z feudalnym wykształceniem co najmniej by oszalał. Bo trzeba przyznać, że towarzystwo było koszmarnie! Ale ja jestem zahartowany, naoglądałem się w swoim czasie filmów

Spielberga, naczytałem się Kinga, więc co mi tam. Nie boję się. Pewnie, że mało przyjemne widoki i nieciekawe zapachy, ale wytrzymałem.

Gdy stół wreszcie nakryto, a mnie usadzono w wysokim, drewnianym fotelu rzeźbionym w nietoperze, Śmierć pstryknęła palcami i wszystkie koszmarki wyniosły się z sali. Podnosząc srebrny puchar, kostucha skinęła w moją stronę i powiedziała uroczyście:

- Za miłość!

- I za obecne damy! - nie wytrzymałem. Byłbym przysiągł, że kości policzkowe Śmierci się zarumieniły. Stuknęliśmy się i wypiliśmy. Wino było wspaniałe!

- Miałeś rację, Osiernico... zaszła przykra pomyłka. Ta dziewczyna miała przed sobą jeszcze kawał życia... - usłyszałem.

- Zrozum, landgrafie... - tłumaczyła Śmierć, gdy już się uspokoiłem i przestałem na przemian żywiołowo się cieszyć i dawać wyraz swemu niezadowoleniu. - Na białym kamieniu przy wejściu rzeczywiście widniało jej imię. Wszystko było w porządku, wszelkie formalności załatwione, więc jestem czysta. Ale gdy doprowadziłam ją do czyścica, okazało się, że ani w piekle, ani w raju dziewczyny nie zamawiali! Taki skandal im urządziłam! Oczywiście, wszystko zostanie wyjaśnione, winni ukarani... za jakieś trzy tygodnie. Widzisz, my tu mamy taką kancelarię... Można sto lat po różnych instancjach biegać, a i tak wszystkich pieczętek nie da się zebrać. Cholerna biurokracja.

- To znaczy, że Lija jest wolna?

- Pij. Spróbujmy jeszcze tego białego...

1 "*/-\

- Dobrze. Oo... co za bukiet! - Ja tu się zachwycam winem, a tam moi przyjaciele już się pewnie martwią. - Czyli mogę zabrać Liję ze sobą?

- Nie - mruknęła niechętnie Śmierć. - Gdybyś wiedział, jak ciężko przychodzi mi odmowa! Ale nie mogę... Nie mam prawa. Dopiero kiedy wszystko załatwią, wydadzą pokwitowanie, będziesz mógł ją sobie zabrać!

- Ale to co najmniej trzy tygodnie!

- Inaczej się nie da. Zrozum, nie mogę nikogo oddać dobrowolnie!

Od razu wpadłem w depresję, bliski byłem rozplakania się. Tyle trudów i wszystko na marne?

- Jak to śpiewałeś poprzednim razem? - Śmierci niespodziewanie wzięło się na wspominki. - Coś tam... a, już wiem!

Kozacy, Kozacy

Wojskowi ludzie!

Wojskowi ludzie,

Nikt was nie lubi...

- Ech, landgrafie! Nas też nikt nie lubi! Co tak posmutniałeś?
Chcesz, to zjawię się jutro u Riesenkampfa. Niech dostanie ataku!

- Proszę bardzo. - Skinąłem ze smutkiem głową. - Lii mi to
nie wróci.

Przez jakiś czas siedzieliśmy w milczeniu. Potem Śmierć mach-
nęła rękawem i niechcący zrzuciła na podłogę dwa puchary z czer-
wonym winem.

- Do licha, zostało tylko białe, a białym szybko się upijam! Co za
przykrość... - Chytra iskierka mignęła w czarnych oczodołach i roz-
mowa zaczęła przypominać instrukcję. - Ale przecież nie wykorzy-
stasz mojego twardego snu i nie wykradniesz dziewczyny (drugie
drzwi na lewo)? Nie będziesz niósł jej na rękach (nie może dotknąć
ziemi!) aż do samego Mroku, ani razu nie oglądając się za siebie?
Skinąłem głową i nalałem Śmierci puchar białego wina. Kostu-
cha wypięła, zwała się na stół i demonstracyjnie zachrapała.

W ścianie rzeczywiście były liczne drzwi. Chwyciłem już za jed-
ną klamkę, gdy chrapanie ustało i wyraźny szept przypomniał:

- Na lewo, a nie na prawo, głąbie...

- Przepraszam. Powtórka...

W końcu znalazłem właściwe drzwi, za którymi leżała Lija.

Wyglądała, jakby spała, ale jej bezwolne ciało już niemal opuściło
życie. Wziąłem ją na ręce i zerkając na śpiącą Śmierć, szybko ru-
szyłem do wyjścia. Ciekawe, ile mam czasu, przemknęła mi przez
głowę spóźniona myśl.

- Dwadzieścia minut. Potem się obudzę, odkryję stratę i strasz-
nie się rozgniewam - wyjaśnił głos z tyłu i znowu rozległo się
chrapanie. Rzuciłem się do ucieczki. Przed wyjściem podbiegł do
mnie zaniepokojony Buldożer; Weronika, wojowie, kniaź - wszy-
scy byli na swoich miejscach. Nigdzie się nie ruszyli, chociaż na
pewno minęła więcej niż godzina. Nie zatrzymując się, przedsta-
wiłem sytuację. Nie zadawali głupich pytań. Za kilkanaście minut
naszym tropem miała ruszyć Śmierć, a ta perspektywa nikogo nie
bawiła. Biegliśmy wszyscy, ale wkrótce zacząłem zostawać w ty-
le. Było mi coraz trudniej oddychać, w oczach pociemniało, ciało
Lii wydawało się coraz cięższe... Dziewczyna była niewysoka
i szczupła, nie więcej niż czterdzieści pięć kilo, ale spróbujcie
pobiegać trochę z takim ciężarem...

- Milordzie - za moimi plecami rozległ się głos Jeana. - Milor-
dzie, jesteście zmęczeni. Pozwólcie mi ją ponieść!

- Nie mogę się odwracać...

- Będziemy ją nieść po kolei! - huknęli Rusini.

- Podług starszeństwa! Ja pierwszy! - przypomniał surowo
kniaź.

- Nie... nie wolno... Śmierć... nie wolno mi jej wypuścić
z rąk... aż do Mroku...

Lecąca nisko Weronika bez słowa chwyciła mnie za kołnierz koszuli i uniosła w powietrze. Ale już kilka metrów dalej miotła, nie wytrzymując potrójnego ciężaru, runęła w dół i omal nie upadłem. Weronikę chwycił Złobynia Nikitycz i kontynuowaliśmy tę szaleńczą ucieczkę przed Śmiercią. Gdy już myślałem, że się przewrócę, czyjeś troskliwe ręce uniosły mnie w górę. Liję nadal trzymałem w ramionach, nie odwracałem się, nie upuściłem jej na ziemię i nie zmieniałem kierunku - dotrzymałem wszystkich warunków. Po prostu razem z nią kołysałem się na rękach tchórzliwego rycerza. Jean zdążył nas złapać i rozumiejąc sens gry, kontynuował bieg. W końcu znaleźliśmy się w sali, w której poprzednio odbyła się bitwa z diabłami - zasadzki nie było. Wejście do Mroku płonęło matową czernią.

- Jean, puść mnie! Wszyscy są? Nikogo nie brakuje?

- Jesteśmy w komplecie!

- A Weronika?

- Jestem, milordzie! - Młoda wiedźma stanęła przede mną.

- Chyba strasznie się zmęczyłaś, mała... Nie wiem, jak ci się odwdzięczę. Spróbuję zdobyć dla ciebie czekoladę. Dobrze, pora wracać do domu. Zdołasz odnaleźć drogę przez Mrok?

- Głupstwo! - prychnęła. - A co, wy nie widzicie w ciemności?

- Nie - przyznałem się i wszyscy inni też.

Weronika na chwilę zamknęła oczy, a gdy je otworzyła, aż krzyknęliśmy. Jej źrenice zmieniły się w długie, pionowe kreski, jak u kota, i zapłonęły szmaragdowym ogniem.

- No co, wiedźmy nie widzieliście? - Tupnęła speszona dziewczyna. - Idziecie czy nie?

Przez Mrok przeszliśmy spokojnie. Czemu twierdzono, że to takie koszmarnie miejsce? Fakt, jeśli się nie zna drogi, można się tam błąkać całe życie. Całe życie w nieprzeniknionej ciemności, bez najmniejszej nadziei na światło, dźwięk, podmuch wiatru...

Może właśnie o to chodziło?

Gdy szliśmy przez Mrok, poczułem, że oddech Lii się wyrównuje. Przytulona do mnie, dziewczyna drgnęła i zaczęła spokojnie posapywać.

- Spi - wyszeptałem w ciemność i wydawało mi się, że wszyscy odetchnęli z ulgą. Przed nami zabłysło światło - prawdziwe słoneczne światło! Ale największa niespodzianka czekała nas przy wyjściu. Przed pamiętną skrzynką pocztową stał... Brumel, diabeł z bokobrodami, z którego uczyniłem porucznika, wraz z kompanią rogatych towarzyszy w liczbie trzynastu dusz. Woje chwycili za miecze.

- Czołem, panie pułkowniku! - Czart się skłonił. - Nie ma co, nieźle żeście nas oszukali! Muszę wyrazić swój bezgraniczny podziw dla takiego landgrafa. Do licha z Riesenkampfem! Gotów jestem oddać życie za prawo uczestniczenia w nowej kampanii.

Jesteśmy do waszej dyspozycji, milordzie!

- Coś nie bardzo im wierzę... - szepnął Jean.

- Teraz to już na pewno nas wyklną! - wtrąciła się Weronika.

- Tfu! Żeby się z diabłami zadawać... - Książ splunął.

Z miną cierpiętника spojrzałem w niebo, a potem na nieszczęsnego Brumela i jego towarzyszy. A potem na swoich przyjaciół. Zrozumiałem, że decyzja znowu należy do mnie. Co miałem z tym fantem zrobić? No, oczywiście...

Część 4

Wieża Trupów

Czterech było bohaterami i poznał Riesenkampf zwycięstwo nad siłą. Czterech było mędrkami i poznał Riesenkampf zwycięstwo nad rozumem. Czterech było magami i poznał Riesenkampf zwycięstwo nad magią. Ale trzynasty landgraf nie był ani bohaterem, ani czarodziejem, ani mędrkiem. Szedł na przód, a jego przyjaciele osłaniali go. Fioletowy płaszcz królowej Tanitriel spoczywał na jego ramionach, a Miecz Bez Imienia płonął na niebie...

Kroniki Lockheimu

Coś długo wam zeszło z tym ratowaniem... Nie mogliście się pospieszyć? - To były pierwsze słowa, które usłyszałem od Lii. Oniemiałem, a serce mi się ścisnęło. Takie zarzuty po wszystkim, co przeszliśmy? Mrok, diabły, ucieczka przed Śmiercią - dosłownie mnie zatkało!

- Nie obwiniam was osobiście, milordzie, chociaż...

Nie udało jej się dokończyć - ogarnięta słusznym gniewem Weronika wymierzyła jej siarczasty policzek. Zanim moja jasnowłosa służąca zdążyła się oburzyć, potężne ręce Buldożera uniosły ją za kołnierz. Tchórzliwy rycerz wrzasnął tak, że Lija z wrażenia zamknęła oczy:

- Niewdzięczna dziewczyno! Lord Osiernica wyrwał cię z paszczy Śmierci, a ty masz czelność zarzucać mu opieszałość?! Przez ciebie wielu ludzi o mało nie trafiło do własnej mogiły! Nikt nigdy nie powtórzy wyczynu landgrafa! Nie zasługujesz na to, żeby oddychać tym samym powietrzem, co mój pan!

- Daj jej spokój, Jean - powiedziałem zmęczony. - Niech gdzie gdzie chce i z kim chce. Proszę o wybaczenie za niczym niesprawiedliwioną zwłokę. Czas na nas!

Teraz nasz oddział naprawdę robił wrażenie: dwunastu drużynników za Złobynią Nikityczem na czele, dwanaście diabłów pod przywództwem porucznika Brumela, Weronika, Gorgulia Times, Buldożer, no i ja. Naczelną wiedźmą czekała na nas na peryferiach Wesnachause, w tym miejscu, skąd Śmierć zabrała Liję. Wróciliśmy tam bez komplikacji - po raz pierwszy, odkąd pamiętam, We-

ronice udało się prawidłowo wymówić zaklęcie. Teraz każdy miał iść swoją drogą. Przekonałem sprzymierzeńców, żeby na jakiś czas „zejść do podziemia” i zebrać się znowu na początku działań bojowych - bo nikt nie miał wątpliwości, że takie będą. Chcę czy nie, los zmusza mnie do walki z Riesenkampfem, zwłaszcza że prawdopodobnie był to jedyny sposób powrotu do domu. Wprawdzie minął już prawie miesiąc i pewnie mnie pochowali... Może nawet powiesili gdzieś tablicę pamiątkową? Do licha, nie będę o tym myślał. Książ ze swoimi ludźmi planował ukryć się w lasach na południu, Brumel na północy. Partyzanci... Sam zamierzałem kontynuować wycieczkę po kraju i odwiedzić Kucharza. Intryg Riesenkampfa już nawet się nie bałem; ot, przyzwyczajenie. Zresztą, czemu miałbym iść na rękę przeciwnikowi? Jeśli gdzieś osiadę, będzie mógł mnie łatwo znaleźć. W końcu kto tu na kogo poluje? Niech on się martwi, a ja pojedę w odwiedzin...

Złobynia i Brumel już się odłączyli, Weronikę zabrała Gorgulia Times, i przez kilka minut na błękitnie nieba widać było dwie postacie z rozwianymi włosami. Przez cały ten czas Lija stała jak słup soli, przygnieciona ciężarem zarzutów. Ja i Buldożer pociągnęliśmy za wodze.

- Milordzie...

Odwrociłem się.

- Macie zakurzony płaszcz... - wyszeptała cichutko.

- No i co?

- I... i... nieświeżą koszulę...

Po policzkach dziewczyny spływały duże łzy. Prawdziwe, szczerze. Westchnąłem i popatrzyłem na rycerza. Chyba mój giermek już ochłonał i teraz gotów był sam zapłakać ze współczucia. Przecież ja też już się na nianie gniewam... W końcu nie jestem bez serca! Nie po to ją ratowaliśmy, żeby teraz porzucić! Skinąłem głową załamanej dziewczynie i znacząco klepnąłem swojego konia w zad. Już po chwili Lija siedziała za mną, obejmując mnie w pasie, a płakała tak, że nawet płaszcz królowej Tanitriel nie chronił mnie przed tą wilgocią...

Na wybrzeże dotarliśmy bez większych przygód. Nie było się dokąd spieszyć, więc po kolacji Buldożer snuł barwną opowieść o cudach odwagi oraz zimnej krwi, jaką się wykazał lord Osiernica, żeby wyciągnąć Liję z królestwa zmarłych. Kłamał tak bezczelnie i z takim natchnieniem, że aż sam się zasłuchałem. Lija na przemian bladła i czerwieniała, wytrzeszczała oczy ze strachu albo pischczała z radości. Tymczasem zapadł wieczór i położyliśmy się spać. W środku nocy obudziło mnie szarpnięcie za kołnierz.

- Milordzie...

- Tak? Co się stało?

- Obudźcie się, milordzie... - W ciemności prawie nie było wi-

dać twarzy Lii, która szeptała mi do ucha: - Znowu uratowaliście mi życie! Jestem wam taka wdzięczna, taka wdzięczna...

- Dobra, dobra... Słuchaj, już późno, śpijmy... - Próbowałem się od niej odczepić.

- Oczywiście, milordzie. Przecież jesteście moim panem. Właśnie po to przyszedłem...

- Po co?

- No... - Chyba już wcześniej ułożyła sobie tę przemowę, bo teraz wypaliła jak z karabinu: - Będę z wami spała! Już wszystko rozumiem... Jak prawdziwa kochanka...

- Dziewczyno, czyś ty się szaleju opiała? - Rozbudziłem się wreszcie.

- Czy ja... ja was nie interesuję... jako kobieta? - szepnęła.

- Ile ty masz lat?

- Dwadzieścia!

- Wierutne kłamstwo!

- Siedemnaście...

- To już bliższe prawdy. Aja dwadzieścia siedem! Chcesz, żeby mnie powiesili za deprawację nieletnich? Boże! Jesteś jeszcze dzieckiem! Zrozum, nie jestem impotentem, ale...

- A co to znaczy impotent? - zainteresowała się Lija.

- No. ..to... w tym sensie... Sama widzisz, nie masz pojęcia o najbardziej podstawowych rzeczach! To o czym my rozmawiamy?

- Naucz się!

- Jak się nauczysz, to przyjdź. A teraz marsz do siebie pod płaszczyk i lulu! Jutro musisz zrobić śniadanie.

- Tylko jeden pocałunek, milordzie! - poprosiła.

- Dobrze. Jeden. Tutaj - pokazałem palcem nieogolony policzek. Lija musnęła mnie nieśmiało wargami i zaszepotała jak spiskowiec:

- A wy mnie?

- Jutro, skarbie, jutro. Albo pojutrze, albo pod koniec tygodnia, a jeszcze lepiej miesiąca...

- Naprawdę?

- Oczywiście. Czy ja cię kiedykolwiek okłamałem?

Pięć minut później uszczęśliwiona dziewczyna spokojnie posypiała na swoim miejscu. A ja nie mogłem zasnąć. Przypominałem sobie dom, żonę i leżałem pogrążony we wspomnieniach prawie do rana...

Po prostu cudownie! Słońce, piasek, mewy krzyczą nad głowami, nasze trio w pełnym składzie, zadowolone i najedzone, droga wolna i nikt nie gra nikomu na nerwach. Riesenkampf, Rajumsdal, kardynał Cali, Wilczy Pazur, Szalona Gerła, przeor przybłędów, Mrok, diabły - wszystko to teraz tylko barwne wspomnienia. Po głowie, zamiast krwi, zabitych wrogów czy własnych ran, snują się wyłącz-

nie zabawne sytuacje. Na przykład, jak zrobili ze mnie pomocnika diabła... Albo jak Jean poszedł się myć do Lii i wyleciał z szaflikiem na głowie... Jak Weronika oblewała zupą stare wiedźmy w Cichej Przystani, a habit przeora gonił mnichów... Jest co wspominać... Ja też się zmieniłem. Jeździłem teraz konno nie gorzej od kowboja, nauczyłem się całkiem znośnie fechtować, przestałem kichać i zahartowałem się. Żeby zbyt długo nie rozmyślać nad strukturą czasu i przestrzeni, przestałem się zadrećzać swoim losem i wpadać w panikę. Człowiek przyzwyczaja się do wszystkiego, a ten świat był nie lepszy, ale i nie gorszy od mojego.

Poza tym, wszystkie te wydarzenia bardziej przypominały farsę, tragicomedie, wyreżyserowany spektakl, i na razie nikogo nie skrzywdziły zanadto. Gdyby Miecz Bez Imienia był, tak jak początkowo myślałem, jednym z imion Czarnego Miecza, wtedy stałbym się wiecznym wojownikiem, zbawcą i obrońcą ludzkości, bohaterem w służbie prawa i tak dalej. Ale nic z tego, moi drodzy! Wszystkie moje przygody trącą parodią heroizmu, nie ma tu krzty powagi... No i chwała Bogu. Jak to mówią, każdemu według zasług. Z tych filozoficznych rozważań wyrwał mnie dziki wrzask Lii. Buldożer pokazał palcem coś przed nami, po czym omdlały zsunął się z siodła. Wrzask umilkł - to dzielna dziewczyna poszła za przykładem Jeana. Co oni tam, do licha, zobaczyli?

Dwadzieścia metrów od rozwidlenia dróg stała dziwna piramida. Składała się ze skrzyżowanych pałek, szmat, kawałków skóry... a całość wieńczyła odcięta kobieca głowa! Dobry Boże...

Konie parskaly i biły kopytami ziemię, zielone muchy radośnie krążyły wokół piramidy, a ja, zamiast jak wszyscy, chwilę odpocząć bez przytomności, musiałem cucić tych mięczaków. Troska o zdrowie innych to najlepsze lekarstwo na własne bolączki. Gdybym nie był tak zajęty, pewnie by mnie zemdlilo.

W końcu znowu wsiedliśmy na konie i oddaliliśmy się od tego straszego miejsca.

- Co to było, Buldożer?

- Lepiej nie pytajcie, milordzie... - Chłopak zadzwonił zębami ze strachu.

- Lija! Wiesz coś o tym?

- Nie... nie... i nie chcę wiedzieć! - Dziewczyna podniosła na mnie przerażone spojrzenie i wyszeptała: - Wszyscy zginiemy. Przed nami nie ma ratunku...

- Wyjaśnijcie mi, co się tu dzieje! - Szarpnąłem wodze. - Nigdy nie widzieliście trupów? Skoro nawet ja przyzwyczailem się w waszym kraju do widoku krwi... Przecież nieraz wychodziliśmy cało z różnych opresji, nawet ze szponów samej Śmierci!

- Teraz właśnie nas dogoniła... - Głos Lii był tak smutny, że aż mi się serce ścisnęło. - Słyszałam... i Jean też o tym słyszał... Nie

pojawiali się w naszym kraju od wielu lat. Ale jeszcze moja babka opowiadała o nieludzkich potwornościach, dokonywanych przez Błękitne Hieny*.

- Opowiedz!

- O czym tu opowiadać? - Buldożer wrzucił ramionami. - Wi-dzieliśmy ich znak, więc muszą być w okolicy! Zamek sir Charle-sa Lee stoi na pograniczu, za tym zagajnikiem...

* Błękitny -w Rosji jest to jedno z określeń homoseksualisty (przyp. red.).

Urwał. Z zagajnika wyjechali uzbrojeni ludzie. Mieli długie spódnice z rozcięciami, pantofle na wysokich obcasach, włosy spięte w koński ogon albo zaplecione w warkocze, a do tego wszystkiego obwiesili się kolczykami, paciorkami, wisiorkami, pierścionkami i dołożyli grubą warstwę makijażu. Gdyby nie wy-celowane w naszą stronę kopie, chyba parsknąłbym śmiechem, bo to był bardzo zabawny widok.

- No i co? - Ściągnąłem brwi.

Nie wiem, czego właściwie przestraszyli się moi towarzysze, bo przeciwnicy nie wyglądali groźnie, a niektórzy nawet się uśmie-chali. Jeden wyjechał przed szereg i zakomenderował cienkim fal-setem:

- Kobiectcie śmierć! Mężczyźni do łóżnic!

Wtedy wreszcie do mnie dotarło... Mój koń stanął dęba i wje-chałem prosto w najeżony grotami tłum. Buldożer i Lija dali wierz-chowcom ostrogę i runęli za mną. Jak przejechaliśmy, nie wiem, widocznie przebierańcy nie spodziewali się czynnego oporu. Rzu-cone za nami włócznie na szczęście nikogo nie drasnęły. Wrzesz-cząc rozpaczliwie, pędziliśmy do zamku Kucharza. Na szczęście tam już się szykowano do walki i gdy stanęliśmy przed zwodzo-nym mostem, usłyszeliśmy huczący bas starego rycerza:

- Otworzyć bramy landgrafowi Miecza Bez Imienia!

- Więc jesteśmy otoczeni...

- Okrążeni dokładnie! - potwierdził sir Charles. - Ci dranie wy-łonili się z lasów całą hurmą. Nasze posterunki nie zdołały ich powstrzymać, chyba łatwiej byłoby zatrzymać lawinę.

- Ilu macie wojowników? - Nie jestem znawcą sztuki wojen-nej, ale moja obecna pozycja społeczna zobowiązywała.

- Ja, moi synowie, wy z giermkim... to już pięciu - zaczął wy-liczać właściciel zamku. - Do tego pięćdziesięciu ludzi w mojej drużynie, no i chłopci, rzemieślnicy, kupcy... Razem jakieś sto dwa-dzieścia, sto pięćdziesiąt dusz.

- A kobiety?

- Racja! Na pewno będą walczyć... Błękitne Hieny zabijają je wszystkie, nawet niemowlęta płci żeńskiej, a mężczyźni biorą do niewoli, gdzie czekają ich straszne poniżenia.

- Dlaczego po prostu nie zbierzecie się do kupy i nie stłuczecie

ich na kwaśne jabłko? - zdumiałem się. - Przecież rycerz na koniu wart jest dziesięciu takich Papuasów.

- Jest ich około dziesięciu tysięcy. - Kucharz pokręcił głową. - Zdobędą zamek, nim goniec zdąży dotrzeć po pomoc do Wesnachhause i Risteil. Ludzie się ich boją. Podobno atakami Hien kieruje sam Riesenkampf.

- Hm... Nie brzmi to dobrze. Co tu się dzieje, sir Charlesie? Riesenkampfowi udaje się zawrzeć przymierze z każdym łajdakiem waszego świata, a król Plimutrok nawet nie wie, że na jego ziemiach rządzi zorganizowana przestępczość. Pora z tym skończyć! Jak długo można to znosić?! Po prostu rozbijmy ich w pył!

- Brawo, mój chłopcze. - Stary rycerz wzruszył się. - Już w czasie turnieju zrozumiałem, że masz przed sobą wielką przyszłość. Razem rzeczywiście rozbijemy wroga, Gotów jestem wysłuchać wszelkich propozycji.

Utkwiłem wzrok w suficie i wyteżyłem pamięć.

Tak... Dawno już nie broniłem żadnego zamku. Jeśli chodzi o ścisłość, nigdy w życiu nie robiłem nic podobnego. Ale cóż, kiedyś musi być ten pierwszy raz...

- Ile mamy czasu?

- Około dziesięciu godzin. Przed południem nie zaczną, Hieny lubią się wysypiać.

- Możemy wysłać gońca po posiłki?

- Już to zrobiliśmy, i sędzę, że markiz de Bras już do nas spieszy. Jeśli utrzymamy się dwa dni, wtedy, być może, zdołamy wytrwać do przybycia armii króla Plimutroka.

- Do tego czasu można by zdobyć języka i poznać plany wroga...

- Mamy trzech jeńców! - zawołał Kucharz. - Proszę za mną do podziemi.

Zeszliśmy na dół. Cóż, lochy i więzienia wszędzie wyglądają podobnie, sala tortur też pewnie nie różniła się od tej, którą oglądałem w Wesnachhause. Do ściany przykuto trzy prężące się wściekle postacie - spódniczki, makijaż, breloczki, paciorki, kolczyki. Na nasz widok z ich piersi wyrwało się zgodne westchnienie:

- Co za mężczyzna!

Miałem tylko nadzieję, że chodziło im o sir Charlesa...

Tymczasem stary rycerz skinął dłonią i posepny typ wyjął z ognia rozpalony stalowy pręt. Patrzenie na ludzką mękę specjalnie mnie nie rajcuje, więc chcąc zrezygnować z tego widowiska, zrobiłem krok w stronę drzwi, ale w końcu zostałem. Może wydawało się to dziwne, ale tortury wywoływały u jeńców zachwyt i podniecenie. Omal nie połamali sobie umieszczonych w okowach rąk, próbując za wszelką cenę przedłużyć słodki dotyk gorącego metalu. Kat, klnąc na czym świat stoi, odszedł na bok.

- Mają spaczoną psychiką. Śmierć byłaby dla nich łaską- za-

uważył nasz gospodarz.

- Tak. - Pokiwałem głową. - Skrajny przejaw sadomasochizmu na tle seksualnym. Czegoś takiego nie widziałem nawet na filmie. Sir Charles ponuro pokiwał głową i dał znak katu. Ten wyjął nóż.

- Chwileczkę! - zawołałem. - Słyszeliście kiedyś o torturze ciastkami?

- Mam pewną znajomą- spróbowałem wyjaśnić - która bardzo chce schudnąć.

- Po co? - Kucharz nie zrozumiał.

- Takie ma pojęcie piękna, zresztą to nieistotne. Najważniejsze jest to, że jej mąż piecze wspaniałe ciasta. Wyobraźcie sobie kobietę, która rozpoczęła właśnie leczniczą głodówkę, a tu cała rodzina entuzjastycznie opycha się ciastem. Biedna kobieta jest rozdarta pomiędzy apetytem a figurą. Co robi? Wytrzymuje jakieś pół godziny tych tortur, a potem biegnie do kuchni, odsuwa domowników i zaciekle, ze łzami w oczach zaczyna objadać się ciastem!

- Interesujące. - Sir Charles skinął głową. - Ale co to ma wspólnego z naszymi jeńcami?

- Wykorzystamy samą zasadę tej tortury. Dlaczego Błękitne Hieny zabijają kobiety? Ponieważ boją się ich i nienawidzą. Dotyk rozpalonego żelaza budzi rozkosz, a co wywołają kobiece pieszczoty? Nie mamy nic do stracenia. Zaryzykujemy.

- Nie jestem pewien, czy dobrze zrozumiałem wasz plan, lordzie Osiernico. Wszyscy mówią, że miewacie pomysły nietuzinkowe, czasem nawet paradoksalne. Co powinienem zrobić, jakie jest moje zadanie?

- Czy w waszym zamku są te... no... motyle nocy?

- Ómy? Są. - Kucharz skinął głową. - Wysłać straż z siatkami, żeby nałapali?

- Nie... Nie to miałem na myśli. Jak tam u was z prostytutką?

- Z czym?

- Z prostytutkami! - wybuchnąłem.

- A co to, jakieś nowomodne wiedźmy? W moim zamku nie ma miejsca dla czarów! Ani dla tych waszych... wybacz im, Panie! Zrezygnowany przysunąłem się do rozgorączkowanego gospodarza zamku i wyjaśniłem na ucho, o co mi chodzi.

- A! - Sir Charles się rozjaśnił. - Potrzebne wam sprzedajne dziewczki! Czemuście od razu nie powiedzieli? To przecież zupełnie nieszkodliwe. Oczywiście, są dwie albo trzy. Chcecie blondynkę czy brunetkę?

- To nie dla mnie. Napuścimy je na jeńców i zmusimy do przeobrażenia ich w normalnych mężczyzn. Ale najpierw niech opowiedzą wszystko o dyslokacji sił, uzbrojeniu, zaopatrzeniu i planach zdobycia zamku...

Godzinę później z podziemia dobiegło wycie. „Dziewczęta”

przyprawione przez straż były już nieco w latach, ale znały swój fach. Jeńców przywiązano do łóżek i kobiety wzięły ich w obroty. Co pięć minut specjalny strażnik przybiegał do nas i meldował:

- Płaczą i proszą o śmierć.
- Gotowi są wszystko opowiedzieć.
- Błagają o litość.
- Powiedzieli wszystko, co wiedzieli.
- Przypomnieli sobie kilka szczegółów.
- Proszą, żeby ich wypuścić.
- Ledwie zipią.
- Oni...
- Tam się dzieją takie rzeczy, milordzie!

Wypiliśmy z Kucharzem za udany początek kampanii. Dokładnie godzinę później cała ludność została skierowana do prac przy umocnieniach. Jednym z poważnych plusów średniowiecza była zasada absolutnej samowystarczalności zamków. Sprowadzano jedynie żywność, całą resztę produkowano na miejscu. Kowale z pomocnikami pracowali do siódmych potów, zbijając małe jeżyki, każdy z czterech gwoździ. Dmucharze szkła i jubilerzy oddali wszystkie lustra, broszki, bransolety, słowem - całą biżuterię. Ochotnicy wychodzili z zamku i rozkładali te ozdoby w odległości stu metrów od murów. Strzały i kopie maczano w kadziach z mocnym wyciągiem z czosnku. Miejscowi majstrzy szybko przygotowali oryginalne urządzenia do rozpryskiwania smoły, dziegiu i (proszę o wybaczenie) zawartości wychodków. Naszykowano beczkę kleju i zebrano od mieszkańców pierzyny, kołdry i poduszki. Cieśle znosili trociny, mury zamku zaś polano olejem.

- Milordzie, po co to wszystko? - niezadowolony Buldożer nic nie rozumiał. - Powinniśmy przygotować się do walki, a nie do karnawału. Hieny zdolne są pokonać każdego wroga, mają miażdżącą przewagę liczebną i kochają ból. Nie można ich zwyciężyć, tak jak nie sposób pokonać śniegu, walczyć z deszczem czy odeprzeć ataku spadających liści...
- Starczy tej poezji, mój młody przyjacielu. Czas pisania poematów i hymnów pochwalnych jeszcze nie nastał, a gdy to nastąpi, może nas już nie być na świecie. Te dość dziwne na pierwszy rzut oka przygotowania idealnie odpowiadają planom i charakterowi przeciwnika. Jeszcze sam nie wiem, jak to zadziała, ale nie mamy większego wyboru.
- To znaczy, że jakiś wybór jednak jest? - W oczach Jeana zabłysła nadzieja.
- Oczywiście - potwierdziłem. - Możemy modlić się o przybycie Gorgulii, odlecieć z jej pomocą i porzucić wszystkich na pastwę losu.
- Nie...

- W takim razie poddać się, pozwolić zginać wszystkim kobietom i zostać łózkowymi niewolnikami tych zboczeńców.

- Nie!

- Możemy również walczyć metodami tradycyjnymi i polec śmiercią bohaterską, ponieważ, zgodnie z tym, co mówisz, tradycyjne metody nie dają rezultatów.

- A czwarta możliwość?

- Czwarta? Uwzględniając informacje, które udało nam się wydobyc z jeńców, możemy powitać Hieny nową bronią, wybić im z głowy ochotę do działań wojennych i skończyć z nimi raz na zawsze.

- Niech żyje lord Osiernica! - ryknął Buldożer.

- Nie drzyj się tak... - mruknąłem, nieco zawstydzony.

Nadszedł ranek. Ostatnie przygotowania dobiegły końca. Do rowu z wodą, otaczającego zamek, wylaliśmy wszystkie skonfiskowane perfumy i wonności. Zapach był taki, że strażnicy omal nie spadli z murów. Pozostawało już tylko jedno - przygotować do walki mieszkańców, co jak się okazało, wcale nie było łatwe. W każdym innym momencie Kucharz zadusiłby mnie własnymi rękami, ale teraz... teraz nadzwyczajna sytuacja wymagała nadzwyczajnych decyzji. Zaintrygowałem was? Wszyscy, którzy próbowali dostać się do pana zamku, napotykali ostry opór straży.

- Pan jest zajęty.

- Czym?

- Waleniem głową w ścianę. Prosił, żeby mu nie przeszkadzać...

Tymczasem synowie Kucharza, ludzie nieco bardziej współcześni i praktyczni, oraz ja, Lija i Buldożer wprowadzaliśmy swoje porządki. Ileż nerwów kosztowali mnie tępi mężczyźni! Kobiety wszystko chwyciły w lot.

Do momentu, gdy z lasów, poziewując i kołysząc biodrami, wyszły Błękitne Hieny, wszystkie przygotowania zostały zakończone. Na murach stała żeńska połowa obrońców zamku Lee - wszystkie kobiety miały na sobie zbroje i kolczugi, a w rękach broń. Hieny z radosnym wyciem ruszyły do szturmu. Pierwsza fala atakujących utknęła na jeżach. Druga kapryśnie wyrywała sobie biżuterię i lusterka. Trzecia dotarła do rowu i w upojeniu pluskała się w aromatyzowanej wodzie... Chyba w ogóle zapomnieli, po co tu przyszli. Jedna trzecia wojaków Hien uległa demoralizacji jeszcze przed rozpoczęciem działań bojowych. Pozostali próbowali walczyć (a było ich tylu, że bez kłopotu mogliby rozebrać zamek), ale wdrapanie się na natłuszczone mury nawet przy użyciu sznura i drabiny wcale nie jest takie proste. Chronione zbrojami kobiety broniły murów, zaczęto uruchamiać spryskiwacze... Wycie atakujących przeszło w urażony i zdumiony jęk. Oszło-

mione Hieny rzucały broń i wracały do aromatyzowanego rowu, próbując zmyć dziegieć i nieczystości. W szeregi przeciwnika zakradł się chaos i obłęd...

- Milordzie! - Lija w kirysie i hełmie przypominała Joannę d'Arc. - Wróg nie wie, co robić. Krzyczą, że jeśli nie przestaniemy ich obrzucać nieczystościami, to oni zrezygnują z dalszego szturmu.

- To nie szturm, tylko zakrojone na wielką skalę atrakcje dla schizofreników! Polygon dla psychopatów! Lejcie klej!

Biała fala kleistej cieczy spłynęła w dół. Upačkane Hieny nawet nie zdążyły się obrazić, gdy z murów posypały się trociny i pióra. Nasi wrogowie wyglądali teraz jak nieboskie stworzenia. Niektórzy płakali i histeryzowali, próbując oderwać od posklejanych włosów śmieci i puch. Brakowało jeszcze ostatniego akordu... I wtedy na murach zamku pojawiliśmy się my - mężczyźni! Z ufryzowanymi włosami, podmalowanymi oczami, pościągniętymi szminką ustami... nie mieliśmy na sobie nic, prócz fartuszków ozdobionych haftem i koronkami. Przepraszam, niektórzy mieli jeszcze podwiązki na udach i opaski na ramionach. Jednym słowem, wszyscy starali się jak mogli. Na nasz widok Hieny zastygły w niemym zachwycie. Nie mogli przecież zaatakować takich mężczyzn! Erotyzm to wielka siła. Okazało się, że użycie przeciwko nim ich własnej broni było idealnym posunięciem. Atak skłęśł.

- Milordzie, Hieny się wycofują! - zameldował rażno Buldożer. Mój giermek wyglądał, jakby zszedł z okładki „Playboya” - czarna podwiązka na udzie, koronkowy czepeczek i czerwone koronki zamiast slipek. Można się było w nim zakochać!

- Nie zaatakują powtórnie?

- O nie! - Jeden z synów Kucharza się zaśmiał. - Hienom szybko nudzi się wojna. Zresztą jeszcze nigdy nie napotkali takiego oporu. Najprawdopodobniej wrócą do swoich lasów.

Wrogowie zarządzili odwrót, ale nie wyglądali na pokonanych. Być może to, co zobaczyli (to znaczy panów w kobiecych fatałaszkach), wydało im się pięknym snem. Jak można zniszczyć zamek tak czarujących mężczyzn? Jeśli faktycznie poszczuł ich Riesenkampf, takiego zwrotu akcji nie spodziewał się na pewno.

Gdybyśmy walczyli zgodnie z wszelkimi zasadami, pod wieczór z twierdzy nie zostałby kamień na kamieniu. A tak - nie straciliśmy ani jednego człowieka. Nawet jeśli pruderyjni mieszkańcy zamku sir Charlesa mnie potępiają, mam to gdzieś. Najważniejsze jest zwycięstwo! Rycerze obejmowali zakute w żelazo kobiety i ze szczęścia tańczyli razem na murach zamku, śpiewając ze mną i z Buldożerem:

Wrażą siłę pokonały

Astrachańskie zuchy!

Szeregi Błękitnych Hien rozplywały się w błękitnej mgiele horyzontu, słońce prażyło, a wrogowie już nie wydawali się wrogami. Trzech jeńców tańczyło ze wszystkimi i słowa groźnej, triumfalnej kozackiej pieśni płynęły nad okolicą:

A mateczka nasza Rosja

To całego świata głowa!!!

- Musicie mi przysiąc, landgrafie, że nigdy i nikomu nie opowiecie, jak broniono zamku Lee!

- Daję wam słowo honoru, sir Charlesie!

- Zrozumcie mnie dobrze, nie chcę, żeby wyglądało to na niewdzięczność. Odparliście Błękitne Hieny, które mają na sumieniu ponad dziesięć zniszczonych zamków, spalone wsie, stratowane pola i tysiące zabitych. Ich imię budziło grozę i przerażenie i nikt

1 1C
nigdy nie ośmieli się kwestionować wielkości waszego czynu.

Ale... jeśli można... rozumiecie mnie?

- Uspokój się, drogi gospodarzu. - Objąłem starego rycerza. - Stworzymy najbardziej heroiczną legendę o oblężeniu zamku, na jaką nas będzie stać. Myślę, że wasi ludzie sienie wygadają, a moi przyjaciele w ciągu pięciu minut stworzą taką opowieść, że w Wesnachhause muchy pozdychają z zawiści.

- Pozwólcie mi powiedzieć - wtrąciła się jak zwykle Lija - że wasz giermek już ułożył balladę i gotów jest ją przedstawić całemu gremium.

- Macie bardzo porządnego pazia. - Sir Charles się ucieszył. - Gdzie udało się wam zdobyć tak energicznego chłopca?

- To długa historia... - Odchrząknąłem. - Ale że drugiego takiego nie ma, to pewne!

- O tak, prawdziwe oddanie i wierność odchodzi z naszego świata... Ale dlaczego stoimy? Przecież wydałem polecenie, żeby nakryto do stołu!

Bawiliśmy się już drugi dzień, gdy straże zameldowały o nadejściu uzbrojonego oddziału z Wesnachhause. Już wkrótce wszyscy znaleźli się w głównej sali i markiz de Bras wznosił toast na naszą cześć, ciągle nie mogąc uwierzyć, że samodzielnie odparliśmy wroga. Ale to, co najprzyjemniejsze, było dopiero przed nami. Razem z markizem przyjechał mag i weterynarz Matwieicz. Ucałował mnie trzy razy, zgodnie z rosyjskim obyczajem, usiadł na ławie i podsunął sobie dzban z winem.

- Tak się cieszę, że cię widzę, synu. Mój Boże... Dasz wiarę, ledwie wyjechałeś, a mnie ogarnęły wątpliwości. Myślę sobie: gdzie ty się pchasz, pijany durniu? Masz tu dom, pracę, ludzie cię szanują, nikt cię nie rusza... Co cię obchodzi ten chłopak? Tylu ich było... A potem pomyślałem, że nie mogę. Nie mogę dłużej milczeć! Słu-

chaj, landgrafie, razem urządzimy Riesenkampfowi niezłą zabawę!
Już my mu pokazemy! Mój dziadek był czekistą, więc...

Gadatliwemu weterynarzowi przerwali muzycy, którzy zjawili się nie wiadomo skąd. A między nimi kroczył niczym wielkolud mój giermek! Jean niósł coś na kształt gitary i kłaniał się nieco stropiony. Lija wyskoczyła do przodu, uderzyła dłonią w tamburyn i triumfalnie ogłosiła:

- Oto ballada pod tytułem: Lord Osiernica, Obrońca i Orędownik, Wchodzący w Mrok, trzynasty landgraf Miecza Bez Imienia w nierównej walce dokonuje cudów mądrości i odwagi! Słowa i muzyka - Jean Baptiste Claude Chardin le Boulle de Guerre. Wykonanie autora!

Rozległy się gromkie brawa.

Jak już mówiłem, Buldożer miał niezły głos i teraz słuchacze zastygli w upojeniu, zapominając o całym świecie. Gdzie on się nauczył tak śpiewać? Ballada była wspaniała! Wprawdzie nie wszystko zapamiętałem, ale przytoczę niektóre fragmenty:

Pojmali w lesie niewinną dziewczynę

Postanowili ją zjeść!

I jeszcze posiąść jej urodę,

Zbrukać jej honor i cześć...

Jeden z bandytów miał w ręku nóż,

Drugi zaś trzymał linę,

Lecz groźnie krzyknął lord Osiernica:

„Wypuście tę dziewczynę!”

To o Lii i Wilczym Pazurze. A potem było o mnichach przybłądach:

Przeor łajdakiem był, co się zowie

Chciał skrzywdzić Liję i zabić mnie,

Lecz wołaliśmy: „Lord Osiernica

Powróci i zemści się!”

Nieźle, co? I jeszcze o wyprawie w Mrok:

Za wiernym paziem w głębie podziemi

W bezdenne piekła otchłanie

Lord Osiernica zszedł i ze Śmiercią

Pił wino kielichami.

I o ostatnich wydarzeniach:

Błękitne Hieny stanęły u bram,

Lecz śmiejąc im się w twarz

Pokonał męstwem ich i fortelem

Lord Osiernica nasz...

Co to się działo, gdy Jean skończył! To była prawdziwa burza,

huragan, tajfun! Myślałem, że udławiają się okrzykami zachwytu!

Dzięki tej jednej balladzie Buldożer stał się bohaterem dnia

i traktowano go teraz z większą estymą niż mnie. A przecież bal-

lada była o mnie! Co za niesprawiedliwość...

- Teraz się dopiero zacznie - Lija melancholijnie pokiwała głową.

- Nie da się ukryć, że popularność naszego Jeana znacznie wzrosła, ale mam nadzieję, że sława gwiazdy estrady nie zawróci mu w głowie. Zresztą zaraz to sprawdzimy... Hej, Jean!

Buldożer nie zareagował. Musiałem wstać, podejść bliżej i ryknąć na cały głos:

- Jean, przynieś mój miecz!

- Co? Miecz? O czym wy mówicie, milordzie? Przecież ludzie... Przyniosę później... A w ogóle, po co wam miecz podczas uczyty?

Wymieniliśmy z Liją znaczące spojrzenia, po czym chwyciłem glinianą butlę z winem i rozbiłem ją na głowie mojego giermka. Wszyscy zamarli, a Jean kichnął, strząsnął z twarzy kawałki gliny i pobiegł po moją broń. Reszta towarzystwa zachichotała radośnie, a ja odetchnąłem z ulgą i poczułem się jak prawdziwy feudał. Jednym słowem, wszystko układało się zbyt dobrze, żeby miało być prawdą. W pewnym momencie w drzwiach pojawił się strażnik i ogłosił:

- List do lorda Osiernicy!

Przekazał mi złożony pergamin, nachylił mi się do ucha i wyszeptał strwożony:

- To czary, milordzie! Żaden goniec nie przybył do zamku, list pojawił się znikąd, a potem kobiecy głos się odezwał: „Zanieś to landgrafowi!” Nie odważyłem się nie posłuchać...

Bładożółty pergamin był zapieczętowany zielonym woskiem z wizerunkiem eksplozji, drzewa... albo ośmiornicy. Skłoniłem się gościom i udając, że zmogło mnie wino, udałem się do swojego pokoju.

- Coś poważnego, milordzie? - Lija już dreptała za mną. O tak, mimo najlepszych chęci trudno byłoby ją zgubić...

- Zawołaj Buldożera. To chyba list od królowej Tanitriel.

Lija wydała cichy okrzyk i pobiegła. Kilka minut później siedzieliśmy obok siebie i rozkładaliśmy list. Nie miałem tajemnic przed moimi przyjaciółmi. Wolałem, żeby o wszystkim dowiedzieli się od razu, niż potem dwadzieścia razy wyjaśniać im, co i jak. Nie pomyliłem się. List rzeczywiście wysłała królowa Lockheimu. Witajcie, lordzie Andrieju, czy też, jak was teraz nazywają, lordzie Osiernico! Nie jestem pewna, czy mój list do was dotrze, ale nie mogę dłużej milczeć. Zaszła potworna pomyłka. Dzięki tajemniczym i niezrozumiałym okolicznościom mój mąż zdobył możliwość wpływania na czas i przestrzeń i Miecz Bez Imienia znalazł się w niewłaściwej epoce...

- Co to ma znaczyć"? - Zdumiałem się. - Wychodzi na to, że Riesenkampf sam mnie tutaj ściągnął!

- On tego nie chciał - Buldożer pokręcił głową.
- Jasne! Chcieliśmy jak najlepiej, a wyszło jak zwykle. Niech się łobuz nauczy pracować z tak delikatną materią jak czas i przestrzeń!
- Czytajcie dalej, milordzie! - poprosiła Lija.

Wasze pojawienie się w naszym świecie jest niewybaczalnym błędem. Teraz już rozumiem, dlaczego wydaliście mi się tacy dziwni. Poprzedni landgrafowie byli inni, wychowywali się przy brzęku oręża, zapachu pożogi, czując tchnienie walki, więc wiedzieli, na co się decydują. Żałuję swojej nieprzemyślanej prośby, a ponieważ przez pomyłkę uczyniono was landgrafem...

- Co? - ryknął Jean. - Kogo przez pomyłkę uczynili landgrafem?

- Normalnie ześwirowała! - wykrzyknęła Lija. Rany boskie, jak oni szybko podłapują moje wyrażonka... - Kto jeszcze, prócz lorda Osiernicy, może nosić tytuł landgrafa? Nikt!

- Nie ma nikogo bardziej godnego od naszego pana! - wykrzyknęli chórem.

.. .zwalniam was ze wszystkich nałożonych na was zobowiązań. Ratujcie siebie i nie myślcie o mnie! Riesenkampf jest wściekły, nigdy jeszcze nie widziałam go w takim stanie. Błagam, zostawcie wszystko i uciekajcie. On zamyśla coś strasznego. Na wszystkich, którzy wam pomogli, spadnie straszliwa kara! Nigdy bym sobie nie wybaczyła, gdybyście zginęli... Żegnaj, landgrafie, i zapomnij o mnie. Tanitriel

Lija i Jean patrzyli na mnie wyczekująco. Ten list sporo zmieniał. Nikt nigdy nie potępiłby rycerza, który wycofał się na prośbę damy. Zresztą życie wielu drogich mi ludzi znalazło się w niebezpieczeństwie. Musiałem uznać racje królowej - moim przyjaciołom groziło niebezpieczeństwo. I faktycznie co tam ze mnie za landgraf...

W rogu, na kufrze leżał Miecz Bez Imienia. Piękna, zagadkowa klingo, jak mogłaś się tak pomylić? Wziąłem go do ręki. Znowu poczułem ciepło rękojeści i zachwycającą lekkość ostrza. Jaka siła mogłaby mnie zmusić do rozstania się z nim? Prośba damy? Cóż, podobno odmawianie koronowanym głowom jest w złym guście...

- Hej, skąd ten smutek? Przejmujecie się tym, co napisała jedna pomyłona kobieta? W końcu jestem landgrafem czy nie jestem? - Jesteście!!!

Wróciliśmy do sali, ale nie zdążyliśmy zasiąść do stołu - wydarzenia rozwijały się błyskawicznie. Chyba zacząłem rozumieć przyczynę nerwowości mojego wroga. Niedawno imieniem Riesenkampfa straszono dzieci, a wymówienie go na głos było złym znakiem. A teraz, widząc, jak wielki czarnoksiężnik nadaremnie poluje na jednego jedyne landgrafa, lud zaczął się śmiać w kółka. Rycerstwo otwarcie wyrażało swoje sympatie, obywatele Wesnachhouse rozbili w puch oddział Rajumsdala, król przez palce spoglądał na oburzającą namiętność córki, a wszyscy wierni tyra-

nowi osobnicy albo ginęli, albo dostawali po nosie.

Przedtem władca szczuł na mnie Wilczego Pazura, wiedźmy, mnichów, inkwizytorów, Błękitne Hieny, a teraz przyszła pora, żeby osobiście wziąć udział w polowaniu na trzynastego landgrafa. Riesenkampf urządził taką pułapkę, do której musiałem wejść. Dokładnie wiedział, że tam pójde, a ja dokładnie wiedziałem, że on na to czeka...

Strażnicy wprowadzili zakurzonego gońca.

- Lordzie Osiernico, liczyłem, że zastanę was w Wesnachhause, ale skierowano mnie tutaj. Stało się wielkie nieszczęście! Król Plimutrok prosi was o pomoc!

- Co się stało?

- Bezbożny Rajumsdal wziął do niewoli łagodną królowną Lionę i trzyma ją teraz w Wieży Trupów, żądając w zamian waszej głowy. Jego Wysokość jest w rozpacz, czeka na was w Risteil i ma nadzieję, że zdołacie uwolnić jego córkę. Ponadto Plimutrok Pierwszy wzywa wszystkich wiernych mu wasali i lenników, aby bronili czci królowny i stanęli do walki przeciwko synowi Riesenkampf!

W sali zapadło pełne napięcia milczenie. W końcu wstał jeden ze starych rycerzy i wpatrując się w podłogę, powiedział niepewnie:

- Przecież nie można walczyć z wolą Riesenkampf...

- Trzy lata temu baron Horst otwarcie odmówił noclegu Rajumsdalowi, a następnej nocy na jego zamek spadła czarna gwiazda i zniszczyła wszystko aż po fundamenty!

- Szanujemy lorda Osiernicę, ale przecież jest człowiekiem szlachetnym i nie odmówi uwolnienia królowny. Może nie zabija go od razu, a my z czasem zbierzemy godny okup...

- Co powiecie, landgrafie? - zapytał Charles Lee, który chyba zaczynał gotować się ze złości.

- Co powiem? Jean, szykuj konie, wyjeżdżamy! Lija, sprawdź moje rzeczy i weź prowiant na drogę. Dzięki za gościnę, panowie. Wrogowie sobie poszli, nie musicie się już nikogo obawiać. Doprawdy, nie warto pchać się do nowej rzezi. Wielkie rzeczy, królowna. .. powiedzmy sobie szczerze, wcale nie taka łagodna... Król Plimutrok nie powinien mieszać was w swoje prywatne problemy, to przecież sprawa rodzinna. Życzę wam długich lat życia w cieple, wygodzie i spokoju!

- Dokąd idziecie, milordzie? - wykrztusił ktoś, gdy inni milczeli zawstydzeni.

- Obić głębę Rajumsdalowi! - Odwróciłem się i szybko wyszedłem na podwórzec. Do diabła z nimi, sam sobie poradzę. Skoro lubią, gdy się na nich jeździ jak na łysej kobyle... Moi przyjaciele już czekali. Strażnik, nie patrząc na nas, otworzył bramę.

- Nie osądzajcie nas, milordzie - powiedział. - Na tym pograniczu człowiek tak ma dosyć wojaczki... A to przecież nie bitwa, to pewna śmierć.

Z zamku wyjechaliśmy we trójkę w absolutnym milczeniu. Nie dlatego, że nie mieliśmy o czym rozmawiać - po prostu każdy opracowywał swój własny plan zemsty na płowowłosym księciu. Ale już dziesięć minut później usłyszeliśmy za sobą tętent - to doganiała nas drużyna sir Charlesa i oddział z Wesnachhause. Matwieicz jechał pierwszy. Z trudem łapiąc oddech, zauważył z pretensją:

- Mogłeś przecież poczekać!

- Jesteśmy z wami, landgrafie... - Kucharz i markiz się skłonili.

Hura!

Nie będę opisywał oglądanych po drodze krajobrazów, nie mam ochoty na opisy przyrody. Każdy chętny może sobie narysować sielankowy obrazek. Na początek wszyscy ruszyliśmy do Wesnachhause, gdzie zebraliśmy ekwipunek niezbędny do długiej i niebezpiecznej wyprawy. Zamek księcia wszyscy świetnie znali. Liczni świadkowie opisywali go jako ogromny prostopadłościan o lśniących jak szkło ścianach, z wąskimi okienkami strzelniczymi, żelaznymi bramami, mrocznym podziemiem i specjalną deską przy wejściu, do której przybijano za uszy ofiary tego imbecyla. Czyli dawna groźba Rajumsdala nie była bezpodstawna... Oczywiście żadnych sensownych planów ani szkiców Wieży Trupów nie było. Wiadomo tylko, że twierdza jest niedostępna, garnizon liczny i zacięty, i że nikt nigdy nie próbował szturmować siedliska Rajumsdala. Nie ma co, wesoło. Przecież tutejsi ludzie nie są tchórzami, a to znaczy, że istniały jakieś inne przyczyny. W jaki sposób jeden łajdak mógł trzymać w garści cały kraj?! Chociaż czemu nie, wystarczy przypomnieć sobie przykłady z własnej historii... Pod wieczór zebraliśmy się na krótką naradę wojenną. Ja byłem przewodniczącym, Lija sekretarzem, słuchaczami zaś - Jean Baptiste Claude Chardin le Bouille de Guerre (tyle imion, a osoba jedna).

- Pierwszy punkt programu dnia: bić czy nie bić?

- Bić! - zagłosowali moi przyjaciele.

- Przyjęte jednogłośnie. Drugi punkt: jeśli bić, to jak?

- Jak rozkażecie, lordzie Osiernico! - Buldożer wzruszył ramionami. - Jeśli będzie trzeba, zniszczymy twierdzę, jeśli nie, wybijemy garnizon i zajmiemy wieżę. A jeśli i to sienie uda, otoczmy wroga ze wszystkich stron i zamorzemy głodem!

- Puknij się w głowę! - poradziła mu Lija. - Nikomu nie uda się zdobyć twierdzy Rajumsdala, a prowiantu wystarczy im na dwadzieścia lat. Jeśli wolno mi przypomnieć, milordzie, cały szturm może trwać najwyżej dwie godziny, nie dłużej. Potem sam

Riesenkampf dowie się o bitwie i zrzuci na nas wszystkie gromy piekieł. Książę nie jest groźny, ale jego ojciec to wielki czarownik. Nie wolno nie doceniać jego potęgi!

- Brawo, Lija! Ucz się, giemku! Niby dziewczyna, a jak trafnie ocenia sytuację!

- Lordzie Osiernico, przecież ma pan większe doświadczenie bojowe - podlizzał się szybko Jean. - Powiedzcie, jak planujecie przeprowadzić tę kampanię?

- No, cóż... Przede wszystkim uważam, że to pułapka. Riesenkampf spodziewa się, że zbuntujemy całe królestwo, pomożemy królownie Lionie i ugrzęźniemy w walkach pod murami, a wtedy on uderzy niespodziewanie i za jednym zamachem rozwiąże wszystkie swoje problemy. Wasz naród dostanie porządną lekcję, Miecz Bez Imienia znajdzie się w rękach Riesenkampfa, a ludziom na długo się odechce machać bronią. Domyślałem się, czym są gromy, błyskawice oraz spadające gwiazdy, ale nie sądziłem, że współczesną broń można ściągnąć do waszego świata. Zwykle nie dopuszcza się do takich wybryków...

- Skoro wróg spodziewa się, że wejdziemy prosto w jego łapy, to chyba nie powinniśmy tego robić.

- Niestety. - Pokręciłem głową. - Wtedy po prostu zastawi nową pułapkę. Sądzę, że należy stworzyć niewielki oddział dywersyjny i spróbować wykraść królowną. Sztuka bycia niewidzialnym... Rozległo się pukanie do drzwi i wszedł markiz de Bras.

- Lordzie Osiernico, przepraszam, że niepokoję, ale przed bramą stoi jakaś żebraczka z chorą dziewczynką na rękach. Chce się z wami widzieć.

- Ze mną? Nie przypominam sobie, żebym komuś wyznaczał spotkanie.

- Tak właśnie pomyślałem. Zaraz każę dać jej chleba i przegonić.

- Po co zaraz przeganiać? Po prostu w tej chwili jestem zbyt zajęty, żeby rozdawać autografy. Nie powiedziała, czego chce?

- Nie - Markiz odwrócił się do wyjścia. - Tylko dziewczynka szeptała coś o Cichej Przystani. Pewnie bredziła...

- Czarnowłosa, z charakterystycznym nosem?

- Tak.

- Weronika?! - Popatrzyliśmy na siebie strwożeni.

- A potem nad nami rozległ się głośny pomruk. Podniosłyśmy głowy i ujrzaliśmy trzy latające demony. Zaatakowały nas i Cicha Przystań przemieniła się w piekło. Ziemia wybuchała, huk był taki, że pękały bębunki, rozpalone kawałki metalu szarpały ciało, a demony nadal zrzucały czarne gwiazdy, siejąc śmierć i zniszczenie. Nie minęło nawet pięć minut, gdy po naszej Przystani zostało zryte pogorzelsko... - Głos Gorgulii Times był suchy i pozbawiony życia. - Niemal wszystkie wiedźmy zginęły... Zostały tylko trzy,

a i te są tak przygnębione, że nie wierzą nikomu. Weronikę znalazłam nieprzytomną, pewnie cisnęło nią o ziemię. Kawałek metalu wgryzł mi się w ramię, ale wyrwałam go zębami. On nas zniszczył, landgrafie...

Lija troskliwie podsunęła naczelną wiedźmie kubek grzanego wina i zmieniła chłodny kompres na czole śpiącej Weroniki.

- Zabiję go! - krzyknąłem. Jeśli Riesenkampf liczył, że w ten sposób skłoni mnie do działania, to się nie mylił. Niech się teraz martwi...

- Nie można go zabić. On zniszczy wszystkich...

- A proroctwo?

- Co za idiota je wymyślił? - powiedziała bardzo cicho Gorgulia Times, spoglądając na miecz. - Wybaczcie, landgrafie, trochę odpoczniemy i ruszymy dalej. Przecież na świecie musi być choć jedno miejsce, w którym można się ukryć przed tym zabójcą. Musimy je znaleźć...

Podszedłem do okna i w milczeniu wpatrzyłem się w dal. Lasy ciągnęły się aż po horyzont, morze lśniło w słońcu, panowała cisza i spokój. Gdzieś niedaleko leżały trupy biednych wiedźm-emerytek. To prawda, wyrządziły ludziom wiele zła i może za te wszystkie złe uczynki dostały to, na co zasłużyły, ale przecież ten psychopata nie będzie ich sądził! Sam ma ręce we krwi aż po łokcie! Poczulem zmęczenie. Wszystko, co działo się do tej pory, dotyczyło wyłącznie mnie. Bawiliśmy się z przeciwnikiem w ciuciubabkę, ale zabawa dotyczyła tylko nas. A teraz zabawa się skończyła. Wróg przystąpił do planowej likwidacji obsady oraz niszczenia dekoracji. Były pierwsze ofiary. Już za samą Weronikę udusiłbym drania! Kto będzie następny? Liona, Plimutrok, mieszkańcy Wesnachhause? A może Kucharz i jego synowie? Albo de Bras? Czekanie byłoby przestępstwem.

- Nie będę już przed nim uciekał. Atakujemy.

- Mówicie poważnie? - spytała cicho wiedźma.

- Pewnie! - Lija i Buldożer potwierdzili entuzjastycznie. -

Nasz lord jest straszny w gniewie! Władca Lockheimu lepiej by zrobił, gdyby się gdzieś schował i przeczekał...

- Spokój ma być! - krzyknąłem surowo. - Plan jest taki. Jutro cała drużyna rusza w drogę o świcie. Myślę, że do pełnego sukcesu operacji będziemy potrzebowali wszystkich wojsk. Gorgulia, nie śmiem pani prosić o wzięcie udziału, ale może zdołałaby pani wezwać na pomoc oddziały Złobyni i Brumela?

- To nie będzie trudne.

- Dziękuję. I jeszcze jedno: proszę opisać szczegółowo te latające demony.

- Cóż... przypominają ogromne beczki, skórę mają zieloną w rude plamy, brzuch błękitny, na nogach koła, na górze trąbę po-

wietrzną i długi, sztywny ogon...

- Helikoptery! Jak mu się udało je tu ściągnąć?

- Wiecie, znając imię demona, można spróbować nim rządzić...

- W tym przypadku to nie zda egzaminu. A nie próbowaliście chronić się zaklęciami?

- Atak był niespodziewany... - Siwa wiedźma pokręciła głową. - Przywykliśmy, że to my atakujemy, i po prostu nie zdążyliśmy zrozumieć, że tym razem mamy być ofiarami. Poza tym nie jesteśmy wojownikami, lecz kobietami.

- Rozumiem...

- Milordzie, jak chcecie walczyć z latającymi demonami, skoro nawet wszystkie wiedźmy Cichej Przystani były wobec nich bezsilne? - zapytał cicho Jean.

Dobre pytanie...

Nie miałem żadnego konkretnego planu, ale gdzieś w głębi mózgu już dojrzywał pewien pomysł. Zdaje się, że widziałem tu coś odpowiedniego do walki z helikopterami, tylko kiedy? Aha, już wiem! Zaraz po moim przybyciu do Środkowego Królestwa po niebie przeleciał złocisty smok. Pozostawał już tylko drobiazg - schwytać smoka i skłonić go do współpracy...

Kucharz i de Bras ruszyli do Ristail, żeby połączyć się z wojskiem króla. Gorgulia Times i Weronika zostały w Wesnachhause do czasu wyzdrowienia młodej wiedźmy. Przy użyciu nietoperzy kniaziowi i porucznikowi wysłano pilne depesze, w których polecono im wyruszyć w rejon zamku Rajumsdala i czekać w zasadzce. Każdy miał jakieś zajęcie, więc postanowiłem wykorzystać wszystkie rezerwy. Wyobrażacie sobie reakcję moich przyjaciół na propozycję schwytania smoka? Co powiedziała wiecznie niezadowolona Lija? A tchórzliwy rycerz? No tak... Po prostu oszaleli z zachwytu! Trzeba to było widzieć! Dziewczyna biegała po korytarzach, meldując każdemu napotkanemu człowiekowi:

- Mój lord rusza na smoka! Zazdrościcie mu, prawda? - Wszyscy wzdychali żałośnie i strasznie zazdrościli.

Buldożer, udając bywałego wojaka, łął przed młodymi rycerkami jak z nut:

- Ósmego smoka lord zadusił gołymi rękami. Nie lubię, powiada, tego specyficznego zapachu smoczej krwi... - Co za kłamczuch! Chociaż z drugiej strony, lubię takie drobne komplementy i zawsze z przyjemnością słucham jego opowieści o sobie.

Matwieicz postanowił się do nas przyłączyć - jako weterynarz strasznie chciał zobaczyć na własne oczy żywego pterodaktyla.

Pojechaliśmy we czwórkę.

Miejscowi mieszkańcy zapewniali, że smoki występują w pobliżu górskiej granicy, niedaleko posiadłości Charlesa Lee. Kilka dni później byliśmy na miejscu. Wybaczcie rzeczowy styl opowie-

ści, ale wydarzenia utraciły dla mnie całą romantykę i wydawały się zupełnie zwyczajne. Góry jak góry, okolica kamienista, drzew dużo, nawet grzyby są... gdybyśmy nie mieli pilniejszych zajęć, moglibyśmy urządzić całkiem miły obóz alpinistyczny. Znad wzniesienia unosiły się smugi dymu, co pozwoliło nam odnaleźć smoka bez większych problemów. Zsiadliśmy z koni, przywiązaliśmy je i ruszyliśmy. Wystarczyło zajrzeć za skalny załom. Wtedy go zobaczyliśmy. O rany! Okazał się całkiem spory (długości trzech wagonów tramwajowych) i srebrzystoszary; skrzydła jak u nietoperza, skóra niczym garbowana, pewnie nawet mieczem się nie przebije. Oczy miał zamknięte, oddech równy, drzemał z głową ułożoną na wyciągniętych łapach, zakończonych potężnymi szponami. Dałem znak i przysiedliśmy pod skałą na naradę.

- Bierzemy? - spytała krótko Lija. - Czy szukamy większego?

- Taak, masywne zwierzątko... - potwierdził Matwieicz.

- Jean, przypomnij no mi, czy słyszano u was o przypadku wzięcia smoka do niewoli?

- Raczej nie. Zazwyczaj się je zabija, a łeb przynosi w darze pięknej damie.

- Nie rozumiem - znowu wtrąciła się Lija. - Zamierzacie go wziąć żywcem? Jakim cudem? Może mam słabą wyobraźnię, ale czy będziecie go ciągnąć na sznurku?

- Jeszcze nie zdecydowałem, okaże się na miejscu. Ciekawe, czy reaguje na gwizd? Szanowny magu, udzielcie porady jako specjalista!

- To skomplikowana sprawa, synu. Nigdy takich bydląt nie leczyłem, ale myślę, że struktura wewnętrzna nie jest bardziej złożona niż u krowy.

- A czy smoki umieją mówić? - Coś mi się przypomniało.

- Jeśśście jak - odpowiedział ktoś głośno. A nie był to Matwieicz ani Lija, ani Buldożer.

Rozejrzeliśmy się. Za skałą nikogo prócz nas nie było.

- Halucynacja! - domyślił się Jean.

- Sam jesteś halusynacja! - oburzył się głos.

Podnieśliśmy głowy do góry - zza skały wyglądał pysk obudzonego przez nas smoka.

- Chyba śpię. Uszczypnijcie mnie, milordzie... - poprosiła szeptem Lija.

- Mogę ja? - zapytał radośnie jaszczur i obejrzawszy nas z kulinarne punktu widzenia, zauważył: - Bo stlaśnie chce mi się jeść...

Wcisnęliśmy się plecami w skałę. Jedna sprawa dyskutować o wyższości człowieka nad jego braćmi mniejszymi, a druga - spotykać się z nimi oko w oko. Zresztą, jakimi braćmi, nie mówiąc już o mniejszych? Przy takich krewnych, po co mi wrogowie?

Tymczasem potwór puścił bańkę ze śliny i wyciągnął do mnie łapy,

niesłusznie decydując, że jestem najsmaczniejszy. Miecz Bez Imienia sam wsunął mi się w dłoń, ale wcale nie chciałem zabijać tego wygłodzonego stwora.

- Przyjacielu! Marnie wyglądasz. Nie jesteś przypadkiem chory?

- Mosliwe... - Smok zatrzymał się niepewnie. - Wątłoba mi doskwiała i w uchu dzwoni.

- I jeszcze masz pryszcz na ogonie! - Pokazałem.

- Gdzie? Ojejku!

- Trzymaj się, bracie, jesteśmy z towarzystwa ochrony zwierząt rzadkich, ze szczególnym uwzględnieniem wymierających gatunków. Przybył tu z nami wielki mag, weterynarz Matwieicz. Nie minie nawet rok, gdy postawi cię na nogi.

- A ja was o mało nie zjadłem... - Smok poczuł się winny. - Pseplasm, baldzo pseplasm, plose, wejdźcie do mojej skłomnej piecalki...

Jak widzicie, ze wszystkimi można się dogadać, nawet z latającymi jaszczurkami o przerażającej długości i małym rozumku. Matwieicz badał nowego pacjenta przez pół godziny.

- Zdrow jak byk! - poinformował nas szeptem. - Organizm wyliczony na osiemset lat, system nerwowy jak ze stali, serce jak dzwon. Ale wmówiłem mu taki zestaw chorób, że bez mojej zgody nie zrobi nawet kroku.

- Fantastycznie. Hej, słuchajcie, wielki mag twierdzi, że niebezpieczeństwo minęło. Dzisiaj nie zostaniemy zjedzeni.

- I potem też nie... - Smok pokiwał ze smutkiem głową. -

Mogę jeść tylko dlani z nadkwasotą, a tak - wyłącznie dieta warzywna! Łózne tam mlecze...

- Skoro doktor tak powiedział, to znaczy, że tak musi być. Z lekarzami nie ma dyskusji. Aha, zapomniałem nas przedstawić: jestem lord Osiernica, trzynasty landgraf Miecza Bez Imienia, to Lija, to Buldożer, a maga już znasz.

- Baldzo mi psyjemnie. Klólik. - Nasz nowy przyjaciel skłonił się uprzejmie.

- Gdzie królik? - Jean się rozejrzył.

- Ja jestem Klólik. - Smok zawstydził się trochę. - Tak mnie nazywają z powodu kololu skóry. Ale tak w ogóle jestem baldzo odważny!

- Milordzie, mogę was na chwilę prosić?... - Lija pociągnęła mnie za rękaw. - Chcecie wziąć tego kretyna na wojnę? Przeciwno trzem latającym demonom jeden smok o imieniu Królik? Z białą skórą i defektem wymowy? Przecież Riesenkampf umrze ze śmiechu!

- Nie wszystko ci jedno, jak on umrze? Niechby nawet ze śmiechu, byle jak najszybciej.

- Nie bierzcie go, milordzie. Będziemy mieli same problemy z tym ochotnikiem.

- Za to jaki atut w pertraktacjach z Riesenkampfem!

- A czym go będę karmić? - jęknęła nasza szefowa zaopatrzenia. - Zapomni, że jest na diecie, robi „haps” i zostaną po mnie tylko kapcie...

- Traktuj go bardzo surowo - poleciłem. - A jak ci już mocno dokuczy, to pokaż mu jakiegoś łobuza (Boże, co ja plotę, przecież ona tak właśnie robi!). To znaczy, miałem na myśli... Opowiesz mu bajkę, zagadasz, żeby przestał myśleć o jedzeniu, a potem coś wykombinujemy.

- Dokąd teraz, milordzie? - zainteresował się Jean.

- Nasza trójka w stronę Wieży Trupów, szanowny weterynarz z powrotem do Wesnachhause, a Królik... Hej, Królik! Chcemy polecieć na taką jedną imprezę, żeby się zabawić. Co myślisz o tym, żeby rozszerzyć naszą grupę o jednego smoka?

- Super! Jestem z wami, landgrafie!

- Ale muszę cię uprzedzić, że nie jesteśmy tam zbyt lubiani.

- A nawet bardzo nielubiani! - palnęła Lija.

- Ale i tak pójdziemy, żeby im zrobić niespodziankę - dorzucił Jean.

- Ale może się okazać, że gospodarzom się to nie spodoba i będą nam chcieli dołożyć - podsumowałem.

Smok zastanawiał się przez chwilę, a potem niepewnie zaproponował:

- W takim lazie może... ja na nich plunę? - I w charakterze demonstracji zwierz plunął strugą ognia na dwadzieścia metrów. Z samotnej sosny został zwęglony kikut.

- Widzicie?! A wy mówiliście... Od razu bardzo mi się spodobał! I w ogóle, zawsze mówiłam, że królik to brzmi groźnie! - podsumowała Lija, obejmując stwora za szyję.

Z wizytą do księcia Rajumsdala nie szliśmy, lecz lecieliśmy. Nie jestem miłośnikiem takich przelotów, zbyt dobrze pamiętam piruety miotły Weroniki, ale nasz nowy przyjaciel nalegał. Bardzo chciał się nam przypodobać, a Lija i Buldożer strasznie chcieli przelecieć się na smoku. Uprzedzając maga weterynarza, żeby dopilnował jak najszybszego wymarszu wojsk, usiedliśmy wygodnie na karku smoka, między zębami grzebienia. Na wszelki wypadek Matwieicz przywiązał nas mocno sznurami i zapasowymi popręgami. Królik mrugnął do nas i wzbiliśmy się w powietrze. Matwieicz z końmi został w dole, a przed nami na całą szerokość otworzył się przestwór upajająco błękitnego nieba.

Początkowo naprawdę było świetnie. Płynny lot, porządna prędkość, serdeczna rozmowa z pilotem... Gdyby jeszcze kręciły się ste-

wardesy z napojami, można by śmiało dać reklamę: Latajcie smokami Aeroflotu! Orzeźwiający wiatr w twarz, wspaniała pogoda, moja drużyna ogarnięta szczenięcym zachwytem... Wywnioskowałem, że mimo sporej liczby smoków w tym kraju, nikt przedtem nie wykorzystywał ich w charakterze maszyn latających. Pewnie nie mogli się dogadać co do serwisu i opłat. Z Królikiem nie było takich problemów, zwierzak był latającą uprzejmością. Twierdza Rajumsdala znajdowała się trzy dni drogi od Wesnachhause, a ponieważ wylecieliśmy po południu, następnego dnia powinniśmy już być na miejscu. Nocowaliśmy pod jakimś wzgórzem. Jean twierdził, że grasują tutaj duchy, samo wzgórze zaś bardzo przypomina kurhan, ale noc upłynęła spokojnie. Lija zauważyła złośliwie, że dowiedziawszy się o przyjeździe okrutnego landgrafa, duchy ogłosiły strajk i postanowiły się nie wychylać. Tak czy inaczej, noc minęła bez kłopotów. Wstaliśmy wcześniej, ale musieliśmy czekać dwie godziny aż zwierzątko naje się mleczów. Spróbowałem - strasznie to gorzkie. Trudno mieć zresztą pretensje do smoka, w końcu to my narzuciliśmy mu takie menu. Muszę przy okazji wspomnieć Matwieiczowi, żeby był łagodniejszy dla pacjentów. Ale gdy wzbiliśmy się w powietrze, już wszystko było w porządku i przed południem zamajaczył przed nami czarny wieżowiec.

- Wieża Trupów! - wykrzyknął Buldożer.

- Podlećmy bliżej. Chcę przyjrzeć się tej budowli przed szturmem - poleciłem.

Królik skinął łbem i zaczęliśmy krążyć nad twierdzą. Tak jak myślałem - szeroki, płaski dach budynku był wygodnym lądowiskiem. Stały tu właśnie trzy helikoptery, każdy z karabinem maszynowym z przodu i dwoma fotelami dla pilotów. Oczywiście zostaliśmy zauważeni - zdziwiłbym się, gdyby było inaczej. Na placyk wypadli ludzie, pokazał się również książę. Lija, celując starannie, splunęła mu na głowę i chyba nawet trafiła. Razem z przekleństwami w naszą stronę poleciały strzały.

- Impleza jus się zaczęła? - zainteresował się Królik.

- Myślę, że tak! Skrećmy na bok, tam jest więcej miejsca do manewrowania.

- A co, już walczymy? - przeraził się Jean.

- Jeszcze nie! - uspokoiłem go. - Zanim podniosą helikoptery, zanim nas zaatakują... Masz jeszcze całe dwie minuty, żeby się odwiązać i zeskoczyć. Co to za wysokość, najwyżej sześćset metrów. ..

Buldożer spojrział w dół, coś w myślach policzył i umilkł. Flota bojowa przeciwnika już była w powietrzu.

- Cemu się nas cepiają? - zdumiał się szczerze Królik.

- Widocznie nadkwasota im dokucza - wyjaśniłem.

- Tak? A mógłbym dwóch? Zgodnie z zaleceniami doktora... -

poprosił skromnie smok.

Nie widzę przeciwwskazań - pozwoliłem. Jeszcze nam na tym wegetariańskim wikcie schudnie i osłabnie... Spróbujcie kiedyś przez cały dzień jeść wyłącznie mlecze, a potem pokonywać w powietrzu duże odległości z potrójnym ładunkiem...

- Eskadra, naprzód! Przygotować się do walki! - Machnąłem mieczem, próbując zagłuszyć narastający strach. Lija ściągnęła brwi i wydała groźny okrzyk, zaciskając pięści. Jean zamknął oczy. Królik wydał dziwny dźwięk i wypuścił z nozdrzy strumień dymu. Walka powietrzna rozpoczęła!

O, nie! Czy to mnie nie podobały się loty na miotle? Ależ nie ma nic bardziej bezpiecznego! Za to lot na walczącym smoku... Powiem wam szczerze, że to niezapomniane przeżycie. Ciężko mi nawet opisać tę walkę. Zaatakowano nas rozwiniętym szykiem, waląc z automatów dużego kalibru. Od Królika kule się odbijały, nas na szczęście nie trafiały. Smok był bardzo zwrotny, pikował, robił pętle, zwroty bojowe i wchodził w korkociąg. Dwa razy zrobiło mi się niedobrze. A potem Królik zapalił jeden helikopter szczególnie udanym splunięciem.

- Brawo, kotku! - wrzasnęła Lija. Trzeba ją było widzieć! Włosy rozwiane, płonące oczy, a błędnik chyba w ogóle jej amputowano. A ja miałem tylko jedno marzenie - umrzeć jak najszybciej, i jeśli to możliwe, nie z piętami w górze, lecz w jakiejś bardziej odpowiedniej pozycji. Potem Królik wczepił się szponami w drugą maszynę i starając się uniknąć ciosu śmigła, zaczął wydłubywać z helikoptera pilotów. Chyba ich nawet zjadł... Nie widziałem tego zbyt wyraźnie, zresztą wcale nie miałem ochoty się przyglądać. Wróg to wróg, a opowieści o wyjątkowości każdej jednostki zostawmy pacyfistom. Trzecia załoga okazała się mądrzejsza i „demon” znikł za horyzontem. Nasz smok ryknął kilka razy na pokaz, spryskał ogniem dach Wieży Trupów (żeby im się podczas naszej nieobecności nie nudziło), wzbil się ponad chmury i miękko wylądował na zielonym wzgórzu kilometr od twierdzy Rajumsdala.

- Postój! - zakomenderowałem i runąłem na trawę.

Chłodna dziewczęca dłoń spoczęła delikatnie na moim czole.

Boże, łeb mi pęka... Wcale nie chcę otwierać oczu! Poleżę sobie...

- Milordzie! - Usłyszałem trwoźny bas Buldożera. - Wszystko w porządku?

- Oczywiście, że nie! - odparła rozdrażniona Lija, kładąc swoją głowę na swoich kolanach. - Cierpi na depresję pochodzącą z przemęczenia i wyczerpania nerwowego. - Aż się wzdrygnąłem na tak dokładną diagnozę.

- Rusza się - zauważył raźniejszym tonem Jean.

- Zupełnie się ten człowiek wykończył. Pracuje dzień i noc,

wszystkich ratuje, nie ma dnia bez mordobicia, całymi nocami nie śpi, bo myśli, jak dokuczyć Riesenkampfowi. Tyle razy dosłownie wydłubywał nas z zębów Śmierci! A my? My nie możemy mu nawet zapewnić porządnego wypoczynku. Milord ma rację, to dziki kraj!

- Żadnego życia kulturalnego... - przytaknął ze smutkiem mój giermek. - A nasz pan jest taki dobry, ktokolwiek go o coś prosi, nikomu nie odmówi! I wszyscy to wykorzystują.

- Może powinien pobierać pieniądze za usługi?

- Pieniądze na razie mamy.

- Trzeba kupić zamek - powiedziała stanowczo Lija, wachlując mnie chusteczką. - Zaraz mu o tym powiem, jak się tylko ocknie! Włączymy się po kraju niczym wyrzutki. A pieniądze pożyczymy od Plimutroka i nie oddamy. W końcu ratujemy mu córkę, nie? To niech płaci.

- No, nie wiem... pewnie rację masz, chociaż... Mój ojciec ma rodowy zamek, możemy tam zamieszkać.

- A smok się tam zmieści?

- Smok?

- No dobrze, możemy mieszkać bez niego. Królik będzie do nas przylatywał co roku na Wielkanoc. Ja włożę długą, aksamitną suknię, zaczeszę włosy do tyłu i w ogóle nic nie będę robić.

- A ja i milord będziemy siadywać wieczorami przy kominku, wspominać dawne dzieje, pić wino i...

- Ty byś tylko pił, alkoholiku! - prychnęła Lija. - Nie rozumiem, po co w ogóle zostałeś rycerzem. Siedziałbyś raczej w domu i grał sobie w kości.

- Ojcu bardzo na tym zależało, taka rodzinna tradycja, rozumiesz. Wiesz, jak to jest w rodzinach szlacheckich... jak tylko się czymś narazisz, zaraz pozbawiają cię spadku, tytułu i Bóg wie czego jeszcze. A czemu ty uciekłaś sprzed ołtarza? Wyszłabyś za mąż, urodziła dzieci i żyła sobie spokojnie, zajęta dziećmi i domem.

- Nawet mi nie mów - westchnęła gorzko Lija. - Sama ciągle zadaję sobie to pytanie: dlaczego? Wszystkie te walki, wyprawy, cały ten zgiełk... Z jednej strony, absolutnie nieodpowiedni tryb życia dla takiej skromnej dziewczyny jak ja, ale z drugiej... przecież to takie ciekawe!

- No właśnie! Jak tylko milord pokona Riesenkampfa, od razu zrobi się nudno.

- Wcale nie chcę, żeby go pokonał.

- Coś ty?! Chcesz, żeby lord Osiernica przegrał?

- Głupi! Oczywiście, że nie! Po prostu... widzisz, gdy spełni się proroctwo i landgraf obali tyrana, to... to przecież odejdzie. Wróci do swojego świata. Nie zostanie z nami.

Buldożer i Lija zaczęli podejrzanie posapywać. Rozumiejąc, że zaraz zaczną się łyzy, postanowiłem przerwać te sentymenty i odzyskać przytomność.

- Koniec odpoczynku! Jak tam z obiadem, dziewczyno?

- Ser, szynka, chleb, czosnek, białe wino oraz jabłka - oznajmiła Lija sztucznie rażnym głosem.

Jean pomógł mi usiąść. Królik drzemał, otulony skrzydłami, a my oddawaliśmy się obżarstwu, przy okazji omawiając dalsze plany.

- Milordzie, nie boicie się, że Riesenkampf nas zaatakuje?

- Nie, Jean. Po pierwsze, jestem pewien, że ten drań od dawna jest zorientowany w sytuacji i świadomie poświęcił dwa helikoptery, żeby tylko nieodwołalnie wciągnąć nas w tę akcję. A po drugie, facet zakłada, że mam jeszcze jakieś asy w rękawie i czeka, aż pojawią się wszyscy uczestnicy rozgrywki.

- Wychodzi na to, że postępujemy zgodnie z jego planem?

- Do pewnego momentu, tak - potwierdziłem. - Poczekamy na kniazia i diabły, a potem spróbujemy przeniknąć do Wieży...

- Dobry plan, panie pułkowniku! - rozległ się za moimi plecami wesoły głos. - Pierwsza połowa już się pomyślnie zakończyła, ale druga jeszcze czeka na swoją kolej.

Uradowany objąłem Brumela i Złobynię. Połączony oddział dywersyjny był gotowy na wszystko, a ja zapoznałem każdego z jego zadaniem. Postanowiłem grać va banque i spróbować wyprowadzić Rajumsdala z równowagi, zmuszając go do popełnienia jakiegoś głupstwa. Zostawiliśmy najedzonego Królika, żeby dokończył poobiednią drzemkę, i nasza trójka plus kniaź i porucznik ruszyła piechotą do Wieży Trupów. Pożar już ugaszono, ale nad czarną twierdzą nadal unosił się dym i czuło się zapach spalenizny. Podchodząc do bramy, Złobynia Nikitycz zadał w róg i zażądał, żeby zawołać księcia. W jednym z okienek pojawiła się blada twarz Rajumsdala.

- Łajdaki! Brudne wieprze! Śmierdzące psy!

- Negocjacje zostały rozpoczęte - zauważyłem uprzejmie. - Jak ci się podoba nasz smok?

- Kanalie! Oczajdusze! Szumowiny!

- Mnie się też to podoba. Zanim rozniesiemy tę twoją norę w pył, odpowiedz nam na jedno pytanie: po co porwałś królową Lionę?

- Chamy! Prostaki! Bydlęta!

- Aha. Bo już myślałem, że to może miłość... W takim razie oddaj ją mnie, zanim wytłucze ci całą zastawę stołową.

- Szubrawcy! Wisielcy! Kryminaliści!

- Słusznie, po co zwlekać, zabierzemy ślicznotkę, a ty dodasz nam dwa worki złota, żebyśmy cię miło wspominali.

Książę osłupiał na taką bezczelność i od przekleństw przeszedł do histerycznego wyliczania krzywd:

- Dlaczego spaliłeś mi dach, draniu?
 - Muszę się zemścić, a zemsta moja będzie straszna!
 - Czemu zabiłeś tatusine demony?
 - Królik był głodny. Nie bądź taki drobiazgowy, jednego zostawiliśmy.
 - A dlaczego naplułeś mi na głowę? - zawył Rajumsdal prawie z płaczem.
 - i <?
 - To nie ja, to Lija. - Pogroziłem dziewczynie palcem i obiecałem: - Już więcej tego nie zrobi.
 - Ja i tata i tak cię zabijemy, zabijemy, zabijemy!
 - Dobrze, to potem. Jakie ustalenia w sprawie królowny?
 - I tak was zabijemy! Będziecie umierać powoli i w męczarniach! Umrzesz i ty, i paż, i rycerz, i ten typ, i diabeł... Ojej! Skąd, łobuzy, wzięliście żywego diabła?
 - Posłuchaj, idioto! - Moja dyplomatyczna cierpliwość już się wyczerpała. - Daję ci dwie minuty na wyprowadzenie jej wysokości przed bramę. Pod koniec trzeciej zetnę w pył twoją twierdzę i zbuduję w tym miejscu sanatorium! Jeśli będziesz się dobrze zachowywał, to może wezmę cię na etat. A jeśli nie, to sprzedam cię Błękitnym Hienom za sznur koralu i różową kokardę!
 - Szatanie! Zabierz moją duszę, ale oddaj mi tego Osiernicę! - ryknął książę, znikając z okna. Dosłownie dwie minuty później brama się uchyliła i strażnicy wyrzucili zakurzony worek, w którym kotłowały się dwie osoby.
 - Jean, zanieś to do obozu- poleciłem szeptem. - Nie chcę oglądać następczyni tronu opakowanej w worek i pachnącej zeszłorocznymi warzywami.
- Wyobraźcie sobie nasze zdumienie, gdy już w obozie z worka zamiast królowny wyszło dwóch mężczyzn! Pierwszy okazał się ubranym w habit niewysokim, zwawym młodzieńcem z inteligentnym błyskiem w oku, a drugi - nie uwierzycie! Czerwona szata, szczerza twarz - kardynał Cali we własnej osobie!
- Nie miejcie do mnie żalu, landgrafie. Gotów jestem przyznać, że nieco się uniosłem na tamtej pamiętnej uczcie. Ale przyznajcie się, że to wy ukradliście dziewczynę prosto ze stosu!
 - Tak jest. Czy wasza świątobliwość poważnie wierzy w jej winę?
 - Nie mówmy o tym... - Kardynał się skrzywił. - Spalenie kogoś raz na jakiś czas to po prostu zwykła konieczność. Podżega płomień prawdziwej wiary innych parafian.
 - Czy nie można wyznaczyć kompetentnej komisji do rozwiązywania kwestii spornych?
 - Po co? Ludzie powinni ślepo wierzyć miejscowemu duchownemu, muszą być pewni, że z łatwością przejrzy każdy podstęp

diabła. Lepiej opowiedzcie mi, jak udało wam się rozpędzić cały klasztor Przybłędów.

- To może kiedy indziej, bo w skrócie historia wygląda tak: przeor okazał się niezłą świnią i aktywnie grzeszył, zasłaniając się imieniem Pana, za co Bóg przykładowo go ukarał.

- Amen. - Kardynał skinął głową. - O inkwizytorach również nie będziemy mówić?

- Było, minęło. Proszę mi lepiej opowiedzieć, skąd się pan wziął w Wieży Trupów.

- Zostałem przyprowadzony jako jeniec, mój synu. Na wieść, że ostatecznym celem waszej podróży jest Wesnachhause, królowa uzbroiła oddział i chyba przybyła tam na czas. Próbowałem przemówić jej do rozsądku i zawrócić w połowie drogi, ale biedaczka zapewniała, że porwali was rozbójnicy i że to ona jest pańską jedyną nadzieją ratunku. Długo się spieraliśmy i prawie udało mi się ją przekonać, gdy nagle otoczyli nas ludzie Rajumsdała i jego latające demony. Wybili naszą ochronę, więc nie pozostawało nam nic innego, jak oddać się do niewoli. Mnie umieszczono w podziemiach, a królowę przeniesiono gdzie indziej.

- Przykra sprawa - przyznałem. - O latające demony już się zatroszczyliśmy, pan, kardynale, jest bezpieczny i cieszy się dobrym zdrowiem psychicznym oraz fizycznym, pozostaje tylko wyciągnąć Lionę. Ach, prawda, byłbym zapomniiał: nie drażni pana obecność diabłów w naszym oddziale?

- Drobiazg. - Kardynał uśmiechnął się dobrodusznie. - Werbujcie, kogo tylko uznacie za stosowne, tylko uratujcie królowę! Dogadanie się w tej kwestii z Panem Bogiem zostawcie mnie. Sądzę, że uda mi się załatwić wszystkie niezbędne formalności... Oho! Jego świątobliwość zaczynał zdobywać mój szacunek... Po rozmowie z duchowym ojcem całego królestwa ogłosiłem zbiórkę, żeby na nowo wyjaśnić każdemu jego zadanie.

- Ja z Buldożerem ruszamy przodem i próbujemy wziąć główny cios na siebie. Oddział kniazia uderzy z zaskoczenia, gdy zostaniemy ostatecznie otoczeni. Porucznik Brumel w ogólnym zamęcie spróbuje przeniknąć do twierdzy i uwolnić królowę. Lija i Królik osłonią nasz odwrót, a w razie potrzeby stworzą zasłonę dymną, żebyśmy mogli dyskretnie wycofać wojska.

- A jeśli Rajumsdał nie wyjdzie z zamku? - zapytał Jean.

- Trzeba się zastanowić...

Hm, dawno nie zdobywałem zamków... Równie dawno zresztą ich nie broniłem. A co mówi o tym historia świata? Myśl, głowo, myśl, może coś wymyślisz! Szturm, oblężenie, podpalenie, przekupienie straży, podkop, ostrzał artyleryjski, bombardowanie, ładunki wybuchowe, co jeszcze? Stop! Po co się męczyć? Jeden wybuch i będzie po wszystkim!

- Kardynale, czy wymyślono już u was proch?

- Co? - zapytali wszyscy chórem.

- Rozumiem. W takim razie zaraz go wynajdziemy. Potrzebna mi będzie siarka, węgiel drzewny i saletra.

Siarkę dostarczyły diabły, węgiel dał smok (tym mu się, za przeproszeniem, odbija), saletrę wytrzasnęli skądś Rusini. Następnie starli wszystko na proszek, a ja zacząłem ustalanie proporcji i mieszanie składników - dokładnej receptury nie znałem, więc razem z Liją pracowaliśmy bez pośpiechu, dosypując po łyżeczce.

- Dużo trzeba tego towaru? - zainteresował się Złobynia.

- Z pięć worków. To rozwali mur i zanieś go w okolice Wessnachhause.

- A to czarcie nasienie! - Rusini się przeżegnali. Nawet diabły pokiwały głowami z szacunkiem.

- Wasza świątobliwość, ciągle zapominam zapytać: ten mnich, który był w worku, jest wam bardzo potrzebny? Bo Lija nie nadała...

- To nie jest mój mnich - odrzekł kategorycznie kardynał.

- Jak to?

- Myślałem, że też jest jeńcem, ale w mojej świecy takiego chwata nie było.

Oho! Wszyscy wymienili podejrzliwe spojrzenia.

- Jean! Gdzie jest ten typek?

Pięciominutowe poszukiwania nie przyniosły efektu.

- To szpieg Rajumsdala! - zawyrokował Brumel. - Obawiam się, że książę już poznał tajemnicę waszego proszku.

Rusini, podśpiewując, sprawdzali broń i zbroje, diabły rznąły w domino, Królik znowu drzemał. A ja siedziałem przygnębiony i rozmyślałem o tym, jakim jestem idiotą. Nawet Riesenkampf nie dawał swojemu synowi poważnej broni, wiedząc, do czego to może doprowadzić. Helikopterów nie liczę, pewnie i tak nie były pilotowane przez księcia. A tu dobry wujaszek Osiernica podarował agresywnemu gnojtkowi tajemnicę prochu! Nietrudno się domyślić, co teraz robią ludzie Rajumsdala.

- Jean!

- Tak, milordzie?

- Siadaj, musimy pogadać. Potrzebuję pocieszenia i współczucia. Jak myślisz, co teraz robi książę?

- Zapewne przygotowuje wybuchowy proszek zgodnie z waszą recepturą.

- Taak... A słyszałeś kiedyś o czymś takim jak współczucie?

Idź sobie. Lija, dziecko, podejdź... Jak myślisz, czy ten szpieg poznał dokładną recepturę?

- Myślę, że tak. Stał tuż za moimi plecami.

- No, dobij mnie... Czyli twoim zdaniem, ludzie księcia przy-

gotowują teraz w zamku dużą ilość prochu?

- O, książę na pewno nie będzie drobiazgowy. Założę się, że wyprodukuje tego całe góry. Potem wszystko podpalą i rzucą nas.

- Idiotyzm! Podpalą! Nie zdążąliby skrzesać iskry... Co?! Czy ja powiedziałem, że proch trzeba podpalić? Ja to powiedziałem?

- Tak! - Lija i Buldożer popatrzyli na siebie z przestraszeniem. - Powiedzieliście: nasypimy prochu, podpalimy i z twierdzy zostaną tylko kamienie!

- Wszyscy na plac! - ryknął. - Ruszamy natychmiast do Wieży Trupów, mam złe przeczucia!

Pół godziny później byliśmy na miejscu. Rany boskie, więc jednak to zrobił! Na mój rozkaz diabły szybko obieżyły twierdzę dookoła i to, co nam opowiedziały, nie napawało optymizmem. Wokół całej wieży o gładki granit murów stały oparte worki z prochem - co najmniej tysiąc sztuk! Nabrałem szacunku dla księcia. Co za człowiek! Co za rozmach! Wymarzony na stanowisko dyrektora fabryki zbrojeniowej - w ciągu tygodnia zastawiłby cały kraj czołgami! W okienkach strzelniczych pojawili się łucznicy. Rajumsdal wysunął się ze swojego i zaryczał radośnie:

- No i co?! Oszukaliśmy cię, landgrafie, wykiwaliśmy, okłamaliśmy, nabraliśmy! Czemu nie bierzesz nas szturmem? Nie chcesz? Wystarczy, że podejdziesz do murów, a my ten twój proch tak szybko podpalimy, że aż się diabłom zrobi słabo!

- Mnie już jest słabo, panie pułkowniku... - wyznał Brumel. - Słabo mi za każdym razem, gdy to indywiduum otwiera paszczę. Czy on naprawdę nie rozumie, jaką zastawił na siebie pułapkę?

- Chyba nie... Hej, książę! Pogódźmy się!

- Nigdy!

- Dobrze, dobrze. - Postanowiłem nie rezygnować. - Obu nas poniosło, każdemu się może zdarzyć! Pokłóciliśmy się, a teraz się pogódźmy! Jeśli to wszystko faktycznie rąbnie...

- Aha, boisz się! - Rozradowany synalek tyrana omal nie wypadł z okna. - Zaraz przyjedzie tatuś i urządzimy ci taką zabawę!

- Czemu się z nim cackamy, milordzie? - zachnęła się Lija. - Przecież i tak chcieliście go wysadzić w powietrze. Książę był tak miły, że sam wszystko przygotował. Może ma jakieś pilne sprawy do załatwienia na tamtym świecie? Grzechem byłoby nie pomóc człowiekowi... Dlaczego zwlekamy?

- Dziewczyno, nie jestem aż tak okrutny, na jakiego wyglądam! W twierdzy jest pełno ludzi, a wybuch może być taki, że nawet nas pogrzebie pod odłamkami.

- Jeśli chcesz żyć - wykrzykiwał dalej Rajumsdal - to się poddaj, zwróć miecz i przełoń swoją bandę na cztery wiatry! Ale najpierw zabij tego głupiego smoka!

- Co on plecie? - Rusini się zdenerwowali. - Po co ubijać smo-

ka Gorynicza? Żeby to jeszcze był jaki zbrodniarz, a to dusza człowiek! To znaczy smok.

- Spójrz w górę, baronie... - Książ klepnął mnie w ramię.

Z nieba zsuwał się różowy obłok. Po chwili można już było dojrzeć w nim wieże, mury obronne, wspaniałe budynki... Nigdy nie widziałem czegoś tak pięknego! Aż zapierało dech w piersiach na widok tego majestatu i finezji.

- Lockheim - Latające Miasto - podpowiedział uprzejmie Jean.

Różowa chmura zawisała nad Wieżą Trupów, prawie osiadając na spalonym dachu. Wyglądało to tak, jakby lody w polewie czekoladowej przykryto kleksem bitej śmietany z odrobiną wiśniowych konfitur. Lockheim robiło niesamowite wrażenie, chociaż określenie „miasto” wydało mi się trochę na wyrost. Raczej latający zamek albo twierdza. Był troszkę większy od zamku Rajumsdala, a pod względem architektonicznym absolutnie bezkonkurencyjny. Ażurowe, wytworne, wyszukane formy... Białe kamień, szkło, polerowany metal... Lockheim wydawało się wcieloną bajką marzeniem stworzonym z baniek mydlanych. Szkoda, że nie można wejść i obejrzeć wszystkiego od środka...

- Tato! Złapałem go!

Głos księcia wyrwał mnie z lirycznej zadumy. Na krawędzi różowej chmury do złoczonej balustrady podszedł dżentelmen w czarnym płaszczu. Dawnośmy się nie widzieli, mister Riesenkampf... Ale nie miałem najmniejszej ochoty na wylewne powitanie.

- A to się łajdak wystroił! - prychnął Złobynia Nikitycz.

Riesenkampf ogarnął spojrzeniem moją drużyną, wznosił ręce do nieba i zaczął przemawiać śpiewnym tonem, stylizując się na średniowiecznego maga:

- Czekałem na wielu, ale nie wszyscy przybyli. Ci, którzy przyjdą po nich, zastaną tylko proch i popiół. Przedmurze wieczności zamknie się nad ich głowami, a dusza złodowacieje ze strachu przed piekłem! - Nie powiem, żeby wszyscy byli zainteresowani tym przemówieniem, ale słuchaliśmy go uważnie. - Niewolnik upadnie, ale kurz nie powala odzienia silnego męża, a nikczemny robak, który powstał przeciwko lwu, skazany jest na śmierć pod butem pana. - Ho, ho, co za alegorie... - Płacz, landgrafie, albowiem nadszedł twój haniebny koniec!

Rozumiejąc, że teraz moja kolej, spróbowałem ułożyć równie wieloznaczną i wzniosłą mowę, ale chyba nie do końca mi się to udało:

- Lecę, pędzę i padam do nóg! Dosłownie przemokłem od łez i wszystkich zadreślałem pytaniami: kiedyż wreszcie przybędzie wspaniała Riesenkampf i zechce mnie zabić? Wszyscy tu wariujemy z nudów. Gdzie się włóczyłeś tak długo?

- Śmierć otwiera swoje objęcia, a jej mogilne tchnienie wchodzi w twoje płuca... - zaczął mój wróg, ale mu przerwałem:
- Gdzieś był, pytam? Jak długo można uganiać się za tobą po całym kraju? Jeszcze trochę, a by mi się znudziło... Chyba wynajmę trzy nowe smoki i rozwalę tę latającą budę w pył! Nawet nie prosz mnie o litość! Co narozrabiałeś w Cichej Przystani, troglodyto jeden?! Widzicie go, bohatera! Napuścił helikoptery na staruszki i powiesił sobie na piersi medal za zasługi bojowe! Ani słowa! Żadnych sprzeciwów! Nie ścierpię samowoli!

Moja drużyna turlała się ze śmiechu. Obudzony hałasem, cichutko podszedł Królik. Rajumsdal wrzeszczał z okna: „Tatuś cię ukarze!...”, Riesenkampf usiłował robić inteligentną minę, a z różowej chmury wystrzelił cienki promień lasera i spalił świerczek za moimi plecami. Wieża Trupów zatrzęsała się od triumfalnego rechotu. Wyciągnąłem Miecz Bez Imienia i drugi promień uderzył w srebrzystą klingę. Odsunęło mnie na bok, a laser, ku mojemu zdumieniu, odbił się od miecza i trafił Królika w nos. Oszołomiony smok potrząsnął głową... i kichnął. Snop iskier spadł prosto na worki z prochem...

- Padnij! - wrzasnąłem nie swoim głosem.

Wybuch był potworny.

Znalazłem się w Lockheimie. To znaczy, tam się ocknąłem, chociaż nie od razu zrozumiałem, gdzie jestem. Przelatywały mi przez głowę krótkie i lakoniczne myśli. Żyję. Ręce, nogi, głowa - na miejscu. Plecy bolą musiałem wyrznąć o jakieś schodki. Powoli rozejrzałem się wokół i stwierdziłem, że leżę nieopodal pogiętej balustrady, a ściany i podłogi nie są już takie czyste, jak na początku. Wszystko pokryte sadzą zapyłone, w powietrzu unosi się zapach prochu, ciężko oddychać. Skoro nie jestem w niewoli, to jak mnie tu zaniósł? Chwileczkę! Niech zgadnę! Riesenkampf mnie przyniósł i położył? Nie. Sam doskoczyłem za trzecim razem? Nie. No to może wybuch mnie tu wrzucił? Ha! Strzał w dziesiątkę! Jeśli rzeczywiście tak rąbnęło, to może warto obejrzeć to pobojo-wisko z góry? Wstawać mi się nie chciało, więc podczołgałem się do balustrady, leciutko wychyliłem i spojrzałem w dół. Ładny bałagan, nie ma co! Wprawdzie nie ma porównania z Hiroszimą ale trochę przypomina ruiny Koloseum. Z Wieży Trupów zostały dymiące resztki ścian i cytadela przypominała teraz spróchniały dąb z dziuplą. Lockheim wisiał osiemdziesiąt metrów nad pogorzelskim i miałem stąd świetny widok. Odszukałem wzrokiem Liję i Buldożera - oboje brudni jak diablęta grzebali w ruinach. Rusini wynosili rannych spod gruzów, a Złobynia Nikitycz z uporem walił łomem w drzwi dawnych podziemi. Na Króliku wybuch nie zrobił większego wrażenia, smok znowu przeniósł się w krzaki. Cóż za melancholijna natura... A w oddali widać kłęby kurzu na drodze -

ani chybi groźne oddziały króla Plimutroka spieszą na pole bitwy. W samą porę! No nic, dość tego leżenia, pora wstać. Wstałem, otrzepałem się i... miecz! Gdzie mój miecz?! Dopiero teraz poczułem się naprawdę samotny.

W późniejszych wydarzeniach nie uczestniczyłem, zadowolając się rolą widza. Lockheim schodził coraz niżej i słyszalność znacznie się poprawiła. Ostrożnie ruszyłem do przodu i za zakrętem odkryłem znajomą postać. Oparty o balustradę Riesenkampf spoglądał w dół, obok niego stało działko laserowe z lufą wykrzywioną od wybuchu. Głowa wielkiego tyrana podrygiwała nerwowo, zdaje się, że łajdak był w nie najlepszej formie. Tymczasem na dole...

- Gdzie moja córka? - wykrzyknął drżącym głosem Plimutrok
Pierwszy.

- Jest tutaj! Oto i ona, wasza wysokość... Niewysoki ruski książę wyniósł z lochów otępiałą ze szczęścia Lionę. Spotkanie ojca z córką obfitowało w łzy wzruszenia, innymi słowy, oboje płakali jak bobry. W końcu król zwrócił uwagę na Rusinów.

- Kim jesteś, szlachetny rycerzu? Kim są ci wojownicy?

- Jestem książę Złobynia, młodszy brat landgraфа Dymitra, a to moja wierna drużyna. A za córkę nie dziękuj. Za taką piękność życia bym nie pożałował! Już samym swoim spojrzeniem mnie pokonała...

Omam nie spadłem z chmurki. Liona! Święci pańscy! Albo Nikityczowi nagle zabrakło piątej klepki, albo miał specyficzny gust. Królowna oniemiała, słysząc taki komplement. Pociągnęła nosem i obdarzyła księcia żarłocznym uśmiechem.

- Atokto?! Diabły?! Zniszczyć siłę nieczystą! -oburzył się król. Ale nim rycerze króla zdążyli pochylić lance, w obronie diabłów stanął... kardynał Cali.

- Wasza wysokość, proszę nie obrażać naszych sprzymierzeńców. Zwerbował ich sam lord Osiernica, a ci nietuzinkowi wojownicy mogą się okazać bardzo pożyteczni. Ze swej strony obiecuję załatwić sprawę z Panem...

- Wasza wola. - Król wzruszył ramionami. - A gdzie właściwie jest landgraf? Bo, jak rozumiem, on to wszystko urządził?

- Nie ma go już wśród nas... - odezwał się cicho Buldożer.

Zapanowało grobowe milczenie.

- Nie wierzę - mruknął uparcie Matwieicz.

Mag-weterynarz nie odstępował króla i w wyniku niewiarygodnego zbiegu okoliczności był dzisiaj trzeźwy. De Bras powoli zdjął hełm, popatrzył w niebo i spuścił głowę na znak żałoby.

- Przeszukać wszystko jeszcze raz - polecił Kucharz swoim rycerzom.

Dziesięć minut później jeden z rycerzy wyciągnął z gruzów mój

miecz. Fantastycznie! To znaczy, że Miecz Bez Imienia jest cały i nie wpadł w niepowołane ręce! Ale na moich towarzyszach znalazisko wywarło przygnębiające wrażenie. Wojownicy zdjęli hełmy, diabły padły na kolana, mag-jasnowidz rzucał przekleństwami, Lija i Liona rozplakały się na cały głos, a kardynał, wznosząc ręce ku niebu, mamrotał modlitwę za zmarłych. Świat ogarnęła żaloba. Wspólny smutek zjednoczył tak różnych ludzi, że i ja zapragnąłem zapłakać w ich towarzystwie. Wszystko było uroczyste i piękne, tyle że może trochę przedwczesne. Cały nastrój zniszczył skrzekliwy śmiech Riesenkampfa.

- I co, zdechł wasz landgraf!

Dalsze wydarzenia przypominały spontaniczny wiec.

Król Plimutrok: (rycząc) Zły czarnoksiężniku, zbyt długo cierpieliśmy twoją samowolę! To kropla, która przepełniła czarę. Nikomu nie wolno drwić z pamięci wielkiego bohatera!

Riesenkampf: (bezcelnie, z pogardą) Co to? Bunt? Zapomnieliście, psy, jak smakuje knut waszego pana... Już ja was nauczę posłuszeństwa!

Matwieicz: (surowo) To nie było potrzebne, drogi panie. Nie należy podnosić głosu. A ja już dłużej nie będę zachowywał neutralności! Wystarczy! Ja też mam sumienie...

(Chór głosów popierających maga-weterynarza)

Riesenkampf: (drwiąc) No, no... to już wygląda na rewolucję. Dobrze, kto jeszcze chce zabrać głos?

Brumel: (dość twardo) Owszem, mamy pewne uwagi. Wielokrotnie złamał pan reguły gry. W czasie polowania na landgrafa nie wolno atakować jego przyjaciół. A już zabijanie wiem, wykradanie osób z rodziny królewskiej i wykorzystywanie niezemskiej techniki... Nieładnie, panie prezesie!

Riesenkampf: (chichocząc złowieszczo) Prawa i reguły ustalają ja!

Lija: (bliska hysterii) Drań, drań, drań! Jak cię tylko dorwę, zabiję!

Riesenkampf: (poważniejąc) A więc będę mógł dzisiaj spełnić swój obywatelski obowiązek i w imię spokoju reszty ludności zniszczyć spisek w zarodku. Wszyscy umrzecie...

Kardynał Cali: (tonem proroka) Powstrzymaj się, bezbożniku! W imieniu Pana naszego, Jezusa Chrystusa, zaklinam cię - powstrzymaj się! Pokajaj się, idź do spowiedzi i modlitwami wypędź zło, które przepełnia twą grzeszną duszę!

Riesenkampf: (po chwili przerwy) Stary jesteś i głupi, księżulku. W tym świecie ja jestem jedynym bogiem i królem! Kto staje przeciwko mnie, zwraca się przeciwko Bogu!

.. .W tym stylu rozmawiali przez następne pół godziny, aż w końcu przeszli do wycieczek osobistych. Riesenkampf został nazwany starym capem; on też rzecz jasna, nie pozostał nikomu dłużny. Atmosfera robiła się coraz bardziej napięta. Rycerze opuścili przy-

łbice i groźnie potrząsali kopiami, Rusini obnażyli miecze i topory, kardynał pospiesznie ekskomunikował tyrana, Lija rzucała w Lockheim kamieniami, Matwieicz próbował odśpiewać z diabłami Marsyliankę i tylko książę i królowa zapomnieli o bożym świecie. Złobynia Nikitycz szeptał coś Lionie na ucho, a ta rozplątała się ze szczęścia. A wtedy tuż obok mnie otworzyły się drzwi i do balustrady podeszła królowa Tanitriel. Tym razem była ubrana w szeleszczącą suknię ze złotogłowiu, na głowie miała delikatny diadem, a w rękach pęk purpurowych tulipanów. Całe towarzystwo w dole od razu umilkło, zawstydzone, i znieruchomiało. Tanitriel odezwała się cicho, rzucając na ruiny kwiaty:

- Wybacz mi, Andrieju. Wybacz mi, lordzie Osiernico, Obrońco i Orędowniku, Wchodzący w Mrok, trzynasty landgrafie Miecza Bez Imienia. Wiedziałeś, że idziesz na śmierć. Mogłeś odmówić i nikt nie śmiałyby cię osądzić. Nie było i nie będzie godniejszego bohatera. Popatrz z nieba, ilu ludzi zebrało się, by smutnym milczeniem uczcić twoją pamięć...

Trzeba przyznać, że nawet Riesenkampf zamknął gębę i nie odważył się na żadne złośliwe komentarze. Potem usłyszałem, jaki ze mnie był wspaniały człowiek. Dobry, szczodry, delikatny, miły, serdeczny, czarujący, łagodny, mądry, taktowny, wesoły, wykształcony... No i jeszcze piękny! Rozczuliłem się w swoim kącie do łez. Jakie to wzruszające! Szkoda tylko, że za życia nie powiedzą człowiekowi czegoś takiego... Gdy kwiaty się skończyły i królowa odwróciła się od balustrady, w oczach miała łzy. Korzystając z tego, że jej koronowany małżonek gapił się w inną stronę, cichutko poszedłem za Tanitriel i zamykając drzwi, położyłem dłoń na jej ramieniu.

- Dziękuję za ciepłe słowa. Ale na ogół wolę róże...

Przyzwyczailem się już, że w tym kraju wszyscy chętnie, niemal na zawołanie, tracą przytomność (pewnie taka tradycja), zdumiał mnie więc fakt, że królowa Tanitriel okazała się chlubnym wyjątkiem. Żadnego mdlenia, ochów i achów oraz malowniczego osuwania się na podłogę - po prostu wrzasnęła przeraźliwie, jakby ujrzała ducha. Chociaż, no cóż... przecież właśnie przed chwilą rzucała kwiaty na mój grób. Musiałem zatkać jej usta ręką i szybko pociągnąć ją korytarzem do jej apartamentów. Po drodze Tanitriel trochę ochłoneła. Wepchnąłem ją do najbliższego pomieszczenia - jak się okazało, łazienki - oparłem o ścianę i cierpliwie wyjaśniłem:

- Żyję. Nie jestem widmem, zjawą, duchem czy fantomem.

Można mnie dotknąć palcem, proszę bardzo. A ja uszczypnę panią w nos, żeby się pani upewniła, że pani nie śpi.

Przez jakiś czas na przemian dotykaliśmy się palcami i szczypaliśmy.

- Nie poznałam was! - Uszczęśliwiona królowa zawisła mi na

szyi. Rzuciłem okiem na wiszące na ścianie lustro i mimo woli drgnąłem. O rany, ja tak wyglądam? Włosy potargane, twarz cała w sadzy, wąsy sterczą z płaszczu zostały strzępy - jednym słowem ładny ze mnie landgraf. Nic dziwnego, że mnie nie poznała. Musiałem szybko doprowadzić się do porządku.

- No, zaczynam odrobinę przypominać człowieka. Dopóki pani mąż ujada tam na moich przyjaciół, proszę powiedzieć, jak się pani żyje, bo sądząc z listu, niezbyt dobrze.

- Gorzej już nie można- przyznała Tanitriel. - Nie wiem, co tam robiliście, ale w Riesenkampfa wstąpił zły duch. Przedtem traktował mnie z chłodną pogardą, przeznaczając mi rolę parawanu w walce o władzę. Bohaterowie, którzy oddawali za mnie życie, nie byli według niego warci nawet uśmiechu triumfu. Riesenkampf zabijał ich tak, jakby wypełniał nudny obowiązek. Przy was nieco się ożywił. Uciekliście przed strzelcami i znaleźliście się w Zjednoczonym Królestwie. Co tam się działo?

- Jak by to powiedzieć... Nic szczególnego. Zaprzyjaźniłem się z królem Plimutrokiem, zlikwidowałem bandę Wilczego Pazura, narobiłem zamętu w Cichej Przystani, rozpędziłem klasztor zboczeńców, pobawiłem się w rycerza na turnieju, zostałem skazany na śmierć i cudownie ocalony, uspokoiłem Rajumsdala, bo ostatnio trochę się zapomniał, wszedłem w Mrok po Liję, piłem ze Śmiercią walczyłem z diabłami, rozgromiłem armię Błękitnych Hien, wynająłem smoka, spaliłem helikoptery bojowe, wysadziłem w powietrze Wieżę Trupów... Nie byłem jednak sam i nie wszystko robiłem własnymi rękami, choć we wszystkim brałem czynny udział.

- Jeśli choć jedna trzecia z wymienionych przez was czynów jest autentyczna, to rozumiem mojego męża. Riesenkampf początkowo wyglądał na zaintrygowanego, potem zaczął się denerwować i robić mi sceny z byle powodu. Dwa razy urządził awanturę i nawet rozbił wazon. Raz widziałam, jak czytał Dostojewskiego...

- Żeby zrozumieć zagadkową rosyjską duszę? - domyśliłem się.

- Możliwe... Jeśli was tutaj znajdzie, będzie po was!

- Już sobie idę. Nie ma tu przypadkiem jakiejś liny?

Tanitriel wyszła na chwilę, wróciła i podała mi zwój porządne-go sznura.

- Aha, jeszcze jedno. List przeczytałem razem z przyjaciółmi, tylko nie wszystko rozumiałem. Na przykład, z jakiego powodu odbiera mi pani tytuł?

- Bo... no cóż... - Stropiona królowa spuściła wzrok. - Wybaczcie, milordzie, chciałam jak najlepiej, przecież wy naprawdę...

- Żaden człowiek tak naprawdę nie wie, kim jest - mruknąłem filozoficznie. - Pozycja landgrafa wcale nie jest taka zła. Wnosi powiew świeżości i daje możliwość spotkania najróżniejszych ludzi i nieludzi. Proszę przyjąć moją wdzięczność za nakłonienie do tego

przedsięwzięcia, które tak urozmaiciło mi życie. Czas na mnie. Tanitriel milczała. Już przy drzwiach na chwilę przywarła do mojego ramienia.

- Przepraszam... - Jej oczy znowu zaszkliły się podejrzenie.

- Ależ proszę mnie na razie nie opłakiwać! Skoro obiecałem rozprawić się z pani mężem, nie zamierzam się teraz wycofywać. Gdzie ten łajdak Riesenkampf? Pogrzeb landgraфа odwołany! Mam na dzisiaj nieco inne plany...

Gdy wyszedłem na zewnątrz, emocje nieco opadły. Pomyślałem przez chwilę, że może rozmówcy znaleźli wspólny język. Ale gdy wysunąłem się z za drzwi, ujrzałem, że uzurpator stoi przy działku laserowym i niebezpiecznie celuje do tłumu moich przyjaciół.

- A teraz, gdy wasz landgraf odszedł szczęśliwie do innego świata, postawmy kropkę nad i. Macie świadomość, co zrobiliście. Kara jest nieuchronna. Umrzecie.

Miał okropnie zdruzony głos. Może by go tak kopnąć w tyłek i choć trochę rozruszać?...

- Przygotowaliście swoje dusze do nieskończonej tułaczki po kręgach piekła?

Z dołu rozległ się chór serdecznych życzeń, których ogólny sens sprowadzał się do jednego - „A żebyś zdechł!”

- Cóż - głos Riesenkampfa nabrał surowości. - Aż do dziś drobne bunty nie zmuszały mnie do podejmowania takich kroków...

Pierwszy umrze król, po nim zdrajca weterynarz. Książ miał szansę polec śmiercią bohatera, ale nie chciał, więc będzie trzeci. Pozostali... Jeszcze nie wiem, pewnie w kolejności alfabetycznej.

Lockheim zszedł jeszcze niżej, wisząc teraz dziesięć metrów nad moimi przyjaciółmi. Korzystając z tego, że wszyscy zajęci byli rozmową, podszedłem cicho do balustrady i zacząłem przywiązywać do niej sznur.

- A teraz oddajcie mi miecz!

Gwar głosów umilkł.

- Oddajcie Miecz Bez Imienia! - wykrzyknął ponownie Riesenkampf. Z tłumu wyszedł posepny Buldożer, niosąc w wyciągniętych rękach moją klingę.

1 CC

- Landgraf nie żyje - rzekł tyran. - Zgodnie z prawem, miecz należy do mnie. Przynieś go tutaj - polecił.

Jean zrobił krok do przodu; nikt go nie powstrzymywał. Latające Miasto zeszło jeszcze niżej, a ja, niezauważony przez nikogo, zrzuciłem sznur. Mój giermek potknął się o niego, zamyślił i zastygł.

- Miecz! - przypomniał Riesenkampf.

- Nie oddam... - oznajmił Buldożer po chwili zastanowienia.

- Dawaj ten miecz, nikczemniku! Nie zasługujesz nawet na to, żeby podnosić na ciebie głos! - Tyran spróbował nacisnąć spust

lasera. Ale, jak już wspomniałem, działko zostało uszkodzone wybuchem i z lufy wyłoniła się tylko nędzna strużka dymu.

- Nie oddam! - Tchórzliwy rycerz wyraźnie utwierdzał się w słuszności swojej decyzji. - Miecz Bez Imienia będzie kontynuował dzieło lorda.

Podbiegła Lija, ujęła Jeana pod rękę i zawołała:

- Ogłaszamy się następcami lorda Osiernicy!

Pomruk aprobaty.

- Oddawać miecz, bęcwały! - ryknął Riesenkampf. - Czyście powariowali? Tak nie wolno! Landgrafem człowiek nie staje się sam ot tak sobie, trzeba przestrzegać pewnych reguł. Musicie zrozumieć...

- Wszyscy jesteśmy kontynuatorami dzieła landgrafa! - wrzasnął radośnie tłum.

Omam nie rozpląkałem się ze wzruszenia. Jacy oni mili, ci średniowieczni ludzie! Riesenkampf chyba też gotów był zapłakać, tylko z innego powodu. Szarpał się dłuższą chwilę ze swoim działkiem, w końcu oznajmił urażonym tonem:

- Tego już za wiele... Gdzie nie spojrzeć, same Osiernice...

- Tak jest! - potwierdziłem głośno. - Ci samozwańcy nie dadzą człowiekowi chwili spokoju!

Tyran odwrócił się, krzyki w dole ucichły. Stałem przy balustradzie i rozkoszowałem się efektem. Co za miny!...

- Hej, Buldożer! Łap mnie!

Jak wspaniale po tych wszystkich przeżyciach zeskoczyć z wysokości pięciu metrów prosto w objęcia szczęśliwego giermka! Skoczyłem, upadliśmy i potoczyliśmy się po trawie, ale to i tak nic w porównaniu z tym, co działo się potem!

A Lockheim powoli uniósł się w górę i odpłynął na północ. Osłupiały Riesenkampf wyglądał jak zamrożony kruk. Nikt nie próbował go powstrzymać. Niech spada na łeb...

Część 5

Bij tyrana!

...Wojownicy obnażali stal, a krew płynęła po śnieżnobiałych ulicach niebiańskiego miasta niczym purpurowa rzeka. Ale huknął grom i zapłonęła zorza, a Riesenkampf pochwycił królową i rzekł: „Ona umrze pierwsza!” I wtedy trzynasty landgraf Miecza Bez Imienia rzucił broń...

Kroniki Lockheimu

Trzeci dzień trwała powszechna popijawa w Ristail u Plimutroka Pierwszego. Świętowano zwycięstwo nad Riesenkampfem, cudowne ocalenie królowy oraz... wesele. Nie uwierzycie - jednak się pobrali! Książ Złobynia Nikitycz z własnej i nieprzymuszonej woli brał oto za żonę jedyną córkę króla, królową Lio-

nę.

- Zwariowałeś? - spytałem jeszcze przed ceremonią. - Przecież ona zatruje ci całe życie! To nie jest nieśmiała córka bojara, rumaniana dziewczyna z warkoczem do pasa. Dobrze się jej przyjrzałeś?

- Przyjrzałem. Groźna jak kikimora... - Książ skinął głową.

- Charakterek nie lepszy. Po ojcu odziedziczyła chyba tylko mocną głowę, wszystkie inne zalety po mamusi, która odeszła dawno temu. Jak sądzę, mikroklimat w piekle poważnie zmienił się na gorsze po przybyciu tam twojej nieboszczki teściowej.

- Nie miej mi tego za złe, bracie, ale w polityce jesteś zielony. Muszę podźwignąć kraj z ruiny, odbudować miasta, nakarmić lud, a wiesz, co królowna wnosi w posagu? Pół królestwa! Za coś takiego nawet z krokodylem bym się ożenił...

- Tak, głupia sprawa taka władza. Kupa zawracania głowy i żadnej wdzięczności.

- Co mi tam! A z babą jakoś sobie poradzę... Poza tym... -

książ zająknął się stropiony i dodał, czerwieniejąc: - Ona tak namiętnie całuje...

Wobec takiego dictum machnąłem ręką i z całego serca wołałem na ich weselu: „Gorzko, gorzko!” Jak zdążyliście zauważyć, nie jestem człowiekiem ostro pijącym - pierwsza uczta u Plimutroka, potem u wiedźm, potem z Matwieiczem, no i jeszcze na cześć zwycięstwa na turnieju, no, ze Śmiercią coś dwa razy, świętowanie ocalenia zamku Lee i teraz ten tydzień. Ale dużo się dzieje, to i okazji nie brakuje.

Na godzinę przed świtem obudził mnie chwiejący się Buldożer. Co, u licha! Padłem na łóżko ze dwadzieścia minut temu, nawet się nie rozbierając.

- Milordzie... - wykrztusił Jean, chuchając na mnie straszliwymi oparami alkoholu. - Konie... no... na dole...

- Konie??

- Czekają. Osio...dłane rumaki... - Giermek przytrzymał się futryny. - Lija już tam jest, zabrała prowiant... Wszystko jak się należy, możecie nie wątpić, milordzie.

- Miecz brać? - spytałem krótko.

- Aha...

Zeszliśmy na dół jak na autopilocie. Trzy konie już stały, przygotowane do dalszej drogi, a ponura, niewyspana Lija siedziała w siodle, okutana w płaszcz. Jean pomógł mi wleźć na siodło, wsiadł sam i wyjechaliśmy za bramę. Nie mając bladego pojęcia, co się właściwie szykuje, nakazałem Lii pilnować drogi i bezwzględnie obudzić mnie na obiad, a następnie umościć się wygodnie, wtulając twarz w końską grzywę. Szybko mnie ukołysało, a ostatnie, co zapamiętałem, to Buldożer, który rozciągnął się w siodle i chrapał jak traktor...

.. Południe. Słońce przypieka, a nozdrza łechce zapach pieczonego mięsiwa. Więc Lijajuż coś przygotowała. Pod głową mam jakiś worek, na sobie fioletowy płaszcz, leżę na wiązce siana - gdzie ja w ogóle jestem? Otrzeźwienie przyszło nie od razu. Pamiętam, że świętowaliśmy wesele, potem chyba o coś się pokłóci- liśmy, a później Jean usadził mnie w siodle... Po jaką cholere zno- wu gdzieś jechaliśmy?

- Obiad gotowy, mój panie.

- Dziękuję. Słuchaj, a gdzie ten...

- Śpi za krzakiem.

Spod gałązek głogu wystawały nogi Buldożera. Coś mi tu nie pasowało. Zacząłem się intensywnie zastanawiać, czemu porzuci- łem pałac, przyjaciół i sprzymierzeńców, i w środku nocy wyru- szylem na koniec świata w poszukiwaniu przygód?

- To co, jemy czy nie? - rozdrażniony głos Lii świadczył o tym, że musiała pewnie ściągać nas obu z siodeł. Mnie jeszcze ułożyła jak należy, ale Jeana chyba po prostu zrzuciła na trawę. I słusznie, spartańskie warunki życia giermkowi nie zaszkodzą.

- Obudź go. Trzeba wyjaśnić pewne szczegóły.

- Nie da rady. Już nawet po nim skakałam. Ocknie się dopiero pod wieczór. Żeby tak się upić do nieprzytomności! Nawet trąby Sądu Ostatecznego go nie obudzą!

Usiedliśmy przy niewielkim ognisku i Lija podała mi duży ka- wał parującej wieprzowiny na kromce chleba. Cudem udało mi się to utrzymać w drżącym ręku. Przez jakiś czas jedliśmy w mil- czeniu, w końcu Lija ostrożnie zapytała:

- Milordzie, ja oczywiście rozumiem... honor rycerza, szla- chectwo, waleczne czyny w imię królowej Tanitriel i tak dalej. Ale powiedzcie szczerze, dlaczego nie chcieliście zabrać wojska? Zabrać wojska? Nie chciałem? Ja? Spokojnie. Spokojnie. Nie denerwujmy się tak, chociaż wygląda na to, że coś się jednak sta- ło. Coś niebezpiecznego, może nawet krytycznego i bardzo bli- skiego katastrofy.

- Nawet byłem z was dumna. Odmówić przyjęcia pomocy woj- skowej i złożyć ślubowanie uwolnienia Lockheimu od Riesen- kampf, i to do końca miesiąca... Do czegoś takiego zdolny jest tylko wielki bohater! Babcia opowiadała mi o takich ludziach róż- ne historie... Król błagał was, żebyście wzięli chociaż diabły Bru- mela, ale wy byliście wspaniali w dumnym oburzeniu: „Wyruszę sam! Niech nikt się nie waży odebrać mi zemsty na tym military- ście! Jean, siodłaj konie, natychmiast wyjeżdżamy!” Aż mnie ciar- ki przeszły... Milordzie, a co to znaczy militarysta?

Sytuacja powoli zaczęła się wyjaśniać. Zacisnąłem mocno zęby na kawałku chleba, żeby nie zacząć wrzeszczeć, gdy uświadomiłem i^o

sobie własną głupotę. Ależ musiałem być wtedy pijany! Żeby wyruszyć na Riesenkampfa tylko z paziem i giermkim, bez wojska, bez pomocy, nie wiadomo dokąd i jeszcze obiecać załatwić całą sprawę w ciągu dwóch tygodni...

- Riesenkampfa znajdziemy bez problemu i pokażemy mu, gdzie raki zimują. Coście tak pobledli, milordzie? Nie jesteście przypadkiem chorzy? Źle wyglądacie... Napijcie się, wino doda wam sił... Władczym gestem odsunąłem kubek i wydałem protestujący ryk. Dość tego! Od dziś jestem abstynentem!

Buldożer rzeczywiście obudził się wieczorem, więc Lija przygotowała posiłek dla całej naszej trójki. Jean potwierdził, że złożyłem straszną przysięgę, obiecując rozprawić się z wielkim czarownikiem, uratować królową i przyciągnąć Lockheim na sznurku, jak balonik. Wielu rycerzy nawet obraziło się na mnie za to, że chciałem to wszystko zrobić w pojedynkę. Może przesiąknęłem klimatem tej epoki? O ile pamiętam, wcześniej wolałem rozprawić się z wrogami kolektywnie, ramię przy ramieniu. A tu nagle zachciało mi się indywidualnych wyczynów...

- I nikt nie próbował mnie powstrzymać?

- Któż by śmiał! Co prawda, jego świątobliwość wyraził pewne zdziwienie i...

- Nie chciał mnie puścić? - spytałem z nadzieją.

- Powiedział: „Ale odpał!”

- Co takiego?

- „Ale odpał”, oświadczył kardynał Cali, słysząc waszą przysięgę - wyjaśnił Buldożer. - Tak mu się spodobało to wasze wyrażenie, że wykorzystuje je nawet w kazaniach.

- A Matwieicz?

- Mag już dawno spał. To starszy człowiek i gustuje w mocnych trunkach. Sami nie pozwoliliście go niepokoić.

- Milordzie - zaczęła uroczyście Lija. - Chyba już się domyślałam, co zaszło. Na ucztę trochę was poniosło i tę przysięgę złożyło wino, a nie wasz rozsądek.

- Brawo! Pozwól, że cię ucałuję... raz jeden.

Gdy emocje opadły, odezwał się Jean.

- Do Ristail wrócić nie możemy, zostalibyśmy źle zrozumiani.

Chyba też nie macie ochoty polec w heroicznej walce z przeważającymi siłami przeciwnika. Więc może pohulamy gdzieś dwa tygodnie, nie zwracając sobie głowy poszukiwaniem tyrana?

- Dobra myśl!

- Przecież nie wiemy, dokąd odleciał Lockheim, prawda, milordzie? - Mrugnęła do mnie Lija.

- Ja wiem! - zabrzmiał w górze radosny głos i na nasze ramiona spadł deszcz różnokolorowego konfetti.

Weronika! Dawno się nie widzieliśmy! Koniec spokoju. Przed

nami, na znajomej miotle, siedziała młoda czarownica, wymachując nogami. Zdrowa, uśmiechnięta i przejęta jak zawsze.

- Jejku, jak się cieszę, że was widzę!

Miotła zrobiła w powietrzu pętlę.

- No proszę! Tylko jej sztuczek nam tu brakowało... - mruknęła Lija.

- I te papierki... jakieś takie małe... -poparł ją niepewnie Jean, wytrząsając konfetti z kolczugi.

- Małe? - Weronika zatrzymała się zatroskana. - Chciałam zrobić większe, takie jak jabłko... Chwileczkę...

- Nie! - zawołaliśmy chórem, ale było już za późno i na nasze głowy posypały się jabłka. Z wysokości trzech metrów waliły nas w głowy same dorodne sztuki!

- Milordzie... - zaczęła żałośnie młoda praktykantka.

- Nie trzeba. Wiem. Pamiętam. Wystarczy na dzisiaj. A teraz wyciągnij mnie stąd! - Mocno chwyciłem miotłę i poczułem, że płynnie unoszę się w górę. W samą porę się odczepiłem...

W dalszą drogę wyruszyliśmy następnego dnia rano, już we czwórkę. Mój koń i rumak Buldożera szły przodem, a Lija i Weronika nieśpiesznie jechały z tyłu. A raczej Weronika jak szalona wirowała na miotle, robiąc wymyślne piruety na małej wysokości, a Lija odganiała jajak uprzykrzoną muchę. Wychowanka Gorgulii Times na wieść, że ominęła ją przygoda z Wieżą, gorzko zapłakała i poprzysięgła już nigdy nie zostawiać lorda Osiernicy „bez wsparcia magicznego”. Jak się okazało, gdy początkująca czarownica wyzdrowiała, rzuciła się w pogoń za nami i dzięki skórzanej naszywce z dzinsów nie traciła czasu na okrężną drogę. Szczerze byłem zadowolony z obecności dziewczyny, ale Buldożer zawsze trochę się jej bał, podobnie jak Lija. Chociaż pewnie nie samej Weroniki, tylko tych drobnych nieprzyjemności, które udawało jej się powodować wymawianymi niestannie zaklęciami. Magia to delikatna sztuka, dlatego lepiej nie prosić Weroniki o kołdrę, bo jeszcze przykryje nas płyta grobowca...

Skierowaliśmy się na północny zachód. Po pierwsze, jeszcze tam nie byłem, po drugie w tych okolicach znajdowały się jeziora mineralne (a ja powinienem podleczyć zszargane nerwy), a po trzecie Riesen-kampf poleciał właśnie na północ i w najbliższym czasie się nie pokaże. Niepokoiło mnie tylko jedno - w okolicy nie było żadnych osad, a to znaczy, że teoretycznie moglibyśmy wpaść na jakiegoś trolla.

Chociaż z drugiej strony, może nie będzie bardzo głodny...

Minęły trzy dni od czasu, gdy opuściliśmy Ristail. Nigdy nie sądziłem, że dwie dziewczyny mogą narobić tyle zamieszania! Nie milkły przez całą drogę, to obejmowały się jak siostry, to kłóciły jak dwie przekupki. Bądź tu mądry i znajdź w tych kłótniach winnego! Przez jakiś czas próbowałem być bezstronnym sędzią, ale szybko dałem sobie spokój. Obie patrzyły na człowieka niewinny-

mi oczętami, przemawiały rzewnie i z pretensją... A im dalej w las, tym więcej drzew. Od słów przeszły do czynów. Wczoraj włosy Lii dziwnie się skołtuniły i nie dało się ich rozczesać nawet przy użyciu wody. Lija zaczęła podejrzewać Weronikę i jak się domyślałam, słusznie. Rano młoda wiedźma jak zwykle z rozbiegu wskoczyła na miotłę - i poleciała w krzaki. Drażek miotły okazał się wysmarowany sadłem - coś takiego mogła zrobić tylko Lija. Zrozumiałem, że w ten sposób wkrótce się pozabijają, jeśli oczywiście nie znajdą innego sposobu wyładowania energii.

- Lordzie Osiernico, przed nami jeźdźcy! - Mój giermek wyciągnął rękę, wskazując kierunek. Zza wzgórza rzeczywiście wyłoniły się cztery czarne punkty. Chyba jechali w naszą stronę.

- Ojej, oni kogoś gonią- pisnęła zaintrygowana Weronika. - Polecę popatrzeć!

Jej rozpaczliwe wycie usłyszeliśmy z daleka:

- To gobliny! Gonią dziecko!

- Naprzód, Jean! - krzyknąłem i daliśmy koniom ostrogę.

Jeszcze nigdy nie widziałem żywego goblina, a przecież człowiek powinien rozszerzać swoje horyzonty. Z boku musiało to zabawnie wyglądać: trzech jeźdźców, jeden w pełnej zbroi, lśniącej w słońcu, z kopią i odsłoniętą przyłbicą; drugi w kraciastej koszuli, dzinsach i adidasach, ze wspaniałym mieczem w dłoni i nowym fioletowym płaszczem na plecach; i trzeci - młody paź, podejrzenie podobny do dziewczyny, ze sztylecikiem w ręku, tak małym, że rzadko który zając by się przestraszył. A nad tą pstrokatą drużyną leci, szatańsko chichocząc, młoda osóбка z grzywą czarnych włosów i najpiękniejszym nosem na świecie.

Staliśmy naprzeciwko siebie. Nas czworo, ich czterech. A między nami, chowając się w krzakach, skuliła się drobna figurka w chłopskim ubraniu, z rozczochraną jasną czupryną. Same gobliny okazały się czymś pośrednim pomiędzy człowiekiem a małą. Wyższe ode mnie, ale niższe od Buldożera, pokryte rzadką rudą sierścią, w zbrojach różnej wielkości (wyraźnie zdobycznych), wyposażeni w kopie i topory bojowe (pewnie też trofea). Wszyscy potężni, przysadziści, niskie czółka, oczka świńskie, dolna szczeka wysunięta, a na wierzchu wielkie kły. Szybko sobie ich obejrzałem i moglibyśmy pojechać dalej, ale moi przyjaciele byli innego zdania.

- Precz z drogi! - ryknęła Lija. - Bo jak nie, to my z milordem będziemy przelewać waszą krew wiadrami i pokryjemy ziemię waszymi trupami!

- Noszącymi ślady gwałtownej śmierci - dodał ostrożnie Jean.

Nasi przeciwnicy próbowali przemyśleć to, co usłyszeli, ale myślenie to dla goblina zajęcie nieprzyjemne i męczące, więc po prostu wycelowali w nas kopie.

- Milordzie, nie ma pan nic przeciwko temu, że wezmę dziecko i poczekamy na was tu niedaleko? - zapytała anielskim głosem opiekuńcza Lija i zeszła z konia.

W tej samej chwili „dziecko” zerwało się na równe nogi, wsunęło palce do ust i gwizdnęło przeraźliwie. Zza pobliskich drzew wyleciało z dziesięć goblinów i zostaliśmy otoczeni.

- Zasadzka!

Drugi raz nie zdążyłem krzyknąć. Miecz Bez Imienia spadł na najbliższego wroga, rozcinając na pół rogaty hełm, a Buldożer odwrócił się do jadących i zdążył zabić trzech, nim dostał obuchem topora w głowę. Potem zarzucono na niego sznury i ściągnięto z konia.

Podły zdrajca zrzucił perukę i zobaczyłem małego goblina. Kurdupel skoczył do Lii, która rzuciła w niego swoją bronią, ale nie trafiła; na szczęście porwała ją za kołnierz czujna Weronika. Dla mnie takie starcia to nie pierwszorzędne, więc zaraz z konia spadł drugi napastnik, za nim trzeci i czwarty - Miecz Bez Imienia znał swój fach. Ale potem ktoś uderzył mojego konia w nogi i poleciałem na trawę. Nie udało mi się wstać, zanim ci dranie skrępowali mi ręce sznurami. Z góry rozległ się znajomy głos i na gobliny spadł kamienny deszcz. Kamienie brukowe wielkości granatu przez pół minuty gwizdały w powietrzu. Okrytym zbroją wrogom nie wyrządziły żadnej krzywdy, za to mnie kamień rąbnął prosto w czoło, rozciął skórę i odesłał w głęboki niebyt. Jakiś czas później zrozumiałem, że jest noc i dokądś nas wiozą. Tylko dokąd?

- Jean! Ocknij się, Jean! - Podskakiwaliśmy obok siebie na koniskim grzbiecie, związani sznurami, głodni i wyczerpani. Upłynęło sporo czasu od momentu, gdy wpadliśmy w tę idiotyczną pułapkę. Strasznie zdrewniały mi ręce, nogi i plecy. Nikt nas nie karmił, nie dostaliśmy wody, a stosunek goblinów do nas... cóż, lepiej nie mówić. Gobliny miały teraz dużo koni (dzięki naszej heroicznej akcji), więc jechaliśmy niemal bez odpoczynku. Od rana do wieczora trzęśliśmy się w twardym siodle, przetruceni w poprzek, jak worki z mąką. Jak się domyślicie, mieliśmy niewiele przyjemności z takiej wycieczki. Buldożer ciągle nie odzyskiwał przytomności; nieźle mu przyłożyli w głowę, która i tak nie jest jego najmocniejszym organem. Czasami słyszałem, jak coś cicho bredził, może w gorączce, ale porywacze absolutnie się tym nie przejmowali. Musiałem zaciśnąć zęby i cierpliwie znosić to wszystko. Pod koniec drugiego dnia wreszcie dotarliśmy na miejsce. Wniesiono nas do jakiegoś zniszczonego zamku, oczywiście do podziemi. Potem przyszedł gruby goblin w liberii, dotknął palcem Buldożera, postawił na podłodze dzban nakryty kawałkiem chleba i rozwiązał nas. Po jego wyjściu minęło jeszcze z pół godziny, nim zdołałem się ruszyć. Chleb i woda posłużyły za lekarstwo - Jean doszedł do siebie.

- Dlaczego nic mi nie mówiłeś o goblinach?

- Nie pytaliście.

- Dobry Boże! W porządku, więc teraz pytam: jakie jeszcze plugastwo występuje w waszym wesołym kraju? Bardzo chciałbym wiedzieć, z kim spotkamy się następnym razem.

- A czy ten następny raz w ogóle będzie?

- Skoncentruj się na plugastwie!

- Smoki, wiedźmy, czarownicy i magowie, gobliny, trolle, wampiry, gorgulce i diabły. Prócz tego leśne licha i ludojady, Błękitne Hieny, rozbójnicy i zabójcy, złodzieje, buntownicy i zwykli niebezpieczni wariaci... To chyba wszystko. Jeśli nawet o kimś zapomniałem, to o niewielu. No, oczywiście są jeszcze wielkoludy, podwodne smoki, półdżicy jeźdźcy, małe i wielkie demony... Czy można wszystkich wyliczyć?

- Nie uwierzysz, Jean - przerwałem mu ze znużeniem - ale w moim świecie są tylko zwykli przestępcy i mafia.

- Niemożliwe! To przecież raj na ziemi!

- No właśnie. Kocham mój kraj, a ta miłość rośnie wprost proporcjonalnie do czasu spędzanego w podziemiach, w niewoli u goblinów, gdy jestem głodny i poobijany...

Drzwi się otworzyły, a cztery maskary z kuchennymi tasakami popatrzyły na nas żarłocznie. Czekaliśmy, kto odezwie się pierwszy.

- Wstawać. Iść. Pan czeka.

Cóż, w naszej sytuacji dyskusje raczej nie były wskazane. Całą drogę strażnicy spierali się, który z nas zginie pierwszy. Oni chcieli, żeby Buldożer - jest na nim więcej mięsa, chociaż z drugiej strony, zupa zrobiona na mnie byłaby pewnie bardziej zawieszista. Dowcipnisie, nie ma co...

W końcu dotarliśmy do jasno oświetlonej sali, gdzie powitał nas pulchny mężczyzna, wystrojony jak bohater podrzędnej reklamy. Chociaż ja nie popieram nadmiaru ozdóbek...

- Wejdźcie, wejdźcie, moi mili! Czekam i nie mogę się doczekać, czy wypatruję, gdzie nasi nowi jeńcy?

- Chory człowiek... - Pokiwał głową Jean, robiąc palcem kółko przy skroni, a typek usadził nas przy pustym stole i radośnie zapytał:

- Czy dobrze was karmią, jak śpicie, jak zdrowie krewnych?

A czemuż to, moi kochani, napadliście na niewinne gobliny? Radzę wam, nie wywijajcie na przyszłość nożykami, w ten sposób można się łatwo pokaleczyć...

- Posłuchaj, kochany - przerwałem mu. - Nikogo nie zaczepialiśmy, wpadliśmy w zasadzkę twoich potworków przypadkiem, więc po prostu puść nas do domu.

- Nie oczerniaj moich słoneczek, wąsaczu! Nawet muchy by nie skrzywdzili, a wy podobno zamordowaliście aż siedmiu! Coś podobnego!

Siedmiu? No, no, tośmy się rozpędzili... Może zaangażuje nas jako najemników? Czytałem gdzieś, że w podobny sposób wybierano najlepszych wojowników. Tylko czy warto zawierać kontrakt z takim dziwakiem? Kogo on mi przypomina? Łysa czaszka, tylko rzadkie loczki zwisają z tyłu głowy, gęba pulchna i różowa, nosa prawie nie widać spośród policzków, oczy okolone długimi, jak u modelki, rzęsami. Sposób bycia ordynarny i serdeczny jednocześnie. Taki z uśmiechem na ustach wyśle cię na szafot... O, już wiem, Prokrust! Jak tylko coś nie będzie pasowało do jego wyobrażeń - od razu pod mur!

- Jeszcze raz cierpliwie wyjaśniam, że była to jedynie obrona konieczna. Żądam adwokata!

- Cha, cha, cha! Aleś ty dowcipny! Pokazać ci coś? Hej tam, zawołajcie mojego kucharza, niech przyjdzie tak jak stoi, bez ceregieli... Kilka minut później w drzwiach zjawił się brudny goblin w wysmotruchanym fartuchu, który czyścił moim mieczem jakąś brukiew. Miecz Bez Imienia jako narzędzie kuchenne? Skoczyłem do przodu, potknąłem sie i upadłem, rozcinając sobie wargę. Ohydny typ zachichotał i gestem odesłał kucharza. Jean pomógł mi wstać.

- No, no, ale z ciebie figlarz! A przecież ja cię znam! Jesteś landgrafem, prawda?

- Raczcie zwracać się z szacunkiem do mojego pana, szlachetnego lorda Osiernicy, obrońcy i Orędownika, Wstępującego w Mrok, trzynastego landgrafa Miecza Bez Imienia! - zażądał surowo Buldożer, a strażnicy głucho zamruczeli.

- A ja jestem hrabia de Steta, władca wspaniałego zamku, pan tysiąca sierściolapych wojowników, liryk, muzyk i człowiek inteligentny - odrzekł typ. - Jedno pytanko, jeśli wolno. Czy to prawda, lordzie Osiernico, że walczyacie z Riesenkampfem?

- Prawda. W żaden sposób nie możemy się dogadać w sprawie spadku po ciotecznej babce.

- Ojej, ojej, znowu mnie rozśmiesza. W końcu może dojść do tego, że cię nie zabiję. Zatrzymam sobie jako błazna, najwyżej rączkę czy nóżkę trzeba będzie złamać. Kulawy błazen Osiernica... nieźle brzmi, prawda? Jak wam się podoba, moi złoci? Cha, cha, cha!

- Jesteśmy zmęczeni, chcielibyśmy coś zjeść i przespać się. Jutro możecie zrobić z nami, co chcecie.

- Ejże... Były z wami dwie nieznośne dziewczynki, prawda? Czemu do mnie nie przyszły? - Wydał wargi urażony baron.

- Twoje szczęście, że nie przyszły... - burknąłem i w tym momencie do pokoju wpadł z rykiem jakiś goblin z rogami na głowie, najprawdziwszymi rogami, wyrastającymi prosto z czoła! Rogi były wielkie i masywne, jak u starego łośa, pod ich ciężarem głowa pochylała się do przodu. Biedak nie mógł wykrztusić

słowa, tylko skowyczał i wył. Oszołomiony de Steta otworzył usta:

- Co to ma znaczyć? Nie pozwalam na takie zachowanie!

Goblin w końcu przestał liczyć na to, że uda mu się coś wyjaśnić i wytruchtał z pokoju. Popatrzyliśmy na siebie z Buldożerem porozumiewawczo:

- Weronika!

Ciągle to samo podziemie. Dobrze chociaż, że nie włożyli nam kajdan, a przecież mogli. Sen nie zastąpi jedzenia, więc siedzieliśmy ponurzy, jak wygłodniałe susły. Ale przynajmniej mieliśmy pewność, że dziewczynki o nas nie zapomniały. Znając aktywną postawę Lii i eksperymentatorską naturę Weroniki, byłem pewien, że rozpoczęły się działania partyzanckie. A to znaczy, że czekają nas podpalone magazyny, wykolejone pociągi, wysadzane w powietrze mosty i martwi wartownicy...

- Milordzie, czy my tu zginiemy?

- Nie, mam inne plany.

- Myślicie, że one zdołają nas stąd wyciągnąć?

- Na pewno.

- Chciałbym w to wierzyć... - Buldożer zakręcił się na słomianej podściółce, próbując usiąść wygodniej. - Przecież to jeszcze dzieci! A co będzie, jeśli je też schwytają?

- Słuchaj, nie dręcz mnie. Bez twojego gadania jest mi wystarczająco ciężko. Masz jakąś konkretną propozycję?

- Nie.

- To zacznijmy dobijać się do drzwi, a jak otworzą, zaatakujmy strażnika. Będziemy mieli okazję umrzeć jak bohaterowie.

Jean zrozumiał, że z niego kpię, i zwiesił nos na kwintę. A do mojej biednej głowy zakradły się paniczne myśli. Potem usłyszałem głosy - widocznie pierwsze oznaki halucynacji głodowych.

- Wysadzić w powietrze! Wysadzić ich do diabła!

- Tak? A jeśli ich przysypie odłamkami? Trzeba kopać, okopać całą płytę dookoła i wtedy...

- I wtedy pod tą płytą pogrzebią nas, głupia!

- Sama jesteś głupia! - Dwa cienkie głosiki brzęczały w moich uszach.

Buldożer odwrócił się i obrzucił mnie długim spojrzeniem.

- Milordzie, ja chyba tracę rozum. Słyszę głosy.

Czyli on też. Ale nas wzięło! To nerwy, wszystko przez te nerwy. Oczy nam się kleją, a słuch mamy wyostrzony do tego stopnia, że rozróżniamy każdy szmer pod podłogą.

- A może uda się ją odsunąć? - Słyszałem dalej.

- Lepiej spróbuję zamienić ją w materac.

- Aha, już ja znam te twoje zaklęcia!

- Co ty wiesz o zaklęciach!

- Nie bój się, nie jestem głupsza od ciebie.

- Nie jesteś głupsza ode mnie?! W twojej głowie mózg nigdy nie zagościł!

Znowu głośy! To mnie wykończy nerwowo...

- Milordzie, znowu słyszałem...

- Ja też...

Chwileczkę! Ludzie zazwyczaj nie tracą rozumu grupowo. Jeśli obaj coś słyszymy, to znaczy, że to dzieje się naprawdę. Kto tu może rozmawiać? Przecież nie myszy... Na krasnoludki za cienne głosy. O, mam! To na pewno duchy! Powinno ich tu być jak mrówek. Jedna z ciężkich płyt, którymi wyłożono podłogę, wyraźnie drgnęła. Razem z Buldożerem odsunęliśmy się w kąt - tak na wszelki wypadek. Potem rozległo się kłaśnięcie i w tym samym miejscu pojawiła się sterta zakurzonych materacy. Podeszliśmy bliżej. Spod sterty wydobywały się zduszone przekleństwa.

- Jean, to dziewczyny! Pomóż!

Minutę później cały ten chłam został rozrzucony po kątach i naszym oczom ukazały się Weronika i Lija, nieco przyduszone ciężarem starych piernatów. Każda z nich miała śliwę pod lewym okiem. Mój giermek skinął ze zrozumieniem głową i szybko zrobił przegląd sakwy Lii - chleb, ser i wino, co może być lepszego dla wygłodzonego więźnia? Po dwudniowym poście rzuciliśmy się na jedzenie jak wilki. Dziewczyny otrzepały się i patrzyły na nas oczami pełnymi łez współczucia.

Nie będę przytaczał długiej i szczegółowej opowieści Weroniki, jak nas tu znalazły. Lija co chwila wtrącała swoje poprawki, więc raport zajął sporo czasu. Doprawdy, historia nie znała dotąd takich bohaterów. Jeśli wierzyć ich słowom, powinno się natychmiast włączyć je do panteonu świętych i stale nosić na rękach. Ale na szczęście mieliśmy teraz inny problem - jak się stąd wydostać i co zrobić dalej? Najprościej byłoby uciec tym samym podziemnym przejściem, którym doczołgały się tutaj nasze towarzyszki. Przejście wykopały krasnoludy w niepamiętnych czasach. Ale ten pomysł odpadł w przedbiegach - kwadratowe bary Buldożera nie pozwoliły mu się nawet wcisnąć w dziurę po płycie. Poza tym musiałem odzyskać Miecz Bez Imienia, profanowany w kuchni. Należało odebrać go uzbrojonym goblinom w samym sercu ich legowiska. Zadanie dla nieźrównoważonych psychicznie - a to znaczyło, że damy radę. Buldożer z rozmachu kopnął w drzwi i byłbym przysięgł, że zasuwę wysunęły się ze swoich miejsc.

- Strażnika walić w szczękę czy w czoło? - spytał rzeczowo Jean.

- Wybór pozostawiam tobie. - Wzruszyłem ramionami.

- Milordzie... - zaczęła Weronika.

Ale w tym momencie drzwi otworzyły się z impetem i małpokształtny wojownik wszedł do środka. Chyba zastanowiło go, cze-

mu teraz jest nas czworo. Jean zrobił zamach, ale uprzedziła go nasza nieznośna praktykantka.

- Pograżę cię w mroku! - Tu nastąpiło efektowne pstryknięcie i otoczyła nas absolutna ciemność.

- Jego, a nie cały pokój, idiotko! - warknęła Lija.

W końcu udało nam się wydostać. Trafiliśmy na korytarz oświetlony pochodniami. Wokół wrogowie, znikąd pomocy, ale wiedzieliśmy, gdzie jest kuchnia, więc ruszyliśmy do walki.

Z natury jestem człowiekiem bardzo spokojnym. W zajęciach karate interesowały mnie nie tyle kopniaki w szczękę, co kultura i tradycje Wschodu. Tylko komu to teraz potrzebne? Czy miałem recytować goblinom haiku Matsuo Bashó? Ten świat był absolutną negacją mojego spojrzenia na problemy stosunków międzyludzkich. Pięścią w skroń albo stopą w podbródek - to jedyne, co ci tutaj rozumieją! Do dziś jestem przekonany, że najlepszy argument w dyspacie z goblinem to młot kowalski. Do kuchni przebiliśmy się głównie dzięki Buldożerowi. Głód przewyciężył strach (czy taki brontozaur może zapełnić żołądek zawartością jednej sakwy?) i Jean zwał z nóg każdego goblina, który miał nieszczęście stanąć na jego drodze. Ci, którzy jeszcze się ruszali po kontakcie z jego pięścią, odpełzali na bok i próbowali zaalarmować towarzyszy. W końcu z rykiem wpadliśmy do przestronnej sali, obwieszanej naczyniami, z ogromnym paleniskiem pośrodku, obstawionej workami, beczkami i koszami z żywnością. Znajomy goblin pochylał się nad półmiskiem z pieczonym prosięciem. Widok rzucającego się na mięso Buldożera mógł przerazić niejednego, ale goblin nie dość, że do strachliwych nie należał, to jeszcze był ogromny, więc wyszczerzył kły i chwycił za tasak.

- Kolacja dla pana. Nie brać. Nie próbować - wybełkotał.

Nie radziłbym nikomu znaleźć się teraz między rycerzem a tą gorącą wieprzowiną... Jean przełknął ślinę i z rozmarzeniem wywrócił oczami, mimochodem rzucając kucharzem o drzwi. Chyba kogoś tam nawet przygniotło, w każdym razie przez dwadzieścia minut nikt się do nas nie kwapił. Urządziliśmy prawdziwą ucztę, a Weronika tymczasem odnalazła mój miecz. Pochwyciłem go jak matka dziecko, wytarłem z tłuszczu i brudu, powiesiłem przy pasie i poprzysiągłem nigdy więcej nie rozstawać się z tą magiczną bronią. Miecz Bez Imienia z wdzięcznością wsunął się w moją dłoń, a jego rękojeść ostrzegawczo się rozgrzała, chociaż i tak wiedzieliśmy, że zaraz się tu wszyscy zwałą. Nie myliliśmy się - w drzwiach stanął hrabia de Steta w otoczeniu uzbrojonych goblinów.

- Coście wymyślili, moi kochani?

- Nic szczególnego, drogi gospodarzu... - Demonstracyjnie zakręciłem Mieczem Bez Imienia. - Uważam za konieczne podziękować panu za gościnę, ważne sprawy wzywają nas znowu na

szlak. Pozwolicie, że się pożegnamy, czy też będziecie nalegać na natychmiastowe uszkodzenie ciała?

- Ależ po co ten pośpiech, lordzie Osiemico! Niedawno ułożyłem przepiękną melodię na harfę. Wróćcie do swojej przytulnej piwniczki, tam sobie posłuchamy...

- Jest pan melomanem?

- Kocham muzykę. - De Steta skinął głową. - Widzę, że sajuż dziewczynki, to dobrze, będą robić za chórek. Jak to miło, moje słodziutkie! Mam dla was cudną...

- Dlaczego tak się z nim patyczkujemy, milordzie? - przerwała mu bezceremonialnie Lija. - Stuknijmy go w łeb i odprowadźmy na cmentarz...

Inteligentny szlachcic wyrócił oczami i próbował zaprezentować zgrozę i oburzenie.

- Dziewczyzna ma rację - zauważył posepnie Jean. - Czuję pilną potrzebę obicia komuś mordy.

- Oho, nasz rycerz dorasta! - Poklepałem go po ramieniu zadowolony. - A więc do diabła z ceremoniami! Zejdźcie nam z drogi!

- Tak nie można, lordzie Osiemico! Nie wolno, mój złoty... - hrabiego odetkało. - Riesenkampf obiecał ogromną nagrodę za waszą głowę. Jest teraz zajęty, przygotowuje armię do marszu. Razem z moimi chłopcami chcę wziąć udział w karaniu buntowniczego króla...

- Plimutroka Pierwszego? - prychnęła Weronika.

- Tak jest. Władca Lockheimu da mi dużo złota, jeśli przed szturmem moi wojownicy rzucą pod bramy Ristail głowę trzynastego landgraфа. Teraz rozumiecie, że nie mogę przegapić takiej okazji. Nie chcecie posłuchać harfy przed śmiercią? W takim razie żegnajcie, moje drogie dzieci...

Gobliny z głuchym pomrukiem ruszyły do przodu. Jean chwycił kadh z olejem i rzucił ją na podłogę. Atak zaczął przypominać balet. Gobliny przewracały się bez najmniejszej pomocy z naszej strony i machały łapami, co upodobało je do majowych chra-baszczy.

- Mówisz, że lubisz muzykę, ptaszku? Hej, Buldożer, zabawmy ich!

- Tak jest, milordzie! Zaraz dostaną swoją porcję rozrywki! - potwierdził z przekonaniem mój giermek. A gobliny nadal padały, gramoląc się na siebie z rykiem i przekleństwami. Przewróciliśmy jeszcze jedną beczkę z jakimś tłuszczem, a potem zaczęliśmy rzucać wszystkim, co było w kuchni. Co za radość dla wojownika, walnąć wroga młynkiem do mielenia ziarna! A były jeszcze patelnie, pokrywki, miski, garnki i inne naczynia. Nawet zwykłe ziemniaki mogą być bardzo użyteczne, wystarczy dobrze wycelować.

- Nie ważcie się! To niekulturalne! Ludzie cywilizowani tak

nie postępują! - ryczał biedny de Steta, z oburzenia wyskubując włosy z brody.

- Lija, Weronika! Jest wasz! - zawołałem, a na widok uśmiechów obu dziewczyn zrobiło mi się słabo. Porozumiały się szepciem, uzbroiły w dwa cedzaki z długimi rączkami i wiedźma szybko wyszeptała jakieś zaklęcie. Hrabia nieoczekiwanie stracił wagę - i uniósł się nad kuchnią jak nadmuchany balonik, skąd wrzeszczał rozpaczliwie, zasypując nas niecenzuralnymi wyrażeniami.

A potem zaczął się najbardziej niezwykły mecz w badmintona, jaki miałem okazję oglądać.

Zamiast lotki wykorzystano tłustego de Stetę, raketki zastąpiono cedzakami, a po szczególnie udanym serwie Lija zaczęła liczyć punkty.

Hrabia już nie krzyczał, ale wył przeciągle na jednej nucie, latając z kąta w kąt. Jeśli któraś z zawodniczek nie trafiła - de Steta walił w ścianę, a przeciwniczka zdobywała punkt. Gobliny, zajęte oglądaniem tego niespodziewanego meczu, nawet nam nie przeszkadzały. Wygrała Weronika z rezultatem 8:7. Przeciwniczki uściśnęły sobie dłonie i nasze towarzystwo oddaliło się bez przeszkód. Żadnemu z goblinów nawet do głowy nie przyszło, żeby nas zatrzymać - wszyscy zajęci byli nową kwestią: jak odkleić od sufitu swojego pana.

Nasze konie znaleźliśmy przy wyjściu z ruin - pilnował ich ten sam mały goblin, który zwabił nas w pułapkę. Wystarczyło jedno spojrzenie, rzucone przez Weronikę, żeby biedak rzucił się do

101
ucieczki. Jednak nie udało mu się daleko zbiec - Lija powstrzymała go celnym rzutem podniesionej z ziemi podkowy. Łajdak oberwał w kark.

- To po to, żebyś na przyszłość nie oszukiwał - zauważył Jean, odciągając nieprzytomnego goblina na bok. Zza rogu wyskoczyło jeszcze dwóch, ale zobaczyli Miecz Bez Imienia i od razu się wycofali, nie próbując strugać bohaterów. I bardzo dobrze, bo nie byłem w najlepszym nastroju.

Po kilku godzinach rozpaczliwego galopu zarządziłem postój. Wszyscy położyli się spać, bo młoda wiedźma oznajmiła, że znajdujemy się pod jej magiczną ochroną. Pierwsza obudziła się Lija i natychmiast poderwała mnie.

- Tylko popatrzcie, milordzie, co ona narobiła!

Burcząc z niezadowolenia, otworzyłem oczy i aż krzyknąłem.

O tak, „magiczna ochrona” zadziałała bez pudła.

Znajdowaliśmy się pod przezroczystą kopułą, którą z zewnątrz dosłownie oblepiały różne podejrzane indywidua. Kogo tam nie było! Łyse wampiry z czerwonymi oczami, nietoperze o dwume-

trowej rozpiętości skrzydeł, wilkołaki, będące jednocześnie wilkami i ludźmi, jakieś ogromne szczury z długimi zębami i mnóstwo innych osobników. Cały ten zwierzyniec groźnie szczyrzył kły, łyskał oczami, skrobał pazurami, demonstrując pragnienie przedostania się do środka. Obudziłem Weronikę i Buldożera.

- Coś ty znowu wymyśliła?

- To odstraszała kopuła - wyjaśniła praktykantka, w skupieniu gryząc paznokiec.

- I tak ich właśnie odstraszyła?! - Zdenerwowałem się.

Mój giermek, błądzący ze strachu, mimo wszystko próbował bronić dziewczyny.

- Weronika jest po prostu zmęczona, milordzie. Tyle się zdarzyło w ciągu tych dwóch dni... Każdy mógł się pomylić.

- Nic nie rozumiem - powiedziała szczerze Weronika. - Kopułę stworzyłam poprawnie, i nikt nie może jej przebić... Ale skąd się tu ich tyle wzięło?

- No tak! - prychnęła Lija. - Milord może odnieść wrażenie, że w naszym kraju panuje przeludnienie. Na jeden metr kwadratowy przypadają trzy wampiry i jeden upiór, a widzę, że nie brakuje również drobniejszych stworów...

- Kopuła ich przyciąga! A przecież powinna odstraszać... Może tupnęłam nie tą nogą?

Tymczasem do przezroczystych ścian kopuły przylepiło się jeszcze kilkanaście innych, równie paskudnych stworzeń. W środku robiło się coraz mniej sympatycznie, przerażone konie były kopytami, Buldożer ledwie mógł je utrzymać. Przecież nie będziemy tu siedzieć do końca życia!

- Zdaje się, że ta kopuła trzyma je jak dobry magnes żelazo.

Musimy się stąd wynosić.

- Usunąć kopułę? - spytała Weronika.

- Broń Boże, wtedy cały ten zwierzyniec spadnie nam na głowy. Możesz zorganizować podkop?

- Oczywiście, ale konie przez niego nie przejdą.

- Trudno, zostawimy je tutaj. Kochani, zbieramy się i wynosimy.

Pakowanie skończyliśmy w rekordowo krótkim czasie. W ziemi otworzyło się przejście i minutę później już byliśmy poza kopułą, kilka metrów od rosnącej góry plugastwa. Pozostawało jedynie wymijać biegnące w przeciwną stronę maskary. Kiedy indziej z przyjemnością by nami przekąsiły, ale teraz przyciąganie kopuły było zbyt silne.

- Gobliny! - krzyknęła nagle Lija, łapiąc mnie za rękaw.

Do licha! Zza wzgórza rzeczywiście wyłonił się oddział kilkudziesięciu potworów. Nad nimi, mocno obwiązany sznurkiem i przytrzymywany przez sługi, wisiał nasz były gospodarz - hrabia de Steta. Z wysokości ujrzał nas pierwszy.

- Naprzód, chłopcy! Nikogo nie oszczędzać, nie brać żadnych jeńców! Zrobić z nich siekaninę! Riesenkampf nie zostawi nas bez nagrody! Naprzód, dzieci!

- Wracamy do kopuły? - zasugerował Jean.

- Nie da rady, już zamknęłam przejście.

- Jest ich pięćdziesięciu, a nas czworo. Nie mamy dokąd uciec, więc będziemy walczyć tutaj. Buldożer, przepraszam, jeśli czasem bywałem wobec ciebie zbyt ostry...

- Co wy mówicie, milordzie, nigdy nie widziałem lepszego pana! Wybaczcie mi, że byłem taki tchórzliwy i beztroski...

- Lija! Byłaś dobrym paziem. Bardzo się do ciebie przywiązałem, wybaczone, że miałem dla ciebie tak mało dobrych słów i nie częstowałem cię czekoladą...

- Lordzie Osiernico, czy wy naprawdę macie zamiar umrzeć? - Dziewczyna uniosła brwi. - A ja myślałam, że im pokażecie...

- Otwórz oczy, wariatko! - Wybuchnąłem. - Jest nas czworo przeciwko pięćdziesięciu goblinom. Po prostu stratują nas końmi!

18-*

Weroniko, nie zdążyłem się z tobą pożegnać. Stale ktoś mi przeszkadza. Zabierz Liję i opowiedz królowi Plimutrokowi o naszym ostatnim starciu...

Moi przyjaciele westchnęli, zamknęli oczy i zaczęli myśleć o rzeczach wiecznych. Tętent kopyt stawał się coraz głośniejszy, a potem nieoczekiwanie ucichł. Chyba konie wroga wyczuły nagromadzenie plugastwa za naszymi plecami i odmówiły udziału w zabawie. Otworzyłem oczy. No właśnie - konie stanęły jak wryte.

- Z koni! - wydał rozkaz hrabia. -1 biegiem na nich! Zabijcie ich wszystkich! Głowa landgrafa dla mnie!

Gobliny zaczęły niezgrabnie biec w naszą stronę, ale z każdym metrem ich prędkość rosła, a coraz większe zdumienie pojawiało się na pyskach... Wreszcie do mnie dotarło! Kopuła! Przyciągała ich tak samo, jak całą resztę!

- Rozejść się! Przepuście ich! - krzyknąłem.

Gobliny przemknęły między nami jak huragan i z cmoknięciem przyssały się do przylepionych do kopuły ciał. To już była czwarta warstwa.

Spokojnie wybraliśmy sobie wierzchowce z byłych koni goblinów i niespiesznie ruszyliśmy w drogę. Baron de Steta wisiał w powietrzu, przywiązany długim sznurem do siodła jednej z kobył. Ruszyliśmy, a za nami rozlegały się jego histeryczne krzyki:

- Lordzie Osiernico! Kochany, złotko, słoneczko, skarbie! Przecież możemy porozmawiać jak kulturalni ludzie!

Osiernica, Osiernica... Już niemal odwykłem od swojego prawdziwego imienia. Nieoczekiwanie poczułem ogromną nostalgię. Moje słoneczne miasto, Wołga, piasek, Kreml, ukochane miejsce -

mogłem godzinami spacerować między białymi murami, wdychając aromat srebrnych świerków. Akademia Sztuk Pięknych, służba na granicy, twórczość, przyjaciele, miłość... Może by się rozplakać? W tym świecie człowiek staje się taki sentymentalny... Chociaż muszę przyznać, że ten świat miał swoje plusy. Na przykład możliwość nazywania wszystkiego po imieniu. Jeśli człowiek jest twoim wrogiem, to tak go właśnie traktujesz. Walisz mieczem po głowie i przechodzisz do następnego. Jeśli przyjaciel - osłania cię i trzyma wartę przez pół nocy, póki go nie zastąpisz. Kłamca, podlec, łajdak, zbój - wal prosto w oczy, nie owijaj w bawełnę, w przeciwnym razie zostaniesz źle zrozumiany. Słowa to tylko odbicie pragnień, a w mężczyźnie ceni się jego czyny! Czasem wydawało mi się, że w tym świecie czuję się lepiej i spokojniej. Tu jest bardziej naturalnie, bliżej natury, prościej i łatwiej. Niedobrze, że takie myśli przychodzą człowiekowi do głowy wtedy, gdy ma mnóstwo poważniejszych problemów.

- Lordzie Osiernico, cały czas się zastanawiam - zagadnął Buldożer - skąd się wzięło tyle siły nieczystej? Przecież nie siedzieli wszyscy pod jakimś krzaczkiem! Coś tu nie pasuje!

- Też o tym myślałem. Hrabia coś przebąkiwał, że Riesenkampf szykuje pochód na Ristail. Może trafił się nam jeden z oddziałów?

- Sądzicie, że tyranowi udało się zawrzeć przymierze z wampirami? - Jean wytrzeszczył oczy.

- A czemu nie? Przecież z wiedźmami i diabłami zdołał się dogadać!

- Czegoś takiego jeszcze nie było. - Lija pokręciła głową. - To już nie jest polowanie na landgrafa, tylko najprawdziwsza wojna! Powstaje całe królestwo!

- Nie ma w tym nic dobrego - uciałem.

- Jak to? Przecież chcemy zrzucić jarzmo Riesenkampfa! To święta wojna, milordzie!

- To krew, Lija! Krew i śmierć wielu ludzi! Twoich przyjaciół, znajomych i bliskich! Może już jutro będziesz lamentować nad ciałem Buldożera albo płakać na moim grobie... Nie chcę takiej wojny. Wasz świat żyje w harmonii dobra i zła. Ostatnio zło miało więcej szczęścia, teraz my przechyliliśmy szalę na stronę dobra.

A Riesenkampf rozpętał globalną rzeź. Jeśli zwycięży, równowaga zostanie zakłócona i on nie poradzi sobie z przewagą ciemnych sił.

- Skąd to wiecie? - zdumiała się Weronika. - Jakbyście czytali z księgi... Jakby to właśnie miało się spełnić.

- Lord Osiernica jest mądry i wykształcony, i wie, co mówi.

Chociaż ja uważam, że dręczycielowi królowej należy się nagrobek...

- Oczywiście, ty nasza mądralo. - Uśmiechnąłem się i poklepałem Liję po ramieniu. - Razem z Jeanem postawisz nagrobek,

ale to pewnie ja będę musiał przekonać Riesenkampfa, że powinien się pod nim położyć?

- Aha! - Skinęli głowami.

No tak, ich zdaniem cały splendor takiego czynu mógł przypaść w udziale wyłącznie landgrafowi. Za nic nie chcieliby odebrać mi choćby cząstki mojej sławy. A ja byłem gotów wcisnąć ją każdemu za sporą dopłatą...

IR*

Przenocowaliśmy w jakimś lasku, zjedliśmy śniadanie i chcieliśmy wracać do Ristail, ale wszystko potoczyło się inaczej. Weronika wyłowiła słaby dźwięk - gdzieś niedaleko maszerowała cała armia. Od razu zrozumieliśmy, czyja.

- Sprawdźmy? - podsunąłem.

Moi towarzysze od razu się ożywili. Wszyscy byliśmy ciekawi, ilu najemników udało się zebrać Riesenkampfowi - ale to, co zobaczyliśmy, przeszło wszelkie oczekiwania. Leśną drogą maszerował ogromny oddział szkieletów. Wysocy, kościści wojownicy w rogatych hełmach, z okrągłymi tarczami i krzywymi mieczami w rękach. Było ich co najmniej dwustu lub trzystu.

- Atakujemy teraz, czy czekamy na nadejście głównych sił? -

Lija spoglądała na mnie niewinnie.

Nie czułem strachu. Strach już dawno został zastąpiony przez uczucie znacznie bardziej praktyczne, takie, jakim można kierować. Szkielety, rzeczywiście. Żywe i uzbrojone, idą na nas całą hurmą. No i co z tego? Nie takich widywaliśmy, nie takich bijaliśmy - jak mawiał dumnie Złobynia Nikitycz. Teraz należało się dowiedzieć, ile tego draństwa zwerbował tyran. No i dobrze by było uprzedzić o tym króla Plimutroka.

- Pluton! Uwaga, Weronika!

- Tak jest!

- Siodłaj miotłę i leć do pałacu. Opowiedz o wszystkim królowi. Niech szykuje wojska.

Młoda wiedźma stuknęła obcasami i wzbiła się w górę.

- Lija, Jean, na koń! Objedziemy tych bladolicych od północy, musimy dotrzeć do Ristail jako pierwsi.

Potem były dwa dni szalonego galopu, na szczęście bez przygód, a gdy dotarliśmy na miejsce, ujrzelśmy istny koszmar. Miasto było szczelnie otoczone ogromną armią wszelkiego paskudztwa. Uśmiechnięte wampiry o długich, cienkich kłach, z dziesięciu wielkoludów, którym mury sięgały w najlepszym razie do piersi, hordy dzikiego chłopstwa w zwierzęcych skórkach, na krzywonożnych koniach, cała masa goblinów z niezapomnianym hrabią na czele, tłumy wyskrobanych do białości szkieletów, gromady żywych trupów, z których zwisały strzępy ciała... Nie sposób wszystkich wyliczyć. Widać było gołym okiem, że siły obrońców były ze

dwadzieścia razy mniejsze. Z tyłu ktoś kichnął...

- Weronika?

1 Oó

- To ja, milordzie... Przepraszam, ale chyba mnie przewiało na tej miotle... A psik!

- Co robi król?

- Plimutrok Pierwszy z zięciem, wojskiem, czartami i mieszczanami szykuje się... a psik! do odparcia ataku... Lija, nie masz chusteczki do nosa?

Gdy dziewczęta zajmowały się walką z przeziębieniem, przywołałem Buldożera.

- Naszych mimo wszystko będzie zbyt mało. Jak długo utrzyma się miasto?

- Najwyżej do obiadu - powiedział w zadumie Jean. - Mury są stare, i jeśli wrogowie uderzą ze wszystkich stron jednocześnie, Ristail nie wytrzyma.

- Chyba masz rację. W każdym razie dołożymy tym draniom problemów dwoma dodatkowymi mieczami.

- Milordzie, my na pewno zginiemy... Nie uwierzycie, ale zupełnie nie boję się śmierci. Wprawdzie nie ma we mnie pragnienia walki, ale będę się bił, bo wiem, że tak trzeba. Bóg patrzy na nas z góry... Myślicie, że pozwoli mi towarzyszyć wam w raju?

- A jeśli wyślą nas do piekła? - zażartowałem niewesoło.

- W piekle już byliśmy - Mój giermek uśmiechnął się gorzko.

- W każdym razie, nie wybiegajmy za bardzo w przyszłość. We dwójkę tworzymy niezły oddział bojowy i jeszcze nieraz staniemy Riesenkampfowi kością w gardle.

- We trójkę! - włączyła się Lija.

- We czwórkę! - oburzyła się Weronika.

Żeby się nie rozplakać z rozczulenia, musiałem znowu udać surowego dowódcę.

- Słuchać rozkazów! Jean zostaje tutaj. Sprawdzisz zbroję, konia, przygotujesz się do walki. Wy obie wsiadacie na miotłę i leciecie szukać Królika. Jeśli ktoś może nam pomóc, to tylko on.

- Lordzie Osiernico, ja oczywiście polecę, ale... ale obiecujcie, że nie zaczniecie walki bez nas. Poczekaście, aż wrócimy! - prosiła Lija, a zdyscyplinowana wiedźma już wchodziła na pas startowy.

Pomachaliśmy im rękami, a ja powoli wyjąłem Miecz Bez Imienia. Z czułością wytarłem klingę płaszczem i znowu poczułem łagodne ciepło rękoności. Chyba był zadowolony z czekającej nas jatki. Nic dziwnego, miecz żyje bitwami. Landgrafowie przychodzą i odchodzą, a ta magiczna broń przeżyje jeszcze niejednego pana. Klinga wsunęła się w moją dłoń. Skąd te smętne myśli? Przecież zdaniem de Brasa nie ma nic lepszego od śmierci na koniu,

wśród wrogów, w obronie prawdy i sprawiedliwości...

Ale z drugiej strony, on jest już po czterdziestce, a ja mam jeszcze całe życie przed sobą!

- Milordzie! Patrzcie, to przecież Lockheim! - Podekscytowany Buldożer odwrócił mnie jednym szarpnięciem za ramię. Rzeczywiście... Nie przypuszczałem, że Riesenkampf tak szybko się otrząśnie.

- Co robimy, panie?

- A co zrobi wielki mag?

- Jak to co? - zdziwił się Jean. - Na pewno wezwie do siebie dowódców wszystkich oddziałów, wyznaczy każdemu zadanie i pośle wojska na mury.

- I ja tak sądzę. Patrz!

Latające Miasto zawisło metr nad ziemią i dowódcy (po dwóch przedstawicielei każdego rodzaju plugastwa) udali się na naradę wojenną. Rękojeść Miecza Bez Imienia parzyła dłoń: decyzja, którą podjąłem, była podyktowana przez niego.

- Na koń! Trzeba ich tłuc, zanim ustalą, jak z nami skończyć! Musimy przebić się do Ristail!

- Od kogo zaczniemy? - zapytał bez cienia strachu mój giermek. Chyba rzeczywiście zaczął dochodzić do formy.

- Licho wie! Zapomniałem zapytać, kto tam u nich jest dzisiaj dyżurnym kamikadze... Idziemy po prostej i walimy każdego, kogo spotkamy!

Szkielety dotarły pierwsze i chyba nie spodziewały się nikogo na swoich tyłach. Owinęliśmy wodze wokół łęków siodeł, zasłoniliśmy się z Buldożerem jedną tarczą i rozpędziliśmy konie. Kości leciały spod kopyt jak białe drzazgi. Przy okazji dowiedziałem się, że Buldożer całkiem nieźle włada również lewą ręką. Jego buława brzęczała jak wiertarka, usuwając atakującym zęby razem ze szczękami. Miecz Bez Imienia siał spustoszenie, lśniące czaszki rozsypywały się w pył od samego dotyku srebrnej klingi. Konie, rozgrzane walką, niosły nas przed siebie, zostawiając za sobą szeroką przesiekę. Do bram miasta nie było daleko, ale z pomocą szkieletom przyszły wilkołaki. Te potwory były się tak zawzięcie, że na chwilę ugrzęźliśmy; obaj musieliśmy się nieźle napracować, broniąc własnego życia. Jakieś szczególnie złośliwe bydlę rozerwało szyję mojemu rumakowi. Szlachetne zwierzę stanęło dęba i upadło, ale Buldożerowi udało się chwycić mnie za ubranie i posadzić za sobą. Przypomniało mi to turniej w Wesnachhause - znowu siedzieliśmy na jednym koniu i razem walczyliśmy. A z murów rozległ się znajomy chichot i wesoły głos króla Plimutroka ogłosił:

- Otworzyć bramy! Wszyscy pomagają trzynastemu landgrafowi! I tak rozpoczęła się słynna bitwa pod Ristail, później nazywana

również bitwą siedemnastu królów - Plimutroka, Riesenkampfa i piętnastu przywódców najróżniejszych potworów, którzy sami nadali sobie królewskie tytuły. Od razu powiem, że na samym początku koń Buldożera stratował króla szkieletów.

Nie przypominam sobie bardziej bezplanowego, nieprzemyślanego i chaotycznego starcia. Dopiero potem bardowie i minstrele opiewali czyny bitewne, wychwalając bohaterstwo uczestników bitwy, opisując je w wierszach, balladach i czastuszkach, czyli co tam komu w duszy grało...

A naprawdę wyglądało to tak: otworzyły się bramy, zagrzmiały trąby i lśniaca kolumna rycerzy wbiła się w szeregi wroga. Jako pierwszy na białym koniu, w złoconej zbroi jechał sam król Plimutrok. Na ich drodze stały chyba wampiry... Rycerze przejechali przez ich szeregi niczym gorące żelazko przez nylonową bluzkę - szybko, nieuchwytnie, zostawiając delikatny ślad spalenizny, co nie było trudne, ponieważ zakuci w żelazo jeźdźcy górowali nad garbatymi, czerwonoookimi krwiopijcami, uzbrojonymi jedynie w długie sztylety. Następnie oddział króla wpadł na bandę dzikich trolli i zaczęło się poważne starcie. W tym samym czasie z Ristail wyjechała drużyna Wesnachhause pod przywództwem markiza de Brasa, a za nią - Charles Lee z synami, sługami i wojownikami. Dzieląc się na dwie drużyny, zaatakowali z flanki i zaczęło się ogólne mordobicie. Wojska Riesenkampfa porzuciły pomysł otoczenia miasta. Oddziały, pozbawione dowódców, próbowały się przegrupować i zmiażdżyć nas przewagą liczebną. Lockheim szybko wzbił się w powietrze i stamtąd ochrypli od krzyku dowódcy usiłowali instruować swoich żołnierzy. Tyran widocznie nie spodziewał się po nas takiego zrywu. Nieczęsto zagoniona do kąta mysz rzuca się na kota.

- Hura! - rozległo się wśród szczęku oręża.

Aha, to pewnie Rusini... Minutę później ruska drużyna odparła oddział wilkołaków. Padliśmy sobie z kniazem w objęcia.

- A to dopiero radość! Cały świat powstał przeciwko temu łajdakowi przekłętemu! Już my mu pokażemy!

- Jest nas za mało. Jak tylko ochłoną, rozniosą nas na atomy.

Musimy się utrzymać choć do wieczora! - krzychałem.

- Utrzymamy! - Złobynia Nikitycz ściągnął brwi. - Wszyscy tu złożymy głowy, ale nie cofniemy się. Naprzód, junacy! Złotą grzywnę temu, kto pierwszy wejdzie na mury latającej twierdzy!

Nie zdołałem dokładnie opisać bitwy, już choćby dlatego, że nie widziałem jej w całości. Mnie i Buldożera nosiło niczym drzazgę po oceanie, więc nie mieliśmy zbyt wiele czasu na analizę tego, co zobaczyliśmy. Były bardziej palące problemy, na przykład - jak przeżyć... Miecz Bez Imienia to wspaniała ochrona, ale nie może osłonić przed strzałą puszczoną z tyłu, kamieniem ciśniętym w gło-

wę czy otwartą studzienką kanalizacyjną pod nogami (to tylko dygresja). W pamięci utkwily mi pojedyncze fragmenty starcia: potworne karły w hełmach z maczugami i toporami zrzucają na ziemię króla, który już po chwili wydostaje się spod sterty ciał, z entuzjazmem walcząc sztandarem niczym kopią. Jakiś mieszczanin, przebity trzema pikami. Krasnoludy wyłuskujące ze zbroi leżącego rycerza. Gorgulia Times (skąd się tu wzięła?) z dwiema siwymi wiedźmami, wyjąc jak meserszmity, lata nad polem bitwy, zasypując wrogów kamieniami i piorunami kulistymi. Księżniczka Liona w kolczudze i hełmie, z krótką kopią w ręku, wrzeszczy kapitańskim głosem: „Złobyniuszka! Kochany mój! Gdzie cię nosi, sokole ty mój piękny?” Gobliny hrabiego de Stety, szatkujące oddział rzemieślników z dzielnicy garncarzy. Potworne stwory, rozrywające na kawałki ochronę królowy. Niewielka grupa Brumela otacza córkę króla i walczy zaciekle z pięciokrotnie liczniejszym wrogiem (poległy chyba wszystkie diabły). Ja i Buldożer próbowaliśmy się do nich przedrzeć, ale woje kniazia z niedźwiedzim rykiem pognali tam pierwsi. Potem widziałem, jak Złobynia, osłaniany przez swoich wojowników, niósł na rękach poranionego czarta. - Brumel, przyjacielu! Nie umieraj, diable rogaty... - zawodził. A z tyłu krzyczała uratowana Liona, wywijając bronią przed atakującymi wrogami.

Świadomie nie wspominam o sobie. Nie było czasu na filozofowanie, a szczególnym heroizmem moje zachowanie się tego dnia nie wyróżniało. Każda istota, wyposażona w instynkt samozachowawczy, będzie walczyć o swoje życie. Robiłem tylko to, co robili wszyscy. Miecz Bez Imienia niszczył wrogów, odbijał kopie, parował ciosy, przebijał zbroje i podtrzymywał mnie tam, gdzie bez niego już dawno upadłbym ze zmęczenia. Buldożer przestał wznosić okrzyki bojowe, walczył zaciekle, ale w milczeniu. Jeśli ktoś dokonywał cudów odwagi, to właśnie on. Jean kierował swojego konia w największe piekło, cały czas walczyliśmy w okrążeniu, aż ziemia wokół nas usłana była trupami. Ale szeregi przeciwnika nie topniały. Nie bałem się, że zginę, chciałem tylko, żeby się to wszystko wreszcie skończyło, żeby w ciemną otchłań niebytu razem ze mną wpadło jak najwięcej ohydnych potworów...

Nagle w moją rękę trzymającą miecz wbiły się ostre szpony. Po chwili podobne pazury rozharatały mi plecy. Nie od razu pojąłem, że coś mnie podnosi. Trzy ogromne nietoperze ściągnęły mnie z konia i wbiły się w górę. Nawet się nie szamotałem - jeśli mnie puszczą, będzie po mnie! W dole były kopie, ostrza mieczy i hordy ryczącego plugastwa. Ciężko machając skrzydłami, potworne nietoperze uniosły mnie w stronę Lockheimu. Co, znowu do niewoli? I w tym momencie ujrzałem w oddali jeden czarny punkt, potem drugi, trzeci... Nareszcie! Po lazurowym niebie bezszelest-

nie i złowieszczo sunął śnieżnobiały Królik, a za nim leciało sześć smoków bojowych. Dla mnie jednak nie miało to już większego znaczenia, bo, zrzucony na srebrzysty plac Lockheimu, wyrzniętem o coś głową.

Spadanie w nieświadomość było równie niemiłe, jak czekające mnie przebudzenie...

A przecież mogłem się zabić! Na śmierć! Można powiedzieć, że miałem wyjątkowe szczęście - nic sobie nie złamałem, nie skręciłem, nie naciągnąłem, zarobiłem wyłącznie sińce. Siedzę w wygodnym fotelu, pokój jest widny i przyjemny... Tylko ręce mam związane, nogi też, obok mnie sterczy dwóch byków z automatami, a naprzeciwko, przy stole, siedzi Riesenkampf i robi jakieś notatki. - Nie rozumiem... - Oderwał się od swojej pisaniny i popatrzył na mnie uważnie. - Wszystko zostało starannie przemyślane, sensownie opracowane. Ale wraz z pańskim pojawieniem się wszystko poszło na opak. Tyle razy organizowałem ataki na waszą szajkę i wszystko na darmo! Same nieudane zamachy! Gdzie tkwi przyczyna? Nie rozumiem!

- Może po prostu porozmawiamy? - Próbowałem pójść na kompromis, chociaż dyktowanie warunków pokoju w mojej sytuacji było co najmniej bezczelne.

- Nawet zacząłem pana szanować, landgrafie! Nie mając zupełnie nic, osiągnąć tak wspaniałe rezultaty? - Chyba w ogóle mnie nie słyszał, chciał się po prostu wygadać. - Tyle że jeśli pana nie zabiję, to stracę dla siebie szacunek. Aniołowie piekiel! No, niechże pan powie, kto rozpoczyna walkę z dziesięciokrotnie silniejszym przeciwnikiem? To przecież wbrew zdrowemu rozsądkowi! A gdy wreszcie was otoczyliśmy, pojawiły się te cholerne smoki... i zezarły mój ostatni helikopter!

Riesenkampf objął głowę rękami i zaczął się kołysać. Wzruszyłem ramionami. Co ja mu poradzę? Sądząc z jego wyglądu, zwyciężyliśmy. Fakt sam w sobie przyjemny, ale jak to się odbija na mnie?

- Dziś wieczorem jest pożegnalny bal. Będę zmuszony na jakiś czas porzucić ten kraj, muszę odpocząć w którymś z kurortów pańskiego świata, zaopatrzyć się we współczesną broń, zgromadzić lepszą armię. Za rok, dwa wrócę i zmiotę z powierzchni ziemi wszystkich pańskich pomocników. A teraz jest pan wolny, landgrafie.

- W jakim sensie?

- Rozwiążcie go! - Zostałem błyskawicznie „rozpakowany”. - Lockheim znajduje się na wysokości dwóch tysięcy metrów, spadochronów nie mamy. Może pan sobie chodzić, gdzie się panu podoba, oglądać, co pan zechce, nawet pogawędzić z królową. W końcu to ona wpakowała pana w tę niebezpieczną przygodę. Może pan rozporządzać swoją osobą w granicach miasta.

- A mój miecz? - zapytałem naiwnie, za co dostałem kolbą

w brzuch.

- Miecz? Nie rozumiem. - Skrzywił się pogardliwie wielki czarownik.

No dobrze, niech będzie, na razie jego na wierzchu. Wobec tego rzeczywiście pójdę się przespacerować - jeśli to nie był żart. Nie był. Nikt nie łapał mnie za rękaw, czyli istotnie mogę się tu swobodnie pokręcić... Przez pół godziny błąkałem się po korytarzach, podchodziłem do balustrady, przechylałem się przez poręcz i przyglądałem odległej ziemi. Nie było dokąd uciekać. Lockheim był pięknym, przestronnym więzieniem ze wszystkimi wygodami. Nie musiałem zbyt długo nudzić się w samotności - wkrótce pojawiła się królowa Tanitriel, ubrana w długą czerwoną suknię. Włosy miała schowane pod złotą siatką z perłami.

- Witam, wasza wysokość. Wspaniała pogoda, nieprawdaż?

- Widzieliście się z moim mężem? - zapytała z napięciem, stojąc obok mnie.

- Miałem ten zaszczyt... Między nami mówiąc, wygląda na chorego. Źle sypia? A może coś mu zaszkodziło?

- Czy możecie choć przez chwilę zachować powagę? - Wybuchnęła królowa Lockheimu. - Przecież on pana zabije! Może to zrobić w każdej chwili! Czy nie czuje pan oddechu śmierci na swoim plecach?

- Mój stosunek do świata pozagrobowego bardzo się zmienił. Stał się bardziej świadomy, filozoficzny, a nawet materialny. - Kłamałem, oczywiście. Nie miałem najmniejszej ochoty umierać. Ale w tym momencie musieliśmy się podtrzymywać na duchu, bo w przeciwnym razie padlibyśmy sobie w objęcia i zaczęli wyć ze strachu. - Pani cholerny mąż zaprosił mnie na jakiś pożegnalny bal, więc nie sądzę, żeby sobie psuł zabawę i zabił mnie przed wieczorem. A tak przy okazji, nie ma pani przypadkiem w kieszeni hot doga?

- Słucham? Jest pan niemożliwy, landgrafie... - Tanitriel pokręciła głową, po czym klasnęła w dłonie. - O Boże! No, oczywiście, musi pan być głodny! Chodźmy...

W jednym z pokojów szybko nakryto do stołu, milczący słudzy nakarmili mnie do syta, a królowa skromnie schrupała jabłko. Gdybym mógł zapomnieć o nadchodzącym nieubłaganie wieczorze, ta atmosfera romantycznej kolacji we dwoje szalenie by mi się podobała.

- Niechże się pani tak nie zamartwia z mojego powodu! Proszę mi lepiej powiedzieć, jak skończyła się bitwa.

- Ja... trudno mi mówić... ja się na tym nie znam... - Królowa naprawdę usiłowała wziąć się w garść. - Dobrze, jeśli nalegacie... Widziałam wszystko z okien mojej wieży. Wasz szaleńczy atak nie pozwolił wojskom mojego męża skoordynować swoich działań. Bitwa wyrwała się spod kontroli, bo przecież wszyscy dowódcy

oddziałów znajdowali się tutaj, w Lockheimie. Niestety, stosunek sił był zbyt nierówny i pod wieczór Ristail został wzięty. Riesen-kampfowi udało się wyciągnąć was z pola bitwy, liczył, że to wywoła panikę w oddziałach przeciwnika. I wtedy pojawiły się smoki! Na jednym siedziała jasnowłosa dziewczyna... a może chłopak?

- Nieważne. Co było dalej?

- A co mogło być? Kto da radę walczyć ze smokami bojowymi? Nawet mój mąż nie zdołał ich sobie podporządkować. Smoki zdecydowały o wyniku bitwy. Lockheim ukrył się w chmurach i zaczęła się haniebna ucieczka. Riesenkampf nawet nie patrzył na to, co się stało z jego wojskami.

- Dziękuję. - Wyciągnąłem się wygodnie w fotelu. - Oto prawdziwy triumf! Być zwycięzcą to bardzo miłe uczucie.

- Ale teraz on zabije pana!

- Uratują mnie.

- O, Boże! Sami nie wiecie, co mówicie! - wykrzyknęła Tanitriel, prawie płacząc. - Kto was uratuje? Jesteśmy dwieście dwadzieścia kilometrów od Ristail! Smoki mogą was szukać całą wieczność!

- Jest ktoś, kto rozwiązuje podobne problemy trzy razy szybciej. Nie warto zgadywać, poczekajmy do wieczora...

Miałem jeszcze jednego asa w rękawie - liczyłem, że Weronika nie zgubiła skórzanej naszywki z moich dżinsów...

Zaczął się pożegnalny bal. Muszę przyznać, że wszystko było na najwyższym poziomie i uroczystość mogła zaspokoić najbardziej wybredne gusta. Elegancka sala w głównym pałacu Lockheimu, suto zastawione stoły pod ścianami, wolna przestrzeń pośrodku - dla tańczących, no i smętna muzyka, od której człowiek miał ochotę się powiesić. Czternastu królów z ocalałego plugastwa, biedna Tanitriel z czerwonymi od płaczu oczami i Riesenkampf w czarnym fraku, z czerwonym gorsem i monoklem w oku. Towarzyszyło mu dwudziestu rycerzy w czarnych zbrojach i szarych płaszczach, którymi komenderowały znajome byki, tym razem w średniowiecznych kostiumach, ale z dużymi pistoletami pod pachą. Do mnie odnoszono się z szacunkiem, niczym do honorowego gościa. Wampiry i wilkołaki, szcurowate śwynie i uśmiechnięte ludojady zerkały w moją stronę z wyraźną obawą. Pewnie sądzili, że bez miecza jestem jeszcze groźniejszy. Przy głównym stole zasiadł Riesenkampf, po lewej jego stronie posadzono królową, a po prawej - mnie! Na razie nie zauważyłem żadnych koszmarów - może z wyjątkiem tego, co widniało na talerzach niektórych, szczególnie rzucających się w oczy biesiadników. Dobrze, że już w Cichej Przystani naoglądałem się różnych potworności, bo pewnie by mnie mimo wszystko zemdliło.

- Panie i panowie! - Riesenkampf wstał i podniósł kielich. -

Ciemna strona mocy łączy nas podczas dzisiejszego święta. Nasze armie zostały rozgromione, winowajca siedzi przed wami. Posta-

rajmy się, by jego śmierć była wspaniałym widowiskiem, które zostanie zapamiętane na zawsze!

- Czemu nie pijecie tego toastu, landgrafie? - zapytał mnie kpiąco jakiś wyleńiały truposz siedzący z prawej strony, gdy wszyscy wychylili swoje kielichy.

- Zmieniłem poglądy na alkohol. I panu też nie radzę pić, to rozwala wątrobę.

Trupi rozmówca z przestachem odsunął puchar.

- Jaki program przewidywany jest w tym varietes?

Riesenkampf odwrócił się w moją stronę i zniżył się do odpowiedzi:

- Najpierw kolacja, potem tańce.

- Mam nadzieję, że nie bezwstydne?

- Nie, balet królewski. Co miał pan na myśli, mówiąc „bezwstydne”?

- Ależ nic, to takie wspomnienie z Cichej Przystani, zniszczonej przez pana w tak spektakularny sposób... Jeśli rozumiem, kaźń odbędzie się bliżej północy, więc może przez ten czas odpowie mi pan na kilka drażliwych pytań? Wolałbym umrzeć w spokoju...

- Proszę pytać. - Tyran odchylił się na oparcie fotela, nie odrywając ode mnie czujnego spojrzenia.

- Nie jest pan czarnoksiężnikiem, prawda? Zbyt wiele czysto technicznych sztuczek w pańskim arsenale, co nawet nieco wyprzedza mój czas... Pańska dynastia składa się z profesjonalnych uczonych?

- Raczej psychologów. Mój pradziad rzeczywiście był wielkim magiem. Pewne informacje, zawarte w jego księgach, wykorzystuję do dziś. Życie nie stoi w miejscu, postępu nie da się zatrzymać, trzeba więc nieco zmienić image, odpowiednio do epoki, że tak powiem...

- A jak udaje się panu ściągnąć tu współczesną broń? W naiwności ducha sądziłem, że ona nie będzie tu działać...

- To nie było proste. Teorię przejść do innych światów opracował mój dziad. A raczej przypadkiem na nie natrafił. Potem ojciec i ja przeprowadzaliśmy poważne doświadczenia, analizy i badania. Wszystko właściwie jest oparte na kolejnej sekwencji filologicznej. Po wymówieniu pewnych słów otwiera się możliwość pojawienia się dodatkowego zmysłu wzroku. Dostaliśmy szansę poszukiwania wrót, ale opowieść o tym, jak je znaleźliśmy, zagarnęliśmy i zmusiliśmy do działania, mogłaby zająć nawet tydzień.

- Dziękuję. Sądzę, że nie da mi pan tyle czasu. Więc na zakończenie: jaki jest pański cel ostateczny?

- Panowanie, oczywiście! - odpowiedział nieco zdumiony tyran. - To, co otrzymuję w tym świecie, sprzedaję za ciężkie pieniądze w pańskim jako eksponaty muzealne i antyki. Pieniądze

decydują o wszystkim! Na razie wystarczają mi dwa światy, ale chcę podporządkować je sobie w całej pełni. Najlepsi uczeni Europy pracują dla mnie, nawet tego nie podejrzewając. Wielcy magowie i czarownicy służą mi z oddaniem i radością. Porządek i spokój może zagwarantować wyłącznie jedynowładztwo.

- Jakoś nie jestem dzisiaj w nastroju do dyskusji o polityce. Godzina takiej rozmowy i przekona mnie pan, że jest jedynym obrońcą prawdy, a cała reszta to zwykli zazdrośnicy i żałośni łajdacy. Jeszcze trochę takich argumentów i zostanę pańskim wiernym wyznawcą!

- Po co ten sarkazm, lordzie Osiernico? Nie potrzebuję wyznawców. Mam nadzieję, że wierzy pan w moją szczerość?

- Jasne. Rozumiem, że uważa mnie pan za nieboszczyka i dlatego odpowiada pan szczerze i bez obaw.

- Pańskie zdrowie... - Riesenkampf napił się wina, klasnął w dłonie i ogłosił: - Tańce!

Do sali wpadł tłum wystrojonych dziewcząt. Królowie wyszli zza stołów, wybrali sobie partnerki i muzyka zagrziała z nową siłą. Podeszła do mnie Tanitriel, więc bezczelnie skłoniłem się przed jej mężem i wyszliśmy na środek sali. Taniec polegał na tym, żeby chodzić wokół partnera i kłaniać się bez chwili przerwy. Pewnie powinniśmy porozmawiać, ale brakowało słów. Za dużo emocji. W dodatku w mojej zmęczonej głowie pojawiła się dziwaczna myśl... Patrzyłem na królową i zastanawiałem się, dlaczego tak się o mnie martwi - czyżby się zakochała?

Weronika wpadła do sali, robiąc tak ciasną pętlę, że aż zakreśliło mi się w głowie. Dziewczęcy pisk wypełnił powietrze. Młoda wiedźma zatrzymała się przed Riesenkampem, żeby pomachać mu przed nosem naszywką Riffle; potem niedbale cisnęła w sufit piorun kulisty, aż posypał się tynk, a wielki dwustuświecowy żyrandol runął na oszołomionych tancerzy. Trzech przygniotło na śmierć.

Czarujące stworzenie zeskoczyło z miotły, stukając obcasami.

- Bardzo się beze mnie nudziliście, milordzie?

- Jak by ci to powiedzieć, mała... Próbowano mnie tutaj rozrwać. Ale teraz już na pewno nie ma mowy o nudzie!

- Zamknąć wszystkie drzwi! Zatrzasnąć okna! - wrzeszczeli strażnicy tyrana.

Wstrząśnięty Riesenkampf siedział z otwartymi ustami i mrugał raz za razem.

- Za chwilę przybędą tu wojska - szepnęła Weronika. - Poleciałam przodem, ale Królik i dwaj inni siedzieli mi na ogonie. Urajujemy was!

- Skąd ci przyszło do głowy, że trzeba mnie ratować? Nie jestem dzieckiem. Trochę potańczymy, a potem zabawimy się na całego - powiedziałem głośno, ostrożnie rozglądając się na boki.

Wokół nas powstała wolna przestrzeń.

- Młoda damo! - Władca Lockheimu odzyskał panowanie nad sobą. - Jak się tu dostałaś?

- Przyleciałam na miotle - odparła rezolutnie Weronika.

- Nic nie rozumiem... - Riesenkampf chyba wyjątkowo lubił to zdanie. - To nie jest ogólnie dostępne lotnisko, na którym można sobie lądować bez kontroli celnej! Odlecieliśmy na dużą odległość, miasto jest otoczone sygnalizacją alarmową...

- Mówicie o tym? - Weronika podała mu kolorowe kabelki.

Riesenkampfowi zaczęło chyba brakować powietrza. Denerwuje się, łobuz. Nie podoba mu się, że znów coś nie poszło zgodnie z planem! Ciekawe, czy pocieszyłoby go, gdybym mu powiedział, że moja współpraca z tymi dzieciakami to jak nieustanny jubel w domu wariatów? Tymczasem drzwi wejściowe wyleciały z zawiasów i delegacja (a może grupa dywersyjna?) dumnie wkroczyła do środka. Każdemu uściśnąłem dłoń. Król Plimutrok, markiz de Bras, sir Charles Lee z synami, Złobynia Nikitycz i czterech jego wojowników, Brumel, bardzo przypominający mumię (spod bandaży widać było tylko oczy, koniuszek nosa i rogi), mag-weterynarz Matwieicz, niezapomniany Buldożer, wiecznie niezadowolona Lija i jeszcze ze czterech rycerzy z gwardii królowy Liony. Czyżby ją również ze sobą zabrali?

- Świetnie się składa, że wszyscy moi wrogowie zebrali się w jednym miejscu - rozległ się niepewny głos Riesenkampfa.

Goście - zaproszeni i nieproszeni - szyb/ko się podzielili. Po jednej stronie sali stanęła nasza partia, po drugiej - obrońcy tyrana.

Wszyscy byli spięci, ściskali broń i popatrywali groźnie na przeciwnika, ale mnie wcale się nie uśmiechała kolejna rzeź. Wystarczy jedna bitwa pod Ristail, żeby przez resztę życia czuć się jak bohater.

- Jak widzicie, jest nas teraz więcej. Ponieważ nie jestem z natury człowiekiem krwiożerczym, proponuję pokojowe pertraktacje. Zdaje się, że uroczysta kaźń landgraфа została odwołana?

- Bynajmniej - odrzekł Riesenkampf. - Ja mam automaty, a pan bez miecza jest bezsilny.

Skinął dłonią i dwóch ochroniarzy wyciągnęło spod tronu niewielkie kałasznikowy.

- Weroniko, dziecinko, czy możesz te lufy zapchać piaskiem albo błotem? - wycodziłem przez zęby.

Młoda wiedźma coś w skupieniu wyszeptała pod nosem, splunęła na podłogę, roztarta stopą ślinę... No cóż, nawet nieźle jej wyszło. Wprawdzie broń nie uległa uszkodzeniu, za to dostało się ochroniarzom. W życiu nie widziałem nikogo tak brudnego! Można by pomyśleć, że przez tydzień trzymano ich w błocie. Wyglądali jak dwie cuchnące kupy gliny. Nie mieli teraz głowy do strzelania; rzucili automaty, zaczęli pluć błotem, próbowali oczyścić oczy i uszy...

- Robi wrażenie. - Tyran skinął głową. - Ale, ale... chyba obiecałem pokazać coś, co dostałem w spadku po dziadku. Riesenkampf wyrzucił ręce do przodu, w jednej z nich błysnął mały pistolet i huknął strzał. Weronika zamachała rękami i runęła na podłogę.

- Dokładnie w usta - skomentował ten sukinsyn. - Odnotujemy jako samobójstwo.

Wszyscy zamarli. Oszołomiony przyklęknąłem przed leżącą dziewczyną i niezgrabnie wziąłem ją na ręce. Bezwolna głowa opadła na moją pierś. Gardło ścisnęła mi gorycz straty. Buldożer ze łzami w oczach stanął za moim ramieniem i powiedział głucho:

- To było jeszcze dziecko... Odpowiedcie za ten straszny czyn!

- Weronika! - Lija się rozbeczała i wtuliła twarz w moje plecy.

- Kto następny? - zapytał z zimną krwią Riesenkampf.

Znowu poczułem, że zalewa mnie wściekłość i chyba pozostali czuli to samo. Jeszcze chwila i wszyscy rzucilibyśmy się do walki - gdy nagle młoda wiedźma podniosła głowę, otworzyła oczy i uśmiechając się szeroko, zademonstrowała kulę rewolwerową, mocno zaciśniętą w zębach.

- Schwytałam ją, milordzie!

- Wypluj to natychmiast! Nie wolno brać do buzi takiego świństwa! - palnąłem odruchowo.

- Tfu! - Weronika posłusznie potrząsnęła głową i kawałek ołowiu poturlał się po podłodze. - Miss Gorgulia mnie tego nauczyła, ona tak chwyta strzały. Prawda, że efektowne?

Byłem tak szczęśliwy, że nawet nie miałem ochoty jej przyłać.

A gdybyście widzieli twarz Riesenkampfa! Wyraźnie zyskiwaliśmy przewagę. Okazało się, że przelew krwi wcale nie jest potrzebny. Chociaż niektórzy byli innego zdania.

- To w końcu będziemy się bić czy nie? - zdenerwował się Plimutrok Pierwszy.

- Załatwmy tego nikczemnika bez zwłoki! - Książ poparł teścia. - Jeszcze znowu coś nam wytnie!

- Panowie, poproszę o minutę uwagi! - Postawiłem Weronikę na nogi, zrobiłem krok do przodu i zwróciłem się do królów: - Jak widzicie, poziom wzajemnej agresji jest bardzo wysoki. Wy reprezentujecie ciemną stronę tego świata, my jasną. Dzięki temu zachowujemy równowagę. Jeśli teraz dojdzie do ostatecznej bitwy, to, być może, wszyscy się pozabijamy. Zwycięzców nie będzie, wyłącznie przegrani.

- Lordzie Osiernico... - Lija pociągnęła mnie za rękaw. - Czy chcecie, żeby te wampiry i wilkołaki dalej sobie żyły?

- Oczywiście! To przecież taka egzotyka! Mamy wręcz obowiązek zachować przynajmniej po jednym egzemplarzu z każdego gatunku.

- Dobrze, że kardynał Cali został w Ristail. - Moja przyjaciółka pokiwała głową.

Z tłumu szkaradziejstw wyszło kilku reprezentantów, skłonili się Riesenkampfowi i zniknęli. Pozostali nie dali się przekonać. Więc jednak śmiertelna walka aż do absolutnego zwycięstwa nad tyranem...

- Wystarczy, landgrafie. Zaczniij się modlić - poradził mi Riesenkampf.

Wszyscy spowaźnieli, a ja uświadomiłem sobie, że żadnej modlitwy nie znam w całości...

- Słuchaj no, synu, a gdzie twój miecz? - Matwieicz się do mnie przepchnął.

- Nie wiem. Pewnie ten drań gdzieś go schował.

- To go zawołaj!

- Miecz?

- Do ataku! - wrzasnął niespodziewanie uzurpator i wtedy nie dało się już powstrzymać biegu wydarzeń. Mnie zasłonili tarczami Rusini, a sala wypełniła się brzękiem oręża, okrzykami bojowymi i jękami. Co Matwieicz chciał przez to powiedzieć? Co to znaczy - zawołaj? Przecież Miecz Bez Imienia to nie piesek! Chociaż może warto spróbować, w końcu walka już się zaczęła i głupio tak stać bez zajęcia...

- Mój mieczu! Mieczu Bez Imienia! - wrzasnąłem po prostu.

Chwilę później przeciwległą ścianę przebiło coś jak pocisk i gorąca rękojeść znalazła się w mojej dłoni. Ha! Drzyj, tyranie!...

To zdumiewające, nieporównywalne z niczym uczucie, gdy po zacieklej, półgodzinnej rąbance spostrzegasz, że wszyscy twoi przyjaciele żyją... Jedni są ranni, inni wyczerpani, ktoś ledwie trzyma siana nogach, ale wszyscy żyją! Pokonaliśmy wrogów czystym entuzjazmem, prawie jedna trzecia poddała się do niewoli. Ale za to zniknął Riesenkampf. Rzuciliśmy się na poszukiwania i znaleźliśmy go w jakimś laboratorium. Właściwie znalazł go Plimutrok i ten fatalny zbieg okoliczności był dla tyrana katastrofalny w skutkach. Trafiając do pomieszczenia zastawionego dziwnymi naczyniami, aparaturą sprzętem komputerowym, bogobojny król zawyrokował, że to jest właśnie uosobienie wszelkiego zła. Wszystkie grzechy pochodzą z nauki, całe nieszczęście z wiedzy! Riesenkampf, trzymając królową za rękę, wcisnął się w kąt, a dzielny Plimutrok z zapalem niszczył wszystko, co mu się nawinęło. Że też go prąd nie kopnął! Pewnie dlatego, że rękojeść topora była z drewna - gdyby używał miecza, byłoby po nim i pochowałibyśmy jedynie urnę z prochami... Zwabieni hałasem wdarliśmy się do sali -ja w samym podkoszulku (bardzo przypominając rewolucyjnego marynarza), Jean w zgniecionej zbroi (dziwne, że w ogóle może biegać w takiej ilości żelaza!), kuśtykająca Lija, którą ugryzł w kolano jakiś wampir-zboczeniec, oraz Weronika bez miotły, którą złamała na głowie maniaka gryzącego Liję.

- Poddaj się, zły duchu! - zażądała moja jasnowłosa towarzyszka.
- To już koniec - potwierdził król Plimutrok. - Zniszczyliśmy twoje ohydne legowisko. Nadeszła pora, byś zapłacił za całe zło, które wyrządziłeś Zjednoczonemu Królestwu.

- Landgrafie, czy pamiętacie o swojej przysiędze? - zwrócił się do mnie Riesenkampf.

- Pamiętam - odparłem niepewnie. - Obalić tyrana, zawładnąć Lockheimem...

- Uratować królową Tanitriel! - dokończył ze złością i przystawił długi nóż do gardła nieszczęsnej kobiety. - Ona umrze pierwsza.

Weronika cicho zakłęła. Do pokoju wchodzili dalsi nasi sprzymierzeńcy, ale niewiele to zmieniało.

- Dobrze. Czego pan chce?

- Wolności i życia.

- Słowo landgrafa, że nikt pana nie tknie. - Demonstracyjnie wsunąłem Miecz Bez Imienia do pierścienia przy pasie. - Niech pan wypuści królową i wynosi się stąd.

- Ręczy pan za swoich przyjaciół?

- Przecież słyszałeś, potworze! Wypuść dziewicę! Nikt nie będzie sobie brudził o ciebie rąk! - huknął Złobynia Nikitycz.

Riesenkampf przywarł plecami do ściany i bokiem przesuwając się w stronę wyjścia. Zatrzymał się jednak przy stole, odepchnął od siebie królową Lockheimu i błyskawicznie wyjął z szuflady duży granat przeciwpancerny.

- Lubię efektowne wyjścia... Wystarczy, że zrobię krok i będę bezpieczny za ścianą. Wy nie możecie zrobić nic. Jeden ruch i będzie po was.

- Riesenkampf, czego pan jeszcze chce? Spełniłem pańskie żądania, a śmierć kilkunastu osób nic panu nie da. Przecież to nie ma sensu!

- Wiem o tym, lordzie Osiemico... - Tyran skinął głową. - Ale przecież jestem łajdakiem, a to znaczy, że zgodnie ze scenariuszem na zakończenie muszę jeszcze zrobić jakąś podłość. Taka tradycja.

- Dobrze. W takim razie walczmy jeden na jednego! - Wyciągnąłem miecz. - To również tradycja.

- Proszę bardzo! - Skłonił się. - Niech pan atakuje.

Postać Riesenkampfa otaczało znajome złociste lśnienie, a granat znowu leżał na stole. Co mogłem zrobić? Głupi by zrozumiał, że on blefuje... Groźnie skoczyłem do przodu, ciałem z rozmachu mieczem - i podobnie jak za pierwszym razem, żadnego efektu! Ten drań chichotał, a ja harowałem jak drwal. Srebrzysta stal Miecza Bez Imienia odskakiwała od tyrana Lockheimu niczym wykałaczka od transportera opancerzonego.

- To niemożliwe! - jęknęła królowa Tanitriel.

Wszyscy obecni z zasepionymi minami drapali się po karkach. Nikt nie znał wyjaśnienia.

- Dość tego - oznajmił wreszcie Riesenkampf, robiąc krok do tyłu i znowu chwytając granat.

Dlaczego przynajmniej nie odrzuciłem granatu na bok? Dobre pomysły zawsze przychodzą zbyt późno...

- Nie zdoła mnie pan zabić, podobnie jak nie uda się to nikomu z obecnych.

- Dlaczego? - wyrwało mi się z głębi serca. - Słyszałem przecież różne przepowiednie... Więc to wszystko kłamstwo? Czemu w takim razie polował pan na mnie, wiedząc, że nie stanowią dla pana zagrożenia?

- Naiwny landgrafie... Chyba warto, żeby przed śmiercią poznał pan pewne właściwości swojej broni. Miecz Bez Imienia nie i/m

może wyrządzić najmniejszej krzywdy człowiekowi, który nie atakuje. To szlachetna broń, honoru i sprawiedliwości. Dopóki nie zagrażam panu czy komuś innemu, miecz nie może mnie nawet drasnąć. I można to wspaniale wykorzystać. Jak pan widzi, nie atakuję, nie bronią się, po prostu sobie stoję. Miecz Bez Imienia nie może mi więc zaszkodzić. A teraz... - Riesenkampf szybkim ruchem wyciągnął zawleczkę z granatu - ..teraz jestem już zagrożeniem, ale pan nie ma żadnych szans. Stać spokojnie! Jeśli upadnę i rozchylę palce, wszyscy zginiecie!

- Bądź przeklęty! - przetoczyło się po pokoju.

- Zajrzyjcie śmierci w twarz! - Łajdak zachichotał, rzucając granat na podłogę i wyskakując za drzwi.

Odruchowo zamknąłem oczy - i nic się nie stało. Granat nie wybuchł! Osłupiały Riesenkampf wysunął się zza rogu, skoczył do szuflady, wyjął jeszcze dwa granaty i po kolei rzucił je nam pod nogi. Nic z tego! Wspaniałe granaty przeciwpancerne nie miały zamiaru eksplodować. W ciszy, jaka zapadła, prychnęła Weronika, po niej zachichotała Lija, potem jeszcze ktoś. Chwilę później cały pokój trząsł się ze śmiechu. Wszyscy rechotali z własnego strachu, nieprawdopodobnego zwycięstwa, skwaszonej gęby byłego władcy Lockheimu, ze wszystkich szoków, wstrząsów, nerwów, zamieszania i krzywd...

- Ale dlaczego?! - zawył cienko Riesenkampf. - Dlaczego nie wybuchają? Nic nie rozumiem...

- Bo jeszcze nie nadszedł czas tych ludzi! - odpowiedział przytulny głos za naszymi plecami.

Śmierć! Uśmiechnięta staruszka w czarnym płaszczu z kapturem i z wyszczerbioną kosą na ramieniu. Ludzie różnie reagowali, ale ja i Buldożer nawet się ucieszyliśmy. Staruszka kokieteryjnie trzepnęła mnie połą płaszcz i mrugnęła.

- Witam lorda Osiernicę. Jednak uciekłeś ze swoją dziewczynką? Zrobiłeś nam niezły galimatias w księgowości. I uważaj, nie oszukuj na przyszłość pijanej kobiety, bezwstydniku! Już dobrze, nie udawaj szczerzej skruchy i tak ci nie uwierzę, cwaniaczku...

Proszę, oto twoje pokwitowanie.

Przytaczam je tu w całości, jako kuriozum:

Nazwa towaru: Lija

Zdał: Śmierć

Przyjął: Osiernica

- Coście tak pozielenieli? - zgrywała się dalej Kostucha. - Nie bójcie się, nie po was przyszłam. Gdyby to była wasza kolej, pierwszy wybuch rozerwałby was na strzępy. Pofatygowałam się w innej sprawie. Ktoś z tu obecnych wstąpił na śliską ścieżkę fałszerstwa dokumentów. Ledwie udało nam się dojść, co i jak... Hej, ty! - kościsty palec wskazał Riesenkampfa, który mienił się na twarzy, przechodząc od buraczkowej purpury do zielonkawego błękitu. - Jak ci się udało, uczony szczurze, wypisać imię dziewczyny na Kamieniu Losu? Cóż to, postanowiłeś sam zdecydować, po kogo mam się zjawić? O, mój drogi, mnie nikt nie będzie rozkazywał. Kogo zabrać, kogo zostawić, to moja prerogatywa - powtórzyła Śmierć swoje ulubione słówko.

- Ja... tego... - próbował wykrztusić uzurpator.

- Milcz, umarlaku! - przerwała mu Śmierć. - Naradziliśmy się tam na górze i... krótko mówiąc, zabieram cię ze sobą. Najwyższa pora. Chcesz odczytać testament? Nie? I bardzo dobrze. Idziemy. Śmierć objęła znieruchomiałego Riesenkampfa za ramiona, jeszcze raz popatrzyła na nas wszystkich i skinęła głową na pożegnanie, rozpływając się w powietrzu.

- Żegnam wszystkich - rzuciła. - Teraz już długo się nie zobaczymy. I jeszcze jedno... Osiernico! Wracaj ty do swojego świata, przyjacielu...

Siedziałem w jednej zwież Lockheimu, tępo wpatrując się w okno. Minęły dwa tygodnie. Uroczyste ceremonie, pochody, parady, wielki bal, wspaniałe uczyty i... nuda. Miałem okropną chandrę, bo nie mogłem sobie znaleźć zajęcia. Nie miałem nic do roboty! Bale, parady i poematy na moją cześć już mi obrzydły. Liczba prezentów od osób koronowanych przekraczała wszelkie granice. Król Plimutrok podarował mi całą wieś z ziemiami, lasem, chłopami i stawem, Wesnachhause oddało mi duży dom w centrum miasta, Liona przysłała szóstkę białych koni i złoconą karecę, sir Charles Lee zamówił nieprawdopodobną zbroję ze srebrną inkrustacją, a kniaź przy aprobacie przerzedzonej drużyny zawiesił mi na szyi złotą grzywnę, znak najwyższego męstwa. Buldożer otrzymał złote ostrogi rycerskie i prawo dodania do swojego herbu pasiastej wstęgi z napisem: Z wrogami podobny jestem lwu, z przy-

jaciółmi - łagodny niczym jagnię !, co postrzegane było tutaj j ako bardzo prestiżowe. Lija zdążyła sobie uszyć sześć różnych kostiumów pазia i chyba właśnie zamówiła siódmy, o absolutnie fantastycznym fasonie, wymyślonym przez nią samą. Dziewczyna miała wyraźne zadatki na modystkę. Liona nawet na chwilę nie puszczała od siebie męża, Złobynia zaś inwestował jej środki w gigantyczny projekt rekonstrukcji i odbudowy rosyjskich miast. Matwieicz, nie wychodząc z za stołu, wznosił toasty za nieuchronny postęp nauki i jak najszybsze narodziny królewskiego wnuka, czego Plimutrok Pierwszy był absolutnie pewien. De Bras wrócił do Wesnachhause i stał się tak popularny, że mieszkańcy wzniesli mu konny pomnik. Charles Lee z synami (starszego odwieźli na noszach, ale chłopak już wraca do zdrowia) wyjechał do swojego zamku rodowego. Na pożegnanie zapisałem mu tekst kozackiej pieśni o zwycięstwie nad Turkami, a on obiecał uczynić go hymnem bojowym. Gorgulia Times odbudowała Cichą Przystań, robiąc z niej coś w rodzaju skansenu wiedzy, a Weronika siedziała w Lockheimie, próbując rozpracować cudem ocalały komputer. Jak widzicie, każdy miał jakieś zajęcie... A co ja miałem robić? Namalowałem portret królowej Tanirriel, pojeździłem sobie na smoku imieniem Królik, obejrzałem okolicę z wysokości Latającego Miasta i dostałem kataru. To wszystko! Nie miałem się czym zająć. Kiedy Śmierć zabrała Riesenkampfa, skończyło się moje szczęście do przygód. Odniosłem takie wrażenie, że moja misja została zakończona i ktoś z góry stanowczo radzi mi ochłonać.

- Jesteście nie w humorze, milordzie? - Lija podeszła i stanęła za moim fotelem.

- I tak, i nie, moja droga. Po prostu trochę się nudzę.

- Może nie trzeba było tak szybko rozprawiać się z Riesen-kampfem? Niechby sobie jeszcze trochę pobiegał.

- Z tego, co pamiętam, biegaliśmy głównie my.

- Czy to teraz nie wszystko jedno... - Moja wierna towarzyszy-ka machnęła bez troski ręką.

- Masz rację. Teraz to już zupełnie wszystko jedno.

Otworzyły się drzwi i przy futrynie zastygł nieśmiało Buldożer.

- Wejdz, skoro przyszedłeś. Co nowego?

- Wszystko w absolutnym porządku, lordzie Osiernico - zdu-miał się nieco rycerz. - Wrogów nie ma, królestwo w rozkwicie, plugastwo się pochowało.

- I to właśnie przygnębia landgrafa!-Lija się włączyła. - Zda-je się, że milord zaczyna dostawać obłędu od tego spokojnego życia, korowodów i innych sielanek.

- Słońce moje błękitnookie, ty jedna mnie rozumiesz! - Zaszło-chałem wzruszony. - Jean, czy naprawdę w całej okolicy nie ma

ani jednego zaściankowego czarownika czy choćby ludojada?
Ostatecznie mógłbym obić gębę najbliższemu wampirowi energetycznemu. ..

- Czy można, lordzie Osiernico? - W drzwiach pojawiła się smukła postać Tanitriel.

Zerwałem się z fotela i skinąłem głową.

- Musimy zająć się pewnymi sprawami niecierpiącymi zwłoki. Wybaczenie nam, milordzie... - Jean niemal siłą wyciągnął z pokoju opierającą się Liję. Dziewczyna obrzuciła królową tak podejrzliwym spojrzeniem, że poczułem się nieswojo.

- Siadajcie, wasza wysokość. Postanowiła pani odwiedzić zmęczonego brakiem zajęcia bohatera? Jak to miło!

- Tak wam u nas źle? Czy tam, w waszym świecie, cieszy się większą miłością narodu i szacunkiem szlachty?

- Nie sądzę - wyznałem uczciwie.

- Czegóż więc potrzebujecie? - Królowa klasnęła w dłonie. -

Macie sławę, złoto, majątek, wpływowych przyjaciół, wsparcie ludności... Zresztą, chyba się domyślam. Brakuje wam miłości kobiety! - Sądząc z oburzonego prychnięcia, Lija podsłuchiwała pod drzwiami. - Chciałabym, żebyście mnie dobrze zrozumieli, landgrafie. To tylko między nami...

- Oczywiście, oczywiście. O co chodzi, Wasza Wysokość? Prosiłbym o szczegóły. Tak długo byłem pozbawiony towarzystwa wykształconych kobiet, że zupełnie odoczyłem się rozumieć aluzje...

- Lockheim to starodawna, piękna bajka. To legenda i marzenie jednocześnie, coś jak symbol Zjednoczonego Królestwa. Królowie Lockheimu rozstrzygali spory, powstrzymywali wojny, uspokajali bunty i stawali na drodze każdego agresora. Muszę przywrócić dawną świetność Latającego Miasta. Lockheim potrzebuje nowego króla...

Chyba już rozumiałem, do czego zmierza. No tak... W domu i tak już nikt na mnie nie czeka, tyle czasu minęło, zresztą nikt nie miał zamiaru odsyłać mnie z powrotem. Ale propozycja wstąpienia na tron... Niby czemu nie? Praca łatwa, a Tanitriel piękna. Jednym słowem - bajka. Pokonałeś łajdaka, dostajesz w nagrodę pałac, królestwo i rękę pięknej królewny!

- Bardzo mi to pochlebia... Ale czy jest pani pewna, że będę się nadawał?

Zamiast odpowiedzi Tanitriel objęła mnie i namiętnie pocałowała w usta. Jej oddech pachniał jabłkami.

- Muszę już iść, milordzie. Będę na was czekać wieczorem w celu... przeprowadzenia ostatecznej rozmowy.

Królowa oddaliła się. Wyszedłem za nią, ale w drzwiach wpadłem na rozgorączkowaną Liję.

- Wy... wy... wy... - tylko tyle mogła wykrztusić. W oczach

miała łyzy, twarz blada.

Tylko hysterii mi brakowało.

- Jeszcze nie podjąłem żadnej decyzji.

- Ale wy... a ja... - Lija odwróciła się na pięcie i pobiegła korytarzem.

Wzruszyłem ramionami i poszedłem na obchód. W Lockheimie kochają korytarze... Riesenkampf prowadził tu poważne eksperymenty i nieźle namieszał, więc o konkretnej godzinie można było zabnąć do innego wymiaru. Szedłem dopóty, dopóki nie wpadłem na ścianę, ale Miecz Bez Imienia, który dotąd spokojnie wisiał u pasa, błyskawicznie się rozgrzał i wsunął w dłoń. Rozejrzałem się ostrożnie: chyba nie ma żadnego zagrożenia... Na wysokości mojej piersi ze ściany wydostawała się smużka światła. Przyjrzałem się i pomyślałem, że bardzo to przypomina dziurkę od klucza. Teraz już miecz parzył mi dłoń, a do głowy przyszła niespodziewana decyzja. Srebrzysta klinga lekko weszła w szczelinę. Dwa razy przekręciłem rękojeść. Część ściany się odsunęła i w twarz uderzyło mnie światło słońca. Dzika muzyka dosłownie ogłuszała. Ktoś klepnął mnie w ramię i wrzasnął:

- Gdzie ty łazisz? Żona cię szuka, chodź szybko, zamówiliśmy już stół w kawiarni...

Otworzyłem oczy. Miecz Bez Imienia zniknął. Za moimi plecami była lita ściana, wokół mnie festyn. Czy już mówiłem, że w tej opowieści wszystkie decyzje-p«lejmwane są za mnie?

Epilog

I w taki oto nieromantyczny sposób zakończyła się historia lorda Osiernicy, Obrońcy i Orędownika, Wchodzącego w Mrok, trzynastego landgrafa Miecza Bez Imienia. Co było potem? Potem trafiłem do swojego czasu, gdzie jak się okazało, nie było mnie najwyżej kwadrans. Jak to się stało i dlaczego - nie wiem. Poproszę o wyjaśnienia specjalistów od czasoprzestrzennych struktur innych wszechświatów. Wróciliśmy razem do Astrachania. Złotą grzywnę oddałem żonie, wyjaśniając, że znalazłem ją przypadkiem w zamku. Uwierzyła. Opowiadanie wszystkich moich przygód nie byłoby najlepszym pomysłem, zwłaszcza że i tak nikt by mi nie uwierzył. W dodatku żonie musiałbym skłamać, że Tanitriel mnie nie pocałowała albo że się wrywałem... Fioletowy płaszcz wisi w szafie, a na półce sekretarzyka cieszy oko elegancka, srebrna zapinka. Do tej pory nie wiem, co na niej jest - eksplozja, ośmiornica czy może drzewo do góry korzeniami...

Postscriptum

- Kochanie, telefon do ciebie.

- Kto to?

- Nie mam pojęcia. Jakiś urywany męski głos.

- Tak, słucham. - Wziąłem niechętnie słuchawkę.

- Jean, on tam jest! Jest tam, słyszę go! - wybuchnęła zachwytem membrana.
- Milordzie - zahuczał ostrożnie znajomy bas. - To naprawdę wy?
- Tak! - krzyknąłem, podskakując na kanapie.
- Lordzie Osiernico! - przejął inicjatywę dziewczęcy głosik. - Słabo was słyszeć! Milordzie, co się tu u nas dzieje... książę Rajmsdal...